



Sandra Brown



Obietnica Jutra

Tytuł oryginału: Tomorrow's Promise

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Samolot American Airlines lecący z Nowego Orleanu do Waszyngtonu miał kłopoty. A przynajmniej tak się wydawało Keely Preston, która siedziała z mocno zaciśniętymi wilgotnymi od potu rękami i niespokojnie wyglądała przez okno na białobłękitne błyskawice, które od czasu do czasu rozdzierały niebo.

Lot w pierwszej klasie był znacznie wygodniejszy niż w klasie ekonomicznej i właśnie z tego jedyne powodu Keely zawsze latała pierwszą klasą.

- Panno Preston. - Keely drgnęła i odwróciła głowę. Poprzez wolne miejsce od strony przejścia pochylała się ku niej troskliwie stewardesa. - Czy podać pani może coś do picia?

Keely odgarnęła kosmyk włosów w kolorze miodu i spróbowała się uśmiechnąć. Nie była pewna, czy jej się udało.

- Nie, dziękuję bardzo.

- To by mogło podziałać uspokajająco. Zauważyłam, że źle pani znosi burzę. Zapewniam panią, że wszystko jest w porządku.

Keely spojrzała na swoje zaciśnięte pięści i uśmiechnęła się nie bez autoironii.

- Przepraszam, nie przypuszczałam, że tak się to rzuca w oczy. - Popatrzyła na stewardesę i uśmiechnęła się, tym razem z większym przekonaniem. - Nie, dziękuję bardzo, naprawdę czuję się świetnie.

Dziewczyna odpowiedziała jej służbowym uśmiechem.

- W każdym razie gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę dzwonić. Jeszcze chwila i będzie po burzy, a za godzinę lądujemy w Waszyngtonie.

- Dziękuję - odparła Keely, usiłując oprzeć się wygodnie w miękkim fotelu przedziału pierwszej klasy i odciąć od burzy przez zamknięcie oczu.

Siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna podziwiał jej próbę okazania odwagi, chociaż czuł, że jest przerażona. Prawdę mówiąc, podziwiał wszystko w tej kobiecie, i to od chwili, kiedy wsiadła do samolotu tuż po nim.

Wszystko w niej bowiem zasługiwało na podziw. Na przykład włosy. Miękkie i uczesane w sposób bezpretensjonalny. Nie znosił modnych fryzur wzorowanych na gwiazdach rocka czy sportu. Za każdym razem, kiedy kobieta poruszyła głowę, jej włosy muskały ramiona. Robiły wrażenie czystych, dobrze wyszczotkowanych i podejrzewał, że pachniały kwiatami.

Nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył jej zgrabnej figury, kiedy mijala jego miejsce przy samym przejściu, szukając swojego - po drugiej stronie i rząd przed nim. Miała na sobie zieloną garsonkę z dzianiny. Żakiet sięgał zaledwie szczupłej talii, spódnica, opięta na biodrach, rozszerzała się stopniowo ku dołowi, tworząc poniżej kolan niemal klosz.

A poza tym dziewczyna miała cholernie zgrabne nogi. Zauważył to, kiedy wstała, żeby schować płaszcz do skrytki u góry. Stwierdził przy okazji, że żakiet podkreśla nieduży, ale pełny biust.

Dla postronnego obserwatora mężczyzna był zajęty wertowaniem sterty papierów, które wyjął z teczki wkrótce po starcie, podczas gdy w rzeczywistości ukradkiem obserwował kobietę. Na obiad zamówiła filet

mignon, ale zjadła nie więcej niż trzy kęsy, i do tego odrobinę brokułów. Żadnego pieczywa. Pół kieliszka wina rose i mała kawa z niewielką ilością śmietanki dopełniły posiłku.

Po obiedzie mężczyzna przejrzał jeszcze kilka oficjalnie wyglądających papierów, po czym schował je z powrotem do teczki. Teraz zajął się „Time'em”, ale i tak przez cały czas zerkał na pasażerkę. Dzięki temu usłyszał jej rozmowę ze stewardesą. Porzuciwszy wszelkie pozory, teraz obserwował ją już otwarcie.

W tym momencie samolot wpadł w dziurę powietrzną i gwałtownie stracił wysokość. Dla kogoś, kto często lata, nie było to nic wielkiego. Ale kobieta wyprostowała się nagle i nerwowo rozejrzała dokoła. W jej szeroko otwartych oczach widać było strach.

Zanim mężczyzna zdążył się zastanowić, co robi, zerwał się z miejsca i usiadłszy na wolnym fotelu obok, ujął ją za rękę.

- To nic takiego, proszę się nie denerwować. Mała turbulencja. Nie ma powodu do paniki. -I rzeczywiście, byli chyba jedynymi dwiema osobami w pierwszej klasie, które w ogóle zauważyły nagłą i natychmiast wyrównaną utratę wysokości. Stewardesy w dalszym ciągu przebywały w kuchence, skąd dochodził charakterystyczny brzęk porcelany. Inni nieliczni pasażerowie albo spali, albo byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by zauważyć, że ten młody, przystojny mężczyzna dosłownie w ułamku sekundy pokonał przejście między rzędami, żeby się znaleźć obok przerażonej kobiety.

Ciepłe, silne dłonie, które tak mocno trzymały ją za rękę, były bardzo starannie wypielęgnowane i Keely przyglądała im się dłuższy czas, nim

przeniosła zdumiony wzrok na twarz mężczyzny, znajdującą się teraz bardzo blisko.

- Przepraszam - usłyszała swój głos. Ale właściwie za co go przeprasza? - Nic mi nie jest. Naprawdę. Ja po prostu... - Nagła chryпка tylko pogłębiła jej zmieszanie. Gdzie się podział jej tak melodyjny zwykle głos? I dlaczego jąka się jak idiotka, za którą ten mężczyzna z pewnością ją uważa? Kto, poza znerwicowaną histeryczką, może się tak zachowywać w samolocie? I dlaczego nawet nie próbuje wysunąć rąk z jego dłoni?

Zamiast tego gapiła się w czarne jak węgiel oczy, oprawione w najciemniejsze brwi i najgęstsze rzęsy, jakie kiedykolwiek widziała. Nieznajomy miał wąski, pięknie rzeźbiony nos, usta pełne, niemal zmysłowe, a pod lewym okiem - ponad centymetrowej długości bliznę. Mocno zarysowana szczeka wydawałaby się może nawet i surowa, gdyby nie dołek w prawym policzku, blisko kącika owych intrygujących ust.

- Od czegoś są przyjaciele? - zapytał, uśmiechając się w rozbrajający sposób, który stał się jego znakiem firmowym i jednocześnie wyzwaniem dla wrogów.

Do diabła, kogo chcesz oszukać? - zadał sam sobie pytanie. W żadnym razie nie czuł się jej przyjacielem. Błyskawica, która przeszła ciemności na zewnątrz, była niczym w porównaniu z iskrą, jaka go ugodziła między oczy i prosto w serce, kiedy po raz pierwszy spojrział jej w twarz.

Zielone. Tak, miała zielone oczy, duże, szczerze i zmysłowe jak wszyscy diabli. A cera... brzoskwinia ze śmietanką... nie, nie aż tak jasna. Raczej brzoskwinia z miodem... brzoskwinia dojrzewająca na słońcu. I do tego odrobina makijażu w dobrym guście.

Nos wprost idealny. A usta... Boże, co za usta! Wargi delikatne, lśniące czerwienią koralu.

W uszach miała małe złote kółeczka. Na szyi cienki złoty łańcuszek. Za to na dłoniach, których do tej pory nie puścił, żadnych pierścionków. Upajał się tą chwilą.

Kobieta drżała i przez jedną szaloną sekundę pomyślał, że byłoby cudownie czuć to drżenie pod sobą, przeżyć z nią wybuch niepohamowanej namiętności. Ta myśl podnieciła go i jednocześnie zawstydziła. Kobieta nie zachowywała się prowokująco. Żądza zrodziła się wyłącznie w jego wyobraźni, lecz nie był to jednak tylko prymitywny pociąg. Raczej instynkt opiekuńczy-uczucie typowo męskie, którego nie doznał jeszcze w obecności kobiety.

Coś z tych myśli musiało się odbić na jego twarzy, bo delikatnie zaczęła cofać rękę. Puścił je niechętnie.

- Nazywam się Dax Devereaux - powiedział, żeby się przedstawić, a jednocześnie ukryć skrepowanie.

- Wiem, wiem. - Zaśmiała się lekko, nerwowo, kwitując tym własne słowa. - Teraz już pana poznaję. Miło mi, kongresmanie Devereaux. Jestem Keely Preston.

Przymrużył oczy i przechylił na bok głowę. Na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.

- Keely Preston, Keely Preston. Gdzie ja słyszałem to nazwisko? Czy powinienem panią znać?

Uśmiechnęła się.

- Tylko jeśli pan jeździ samochodem po Nowym Orleanie. Jestem reporterką radia KDIX do spraw ruchu drogowego. W godzinach szczytu nadaję z helikoptera.

Uderzył się w czoło otwartą dłonią.

- Oczywiście! Keely Preston! Czuję się zaszczycony spotkaniem z taką osobistością.

Roześmiała się ponownie, a on słuchał jej śmiechu z zachwytem, łowiąc niskie, melodyjne tony. Z pięknej twarzy dziewczyny znikł wyraz napięcia.

- Wielka mi osobistość - odparła skromnie.

- Ależ oczywiście! - Nachylił się do niej i wyszeptał konspiracyjnym tonem: - Znam ludzi, którzy się nie ruszą rano do pracy bez pani odgórnych wskazówek. - Przekrzywił głowę i zmarszczył brwi. Jego ciemne oczy patrzyły na nią niespokojnie. - Przepraszam za taką niedelikatność, ale skoro codziennie pani lata, to dlaczego...? - Zawiesił głos i Keely dokończyła za niego pytanie:

- Dlaczego parę minut temu tak bardzo się przestraszyłam? -

Odwróciła się i znów wyjrzała przez okno. Najgorsze mieli już za sobą, ale daleko na horyzoncie ciągle jeszcze pokazywały się niebieskie zygzaki. - To oczywiście głupie z mojej strony, ja wiem. Nie chodzi o latanie. Jak pan słusznie zauważył, robię to codziennie. To raczej burza tak mnie wytrąciła z równowagi. - Wytłumaczenie było nieprzekonujące, i tak też zabrzmiało nawet w jej uszach. Wolą się nie zastanawiać, jak idiotyczne musiało się wydać Daksowi Devereaux.

Dlaczego nie była szczerą? Dlaczego mu nie powiedziała, że Preston to nazwisko, którego używa w pracy, że ma jeszcze inne? Dlaczego nie

miałaby się przyznać, że latanie ją czasami przeraża, że ta codzienna praca w helikopterze to element terapii zmierzającej do przezwyciężenia własnych lęków?

Ale były to sprawy nad wyraz delikatne, trudne do ujęcia w słowa. Wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni - samotni atrakcyjni mężczyźni - czują się skrępowani w obliczu czyjejś słabości. Nie wiedzą, jak ją sklasyfikować. Chcąc oszczędzić zarówno sobie, jak i Daksowi Devereaux niezręcznej sytuacji, postanowiła pozostać przy swojej mętnej odpowiedzi. Wydawał się nią zresztą chwilowo usatysfakcjonowany.

Aby zmienić temat, zapytała:

- Czy pan będzie naszym następnym senatorem z Luizjany?

Zaśmiał się i skinął głową z niemal chłopięcym wdziękiem.

Dostrzegła kilka srebrnych nitki w jego gęstych, ciemnych włosach.

Pięknych włosach.

- Chyba że moi konkurenci okażą się wystarczająco silni. Co pani o tym sądzi? - zapytał wprost.

- Uważam, że ma pan bardzo duże szanse - odpowiedziała spontanicznie i szczerze. - I wysokie notowania jako kongresman.

Dax Devereaux wyrobił sobie markę w jej rodzinnym stanie jako rzecznik interesów robotników. Często widywano go w dżinsach i roboczej koszuli, jak rozmawia z rybakami, farmerami i robotnikami z fabryk. Przeciwnicy krytykowali jego taktykę, zarzucając mu nieszczerłość i polowanie na tanią popularność. Zwolennicy wielbili go bezgranicznie. W każdym razie nie okazywał fałszywej skromności i w jego okręgu wyborczym nie było nikogo, kto by nie znał Daksa Devereaux.

- Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za oportunistę, który dla własnych korzyści nieustannie wywołuje kontrowersje wokół swojej osoby? - zapytał, cytując jeden z krytycznych artykułów.

Keely czytała ten wstępniak i uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Musi pan przyznać, że takie nazwisko jak Devereaux nie przeszkadza w ubieganiu się o urząd publiczny w stanie Luizjana.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Co ja mogę na to poradzić, że jeden z moich pradziadków był wybitnym francuskim Kreolem? Wcale zresztą nie wiem, czy to działa na moją korzyść. Wiadomo, jak bardzo po barbarzyńsku ludzie ci się czasem zachowywali. Choćby te ich pojedynki. To była naprawdę snobistyczna, narwana banda. Po zwycięstwie Jacksona nad Brytyjczykami jeden z moich przodków wywołał skandal, żeniąc się z amerykańską dziewczyną. I jako czarna owca w rodzinie podczas wojny domowej, kiedy wojska Unii zajęły Nowy Orlean, kolaborował nawet z Jankesami.

Keely śmiała się do rozpuku.

- Dobrze, dobrze, widzę, że pochodzi pan z rodziny rzezimieszków i zdrajców. - Przyjrzała mu się z namysłem. - Człowiek z takim pochodzeniem to marzenie felietonisty - zauważyła szczerze.

- Czyżby? - zapytał, a na widok jej zakłopotania w jego oczach pojawił się filuterny błysk.

- Miałam na myśli to, że zarówno pana imię, jak i nazwisko zaczyna się na D, a kończy na x - brnęła dalej Keely. - Można by z tym zrobić cuda podczas kampanii. No i pana młodość i... uroda. W typie Johna Kennedy'ego.

- Cóż, kiedy Kennedy miał panią Kennedy. A ja nie mam atutu, jakim jest ładna żona. - Keely wiedziała o tym, wszyscy o tym wiedzieli. Beżenność Daksa Devereaux bywała wykorzystywana przez jego przeciwników. No a wygląd wcale mu nie pomagał. Tam gdzie wchodziła w grę prawdziwa polityka, wielu uważało przystojnego kawalera za niebezpieczeństwo, jeśli nie oczywistą katastrofę.

Keely siedziała ze spuszczoneymi oczami. Jego kolano było tak blisko jej łydki, że niemal czuła na skórze materiał jego spodni. Ale nie odsunęła się. Podniosła wzrok i stwierdziła, że Dax przygląda jej się badawczo.

- Nawet w perspektywie nie mam żony - powiedział.

- Nie ma pan? - Pytanie przypominało raczej nieśmiały szept.

- Nie.

Co za cudowna gra seksualna. Tak bardzo eksploatowana w filmach, piosenkach, książkach. Ale kiedy samemu się jej doświadcza, bywa nawet bolesna. Patrząc na Daksa, Keely nie potrafiła opanować niepokoju, jaki ją ogarniał. Tak wiele lat nie przyjmowała do wiadomości swoich potrzeb, nie pozwalała im dojść do głosu. Teraz, w sprzyjających okolicznościach, ów dziwny niepokój rozrósł się do niebywałych rozmiarów, wypełniając piersi, rozchodząc się po całym ciele, przyprawiając o duszności. Ale zanim umrze w tej słodkiej męce, ma zapewnioną chwilę wytchnienia.

Stewardesa zatrzymała się koło fotela Daksa.

- O, widzę, że państwo się poznali. Czy mogę pani coś podać, panno Preston? A panu, kongresmanie Devereaux?

Dax, nie odrywając oczu od Keely, zapytał:

- Wypije pani ze mną kieliszek brandy?

Keely usiłowała coś powiedzieć, ale nie zdołała dobyć głosu, więc tylko skinęła głową. Dax zwrócił się do stewardesy:

- Poproszę dwie brandy. - Keely w tym czasie próbowała się pozbierać. Oblizwała usta, kilkakrotnie mrugnęła, trzy razy westchnęła głęboko i wytarła o spódnicę mokre dłonie. Jego noga pozostała na miejscu. A może nawet przysunęła się odrobinę bliżej. Ciekawe, jakiego jest wzrostu. Nie zdążyła zauważyć, kiedy nagle pojawił się przy niej i ujął ją za rękę.

- Keely?

Spojrzała na niego. Miał bardzo poważną minę.

- Czy głosowałabyś na mnie, gdybym kandydował do Senatu? -
Roześmiali się oboje i napięcie ustąpiło. Stewardesa przyniosła brandy i Keely umoczyła usta. Nie smakowało jej, ale nie chciała się z tym zdradzać.

- Opowiedz mi o swojej pracy. Musi być przyjemna i ekscytująca -
zagadnął.

- Z zewnątrz wydaje się znacznie bardziej atrakcyjna, niż jest w rzeczywistości, zapewniam cię. Ale mnie się podoba.

- Czy nie męczą cię tłumy wielbicieli zebrzących o autografy?

- Nie zapominaj o tym, że ja pracuję w radiu. Ludzie nie znają mojej twarzy. Ale kiedy mam publiczne wystąpienie dla stacji radiowej, to rzeczywiście jestem traktowana jak VIP.

- Może powinnaś się przenieść do jakiegoś bardziej widocznego medium?

- Do telewizji? O, nie, dziękuję bardzo! - powiedziała stanowczo. -
Kamery wolę zostawić mojej przyjaciółce Nicole.

- Nicole... Nicole... a jak ona się nazywa?

- Nicole Castleman. Jest prezenterką wiadomości telewizyjnych o szóstej. Oni się mieszczą w tym samym budynku co moja stacja radiowa.

- Tak, widuję ją, ilekroć jestem w Nowym Orleanie. Blondynka?

- Tak. Mężczyźni nigdy nie zapominają Nicole - powiedziała Keely bez zawiści. - Od lat jesteśmy bliskimi przyjaciółkami. Nicole pławi się w swojej popularności. Jak gdzieś się razem pokazujemy, wszyscy się na nią gapią.

- Śmiem wątpić - powiedział Dax krótko. Ale kiedy Keely na niego spojrzała, stwierdziła, że mówi serio. Szybko odwróciła głowę.

- Mimo to nie zamieniłabym się z nią na pracę.

- Twoja musi być bardzo nerwowa. Jak ją godzisz z życiem osobistym? Z rodziną?

Było to pytanie zadane nie wprost i Keely postanowiła odpowiedzieć wymijająco. Uśmiechnęła się.

- Jakoś sobie radzę. Zmienił temat.

Zapaliło się światełko przypominające o zapięciu pasów i stewardesa przyszła po kieliszki. Pilot ogłosił, że podchodzą do lądowania na lotnisku krajowym. Oboje wysłuchali, nie słysząc, komunikatu o pogodzie w stolicy. Nie patrzyli na siebie, ale nie musieli; byli w dojmujący sposób świadomi swojej obecności.

Dłoń Daksa spoczywała na poręczu pomiędzy ich fotelami. Była mocna, o długich szczupłych palcach, porośnięta ciemnymi włoskami. Piękna dłoń, ze złotym sygnetem na serdecznym palcu i zegarkiem na pasku z krokodylej skóry. Tarcza zegarka wskazującego jedynie godzinę była okrągła, z grubymi rzymskimi cyframi. Bez kalendarza, budzika,

pozytywki, stopera, migających kolorowych cyferek ani żadnych innych bajerów. Tylko dwie cienkie wskazówki pokazujące czas. Keely spodobał się ten zegarek.

Biorąc pod uwagę pozycję Daksa, można się było spodziewać tradycyjnego szarego garnituru. Ale Dax Devereaux nosił beżowe spodnie i granatową dwurzędową marynarkę sportową, beżową koszulę i elegancki krawat w paski.

Keely nie dopatrzyła się w jego wyglądzie nawet najmniejszej skazy.

Dax pozornie też patrzył na swoją rękę, podczas gdy w gruncie rzeczy oceniał odległość pomiędzy swoimi palcami a gładką skórą damskiego uda. Keely bowiem siedziała z nogą skromnie założoną na nogę, ale w pozycji, która przyprawiała go o mękę, ponieważ widział niewielki skrawek uda w jedwabnej pończosze. Spod spódnicy zaś wyzierał rąbek niebieskiej koronki. Serce biło mu coraz szybciej. Błękitna haleczka. Ciekawe, czy połówka, czy pełna, na atlasowych ramiączkach.

Był wściekły na siebie za te frywolne skojarzenia. Keely nie zasługiwała na nie. A poza tym kręciło mu się od nich w głowie i czuł się wyraźnie nieswojo. Poruszył się więc w fotelu i zagadnął obcesowo:

- Jak długo zamierzasz zostać w Waszyngtonie?

- Ja... ja nie jestem pewna. To... to będzie zależało od kilku rzeczy - odpowiedziała mętnie.

- A gdzie się zatrzymujesz?

Keely skuliła się w sobie. To było niebezpieczne pytanie. Za dużo sobie pozwalał. Był zbyt przystojny, zbyt atrakcyjny. Trzeba to przeciąć, zanim się cokolwiek zacznie.

- Jeszcze nie wiem. Zadzwonię do jakiegoś hotelu z lotniska.

Mówiła niepewnym głosem i odwróciła oczy. Odgadł, że kłamie, ale szybko jej to wybaczył. Ostatecznie jest tylko ostrożna. Potwierdzało to jego wcześniejsze spostrzeżenia. Nie ma się co spieszyć. Znajdzie ją i tak.

- Było mi bardzo miło cię poznać, Keely. - Uśmiechnął się i przyjacielskim gestem wyciągnął do niej rękę. Potrząsnęła nią w równie przyjacielski sposób, cały czas zastanawiając się, jak głęboki może być dołek w jego policzku.

- Dziękuję ci, że pospieszyłeś mi na ratunek. - Lśniące wargi rozchyliły się, ukazując białe, równe zęby, i Dax z najwyższym trudem oderwał od nich wzrok.

- Do widzenia - powiedział, wstając i wycofując się do przejścia.

- Do widzenia.

Wrócił na swoje miejsce i zebrał rzeczy, przygotowując się do lądowania, które nastąpiło w kilka minut później bez żadnych zakłóceń. Keely na wszelki wypadek patrzyła przed siebie albo wyglądała przez okno.

Kiedy Boeing 727 zatrzymał się na dobre, siedziała jeszcze przez chwilę, zanim wstała i sięgnęła do skrytki po płaszcz. Starannie omijała wzrokiem kongresmana Devereaux, chociaż kątem oka widziała, że właśnie wkłada płaszcz. Zdecydowała, że sama się z tym wstrzyma. Mógłby się zaofiarować z pomocą. Wtedy musiałby jej dotknąć, a tego należało unikać.

Wzięła torebkę i niewielką teczkę, przerzuciła płaszcz przez rękę i ruszyła do wyjścia.

Czekał, żeby ją przepuścić.

- Masz jakiś bagaż? - zapytał.

- Tak. A ty? Potrząsnął głową.

- Tym razem podróżuję bez waliz.

- Mhm. - Nie wiedziała, co powiedzieć dalej. Weszła do jasno oświetlonego rękawa łączącego samolot z terminalem i ruszyła szybkim krokiem. Śmieszne. Powinna się do niego odwrócić i podjąć zdawkową, nie-obowiązującą towarzyską rozmowę. Wiedziała, że idzie tuż za nią. Ale i on się do niej nie odzywał. Zachowywali się jak para smarkaczy. Może tak zresztą jest lepiej. Ostrożność nakazywała utrzymywać jak największy dystans. Tak będzie bezpieczniej.

Weszła do hali przylotów i w chwili kiedy przekraczała drzwi, w ich stronę ruszyła fala fotoreporterów z kamerami i mikrofonami w pogotowiu. Keely odwróciła się z ciekawością.

Dax został natychmiast otoczony przez gromadę reporterów z błyskającymi fleszami. Z uśmiechem odpierał błyskawiczne pytania, żartując na temat paskudnej pogody w stolicy. Kiedy jeden z bardziej agresywnych dziennikarzy przypierał go właśnie do muru, Dax podniósł oczy i poprzez tłum napotkał jej wzrok. Uśmiechnął się niemal usprawiedliwiająco. Ruchem warg powiedziała mu do widzenia i odwróciła się w stronę schodów ruchomych.

Kiedy jej walizka została zdjęta z taśmy i zidentyfikowana według odcinka dołączonego do biletu, Keely wzięła bagaż i wyszła na ulicę. Bez trudu zatrzymała taksówkę i właśnie czekała, aż szofer schowa walizkę do bagażnika, kiedy z piskiem opon zatrzymała się obok druga taksówka.

Dax otworzył tylne drzwi, wyskoczył z samochodu i ciężko dysząc, stanął przed nią, jakby nagle wyrósł spod ziemi. Noc była zimna i jego oddech zawisł między nimi jak biały obłok.

- Keely... - Był zbity z tropu, zniecierpliwiony, niespokojny. - Keely, ja jeszcze nie chciałbym ci mówić do widzenia. Czy nie wstąpiłabyś gdzieś ze mną na kawę?

- Dax...

- Wiem, wiem, właściwie mnie nie znasz, a ty nie należysz do tych, co to podrywają facetów w samolotach czy gdziekolwiek indziej. Nie chciałem cię tym zaproszeniem obrazić. Ja tylko...

Przeczesał ręką potargane włosy. Miał podniesiony kołnierz płaszcza, który podkreślał surową linię jego szczęki. Poły płaszcza trzepotały na wietrze. Niezawiązany pasek zwisał luźno ze szlufek.

- Do diabła - zaklął cicho i wsadził ręce w kieszenie, widząc, że wstrzymuje ruch. Nagle spojrzał znów na Keely. - Ja bym po prostu chciał spędzić z tobą trochę więcej czasu, trochę lepiej cię poznać. Jeszcze nie jest tak późno. Pójdiesz ze mną na kawę? Bardzo cię proszę.

Kto by się oparł temu dołączkowi w policzku, temu uwodzicielskiemu uśmiechowi? A jednak Keely Preston musiała.

- Przykro mi, Dax, ale nie mogę.

Za jego blokującą ruch taksówką ktoś wściekle naciskał na klakson. Taksówkarz spojrzał na nich spode łba. Nawet tego nie zauważyli.

- Czy spotykasz się z kimś innym?

- Nie.

- Jesteś zmęczona?

- Nie, nie chodzi o to...

- A o co chodzi?

- Po prostu nie mogę. - Wzburzona przygryzła wargę.

- To nie jest żadna odpowiedź, Keely. - Uśmiechnął się łagodnie i zapytał: - Czymś cię uraziłem?

- Ależ skąd! - Gwałtowność tego protestu wprawiła go w euforię, a ją w zakłopotanie.

Odwróciła się i niewidzącym wzrokiem patrzyła na ruch uliczny i na światła lotniska, które migotały w zapadającej mgle.

- Wiesz, dlaczego nie mogę? - powiedziała tak cicho, że musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć. - Bo jestem mężatką.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Dax wyprostował się gwałtownie. Patrzył na czubek jej głowy, pochylonej, ponieważ Keely spoglądała na mokry beton pod nogami.

- Mężatką? - powtórzył ochrypłym głosem. Było to coś okropnego, nie do pomyślenia.

Popatrzyła mu prosto w oczy i tonem zupełnie obojętnym odparła:

- Tak.

- Ale...

- Do widzenia, Dax. - Wyminęła go, energicznie otworzyła drzwi taksówki, opadła na siedzenie i rzuciła kierowcy:

- Capital Hilton.

Taksówka oderwała się od krawężnika i zręcznie włączyła w strumień ruchu. Keely nawet tego nie zauważyła. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, przyciskając palcami boleśnie pulsujące miejsce na czole.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Dzień, o którym od lat myślała ze strachem. Na wysokości jedenastu tysięcy metrów nad ziemią poznała mężczyznę. Mężczyznę, który sprawił, że jej upór coraz trudniej było usprawiedliwić.

Keely Preston-Williams, mężatka od dwunastu lat, była bowiem żoną tylko przez trzy tygodnie.

Stanowili z Markiem Williamsem typową szkolną parę. On był gwiazdą sportu w niewielkim rodzinnym mieście w nadbrzeżnej części stanu Missisipi, ona zawołanym kibicem. Był rok 1969. Narkotyki, alkohol i nadmierna swoboda seksualna nie zawitały jeszcze do szkół

średnich w prowincjonalnych okręgach Południa. Środowisko, w którym się oboje wychowywali, było jeszcze ciągle dość tradycyjne. Nie wyszły z mody międzyszkolne rozgrywki futbolowe, pikniki i uroczystości parafialne.

Po ukończeniu szkoły średniej Mark i Keely zapisali się na uniwersytet stanowy. Mark, nadmiernie obciążony treningami sportowymi, nie podołał obowiązkom studenta i nie zaliczył już pierwszego semestru na uczelni.

W tamtych czasach wojna w Wietnamie stanowiła zagrożenie dla każdego młodego mężczyzny i Mark padł jej ofiarą. Kiedy komisja poborowa dowiedziała się o jego niepowodzeniach na uczelni, dostał powołanie do wojska. W dwa tygodnie później był już w drodze na ćwiczenia dla rekrutów piechoty morskiej.

Ślub zaraz po otrzymaniu przez Marka karty powołania był pomysłem Keely. To ona nalegała, płacząc, prosząc i grożąc, aż wreszcie uległ. Zgodził się pod jej presją i rodzice zostali zawiadomieni, że tego i tego dnia mają się stawić u pastora. Tak więc ślub został zawarty.

Na weekend pojechali do Nowego Orleanu, skąd wrócili do domu, i przez dwa tygodnie, dopóki autobus wojskowy nie zabrał Marka, mieszkali u jego rodziców.

Po trzech miesiącach spędzonych w Fort Polk w Luizjanie wysłano go do Fortu Wolters w Teksasie, gdzie miał przejść przeszkolenie jako pilot helikopterów.

Czterdzieści tygodni szkolenia zostało zredukowane do dwudziestu pięciu. Po sześciomiesięcznej rozłące Mark dostał tydzień urlopu, po czym wysłano go na front.

Małżeństwo zostało skonsumowane w typowy dla bardzo młodych ludzi sposób, pełen czułości, lecz i nieśmiałości. W ich żarliwych pocałunkach tuż przed wyjazdem Marka na drugą półkulę, do potworności, jakich nie mogli sobie wyobrazić nawet w najkoszmarniejszych snach, było coś uroczo niewinnego.

Keely w dalszym ciągu studiowała, w wolnym czasie pracując, żeby podolać wydatkom. Nocami pisywała do Marka długie, serdeczne listy. Odpowiedzi przychodziły sporadycznie. Czasami po dwie lub trzy naraz, to znów mijały tygodnie bez żadnych wieści. Czytała listy Marka po kilka razy, napawając się każdym wyznaniem miłości.

A potem - cisza. Całe tygodnie, miesiące nie miała żadnych wiadomości ani ona, ani zatroskani rodzice. Aż wreszcie przyjechał oficer wysłany do niej z Fortu Polk. Otóż widziano, jak helikopter Marka spada, ale nie wiadano nic o jego losach. Nie było zawiadomienia o śmierci. W szczątkach maszyny nie znaleziono ciała. Nie figurował również na liście jeńców wojennych. Po prostu zniknął.

I do dzisiejszego dnia Keely nie dowiedziała się o swoim mężu niczego więcej. Był jednym z dwóch tysięcy sześciuset mężczyzn określonych jako Zaginionieni w Akcji w południowo-wschodniej Azji.

Przez ostatnich kilka lat nie ustawała w wysiłkach na rzecz utrzymywania sprawy zaginionych w centrum publicznej uwagi. Wraz z innymi kobietami, które znalazły się w podobnej sytuacji, utworzyła grupę pod nazwą Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Zaginionych w Wietnamie, pełniąc funkcję jej rzeczniczki.

Usiadła wygodnie w przesyconej zapachem dymu papierosowego i kurzu taksówce, obojętnie patrząc na przemykającą za oknem panoramę

Waszyngtonu. Dwanaście lat. Czy teraz sytuacja jest cokolwiek lepsza niż wtedy, kiedy się dowiedziała o zaginięciu Marka?

Miotana między rozczarowaniem a rozpaczą, skończyła studia dziennikarskie i po zrobieniu dyplomu przeniosła się do Nowego Orleanu. Szukając pracy, wylądowała w „Times-Picayune” jako zwykle popychadło z szumnym tytułem służbowym młodszego reportera. Przez kilka lat powoli, ale systematycznie pięła się wzwyż, osiągnąwszy wreszcie mało atrakcyjną pozycję redaktora wydania. Sprawy, które jej powierzano do obsługi dziennikarskiej, były na tyle mało znaczące, że zwykle ginęły gdzieś w środku gazety przez nikogo nie-zauważane.

Dziennikarską pocztą pantoflową dowiedziała się, że reporter z lokalnego radia został nagle zwolniony z pracy za jakieś naruszenie dyscypliny służbowej. W przerwie obiadowej wybrała się do zgnębionego szefa, oczarowała go, wykorzystując swoje wdzięki, i już następnego dnia objęła nową posadę. Spodobała jej się ta praca. Była ciekawsza od wypisywania nudnych historyjek.

Nicole Castleman poznała w stołówce, kiedy sięgnęły jednocześnie po ten sam słoik keczupu. Zaprzyjaźniły się i kiedy ktoś wystąpił z nowatorskim pomysłem, żeby helikopter nadzorujący ruch uliczny wyposażyć w seksowną dziewczynę, Nicole zaproponowała Keely.

Keely wysłuchiwała tej propozycji z mieszaniną przerażenia i niedowierzania. Nigdy w życiu nie mówiła do mikrofonu! A poza tym codziennie latać helikopterem! No i Mark! Widziano, jak jego helikopter spada w płomieniach pod silnym ostrzałem. Potem była eksplozja, ale nie znaleziono ciała. Nie, to nie dla niej.

A jednak zdecydowała się ze względu na pamięć Marka, która w miarę upływu lat zaczynała się zacierać. Poza tym ta praca pozwalała jej przezwyciężyć uzasadniony lęk przed lataniem. Bo Keely Preston-Williams niechętnie się przyznawała do strachu.

Jej przyjaźń z Nicole Castleman zacieśniła się z biegiem lat, a ich rozmowy cechowała czasem niemal bolesna szczerłość. Poprzedniego dnia, kiedy Keely pakowała się przed wyjazdem, Nicole, siedząc po turecku na jej łóżku, usiłowała wyperswadować przyjaciółce tę misję.

- Czy jeszcze mało ci tej udręki? Chcesz koniecznie zostać męczennicą? Twoje poświęcenie dla spraw beznadziejnych to chyba najgorsza cecha twojego charakteru! - wykrzykiwała, jednocześnie pomagając Keely wybierać rzeczy.

- Nicole, tyle razy już walczyliśmy ten temat, że mogę ci to wszystko wyrecytować na pamięć. Powinnyśmy nagrać tę rozmowę i za każdym razem, kiedy pocujemy, że się na nią zanosi, po prostu puścić taśmę, i oszczędzając sobie gadania.

- Nie do twarzy ci z tą ironią, Keely, więc daruj sobie te bzdury z nagrywaniem na taśmę. Wiesz doskonale, że mam rację. Kiedy tylko się spotykasz z tamtymi żonami, popadasz w depresję, z której nie możesz wyjść tygodniami.

Odchyliła się, prezentując niektóre krągłości swej godnej pozazdrosczenia figury. Był to zresztą tylko jeden z jej atutów. Miała poza tym grzywę wspaniałych jasnych włosów, oczy błękitne jak morska woda i zwodniczo anielski uśmiech. Z usteczek cherubina potrafiła bowiem dobyć stek tak potwornych świństw, że nie powstydzilby się ich pierwszy lepszy marynarz.

- Ale ja to muszę robić, Nicole. One mnie poprosiły na swojego rzecznika, bo ja się do tego najlepiej nadaję. Powiedziałam im, że się tego podejmę, i podjęłam się. A poza tym wierzę w to, co robię. Nie dla siebie, tylko dla tamtych rodzin. Jeżeli Kongres przegłosuje uznanie naszych mężów za zmarłych, wtedy ich żołąd, który w tej chwili trafia do nas, zostanie nam odebrany. Nie mogę stać bezczynnie i na to patrzeć.

- Keely, ja wiem, że na początku, jak tylko powstało Stowarzyszenie, mieliście bardzo silną motywację. Ale gdzie jest koniec tego czyścica? Kiedy zwolniono jeńców wojennych i nie znalazłaś wśród nich Marka, byłaś dosłownie chora. Wiem o tym, bo tam byłam. Widziałam, jakie przechodziłaś piekło. Czy zamierzasz w kółko przechodzić tę drogę przez mękę?

- Tak, jeżeli to będzie konieczne. Dopóki nie dowiem się czegoś o losach mojego męża.

- A jeśli nigdy się nie dowiesz?

- Wtedy będziesz miała satysfakcję powtarzać: A nie mówiłam? Czy do tego granatowego kostiumu lepiej wziąć bluzkę popielatą, czy ecru?

- Szare z granatem to bardzo fajne połączenie -mruknęła Nicole z wyraźnym przekąsem. - Weź ecru. Przynajmniej nie będziesz wyglądała na wdowę.

A więc Keely znalazła się w Waszyngtonie, gdzie w imieniu Stowarzyszenia miała wystąpić przed podkomisją Kongresu, walcząc o to, by odstąpiono od propozycji oficjalnego uznania zaginionych w Wietnamie za zmarłych.

Czy kiedy stanie wobec tego szacownego grona, jej uwaga będzie skupiona na sprawie, którą reprezentuje, na sprawie zaginionych? Czy

może na mężczyźnie, którego poznała dziś wieczorem? Mężczyźnie, który powiedział jej nieśmiało: „Ja bym po prostu chciał spędzić z tobą trochę więcej czasu, trochę lepiej cię poznać”. I któremu musiała odpowiedzieć: „Jestem mężatką”.

- Hilton - rzekł lakonicznie taksówkarz. Keely zorientowała się w tym momencie, że już od kilku sekund stoją.

- Dziękuję - powiedziała.

Zapłaciła za kurs, wniosła do hotelu walizkę i zameldowała się w pokoju zarezerwowanym dla niej już od kilku tygodni. Podświadomie w formularzu wpisała „Keely Preston”, po czym, jakby po namyśle, dodała „Williams”.

Jej pokój był zimny, surowy i bezosobowy, jak większość pokoi hotelowych w wielkich miastach. A jaki był pokój, w którym spędzali z Markiem swój miesiąc miodowy? Nie mogła sobie przypomnieć. Niewiele pamiętała z tego krótkiego okresu po ślubie, kiedy byli razem. A kiedy go wspominała, jawił jej się zawsze gwiazdą futbolu albo gospodarzem ostatniej klasy szkoły średniej, albo w końcu jej chłopakiem na zabawie z okazji Dnia Zakochanych.

W ciągu tych dwóch nerwowych tygodni mieszkania u jego rodziców Mark był skrepowany tym, że Keely z nim sypia. Kiedy pierwszej nocy przysunęła się do niego na wąskim materacu, by go przytulić i pocałować, odsunął się i ściszym głosem zwrócił jej uwagę, że rodzice są tuż za cienką ścianą. Następnego wieczoru pod byle jakim pretekstem wyprowadził ją z domu. Pojechali nad jezioro, gdzie Mark zaparkował, a następnie wgramolili się na ciasne tylne siedzenie jego

chevroleta. Zarówno ta noc, jak i następne przyniosły Keely rozczarowanie, ale kochała Marka i tylko to się liczyło.

Po zdjęciu płaszcz dygotała z zimna. Puściła muzykę z aparatury stereo wbudowanej w nocny stolik, nastawiła termostat na odpowiednią temperaturę i zaczęła rozpakowywać walizkę, wygładzając każdą rzecz przed powieszeniem do szafy. Prawie skończyła, kiedy zadzwonił telefon przy łóżku.

- Halo.

- Keely, tu Betty Allway. Po prostu chciałam sprawdzić, czy dojechałaś szczęśliwie na miejsce.

Betty, o dziesięć lat starsza od Keely, miała trójkę dzieci. Jej mąż zaginął czternaście lat temu, ale Betty nie traciła nadziei. Podobnie jak Keely, nie chciała słyszeć o tym, żeby oficjalnie uznano go za zmarłego. Poznały się kilka lat temu jako działaczki Stowarzyszenia, często też ze sobą korespondowały i Keely czerpała inspirację z nieugiętej postawy Betty.

- Cześć, Betty. Jak się masz? Jak tam dzieci?

- Dziękuję. U nas wszystko w porządku. Jaka miałaś podróż?

Przed oczyma wyobraźni Keely przesunął się zaskakująco wyrazisty obraz Deksa Devereaux. Serce żywiej zabiło jej w piersi.

- Właściwie dobrą. Bez szczególnych wrażeń. - Kłamczucha, skarciła sama siebie.

- Masz tremę przed jutrem?

- Nie większą niż zawsze, kiedy mam stawić czoło grupie ponurych kongresmanów stojących na straży finansowych interesów społeczeństwa.

Betty roześmiała się dobrodusznie.

- Chyba nie będą tak groźni jak generał Vanderslice. Radziłyśmy już sobie w gorszych opałach. I wiesz przecież, Keely, że pokładamy w tobie nadzieję.

- Postaram się was nie zawieść.

- Jeżeli sprawy nie przybiorą pomyślnego obrotu, to przecież nie przez ciebie, Keely. O której mamy się rano spotkać?

Postanowiły spotkać się w hotelowej kawiarni, a stamtąd już razem udać się do Izby Reprezentantów.

Keely odłożyła słuchawkę, usiłując otrząsnąć się z przygnębienia, jakie ją nagle ogarnęło. Powoli zaczęła zdejmować wygniecione w podróży ubranie. Kiedy została w samej bieliźnie, ponownie zadzwonił telefon.

Betty musiała o czymś zapomnieć.

- Halo - powiedziała po raz drugi.

- A dlaczego nie nosisz obrączki? Zaniemówiła, przyciskając do siebie halkę, którą właśnie trzymała w ręku, jakby się bała, że Dax ją zobaczy przez telefon. Opadła na łóżko, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

- Zwróciłem się o pomoc do CIA.

- Co...

- Spokojnie, spokojnie. - Roześmiał się. - Nie znasz się na żartach? A tak naprawdę to pojechałem za tobą taksówką aż do hotelu.

Nie powiedziała ani słowa. Kompletnie ją rozbroił. Dygotała na całym ciele, kręcąc w palcach przewód telefoniczny, gapiąc się w pasiastą narzutę na łóżku i bojąc się chwili, kiedy odłoży słuchawkę i przestanie słyszeć jego cichy oddech...

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - odezwał się wreszcie, żeby przerwać ciszę, która żadnemu z nich nie wydała się krepująca.

- Co takiego? Aha, chodzi o obrączkę. Owszem, noszę obrączkę, ale nie wtedy, kiedy wiem, że będą mi się pociły ręce, tak jak na przykład podczas lotu. Dlatego dziś nie miałam obrączki.

- Rozumiem - powiedział tonem pełnym skruchy. - Ale nie możesz mieć za złe człowiekowi, że wyciąga niewłaściwe, choć pełne nadziei, wnioski. - Kiedy nie odpowiadała, spytał: - Prawda?

Roześmiała się, chociaż w gruncie rzeczy nie było w tym nic śmiesznego.

- Nie, istotnie nie mogę mieć za złe człowiekowi, że wyciągnął niewłaściwy wniosek. Powinnam ci była od razu powiedzieć, że jestem mężatką.

Znów zaległa cisza, tym razem może bardziej napięta niż poprzednio.

- Nic nie jadłaś w samolocie, musisz być bardzo głodna. Może byśmy wyskoczyli na coś małego?

- Dax!

- Dobrze. Przepraszam. Mam we krwi wytrwałość. I znów milczenie.

- Nie mogę z tobą iść, Dax. Proszę, zrozum mnie. Rozumiesz, prawda? - Nagle to, żeby ją zrozumiał, stało się dla niej bardzo ważne.

Doszło ją ciche westchnienie.

- Tak, niestety rozumiem.

- No cóż... - urwała. Co należało w tym momencie powiedzieć? Miałoby cię poznać? Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy? Życzę

szczęścia w wyborach do Senatu? Zamiast tego powiedziała po prostu: - Dobranoc. - Nie było to przynajmniej nic tak ostatecznego jak „żegnaj”.

- Dobranoc.

Odkładając słuchawkę, westchnęła z żalem. Niemal słyszała, jak Nicole wrzeszczy jej do ucha: „Na głowę upadłaś czy co?”.

Jeżeli kłóciły się nieustannie o działalność Keely w Stowarzyszeniu, to było to niczym w porównaniu z ich awanturami o sprawy sercowe Keely, a ściślej, o ich brak.

Nicole uwielbiała mężczyzn. A oni ją. Przebierała w nich jak w ulegawkach, traktowała jak jednorazowe chusteczki: zużywała, po czym wyrzucała niemal z dnia na dzień. Ale kiedy z którymś z nich była, oddawała mu się bez reszty. Jej partnerzy reprezentowali wszelkie możliwe typy, jeśli chodzi o wzrost, tuszę i pochodzenie. Kochała wszystkich bez wyjątku.

Jak Keely mogła pozostać wierna swemu mężowi przez dwanaście lat, przechodziło jej wyobrażenie.

- O Boże, Keely. Dwanaście lat z jednym mężczyzną to musi być koszmar, ale dwanaście lat z czułym wspomnieniem o nim to już kompletny idiotyzm.

- To nie jest jakiś tam mężczyzna, Nicole. To jest mój mąż - odpowiadała cierpliwie Keely.

- Dobrze. Jeżeli pewnego dnia ten twój ukochany mężulek wróci nagle do domu, w co śmiem wątpić, to czy sobie wyobrażasz, że ot tak, po prostu, podejmiesz wasze stosunki tam, gdzie je przerwałaś? Keely, chyba nie jesteś aż taka naiwna, żeby w to wierzyć. Na miłość boską! Przecież po tym wszystkim, co tam przeżył, to nie może być ten sam człowiek, którego

zapamiętałaś. A i ty już nie jesteś hożym dziewczęciem sprzed lat, moja kochana.

- Dziękuję ci bardzo - ucięła Keely krótko.

- To nie przytyk, Keely, to komplement. Jesteś kobietą. Potrzebni ci są mężczyźni czy może - jeśli to dla ciebie, z twoimi staroświeckimi poglądami, zbyt szokujące - mężczyzna. Pożyczę ci jednego z moich.

Keely roześmiała się mimo wszystko.

- Nie, dziękuję ci bardzo. Nie widzę wśród nich ani jednego, na którego miałabym ochotę. No, może z wyjątkiem Charlesa. - Spojrzała z ukosa na przyjaciółkę.

- Charlesa? Charles nie jest jednym z moich mężczyzn.

- Nie?

- Nie.

- On się w tobie kocha, Nicole.

- Kocha! Ani razu nie próbował iść ze mną do łóżka. Robi, co może, żeby mnie zdenerwować, i muszę przyznać, że mu się to udaje.

- Po prostu nie spełnia wszystkich twoich kaprysów, jeśli to miałaś na myśli.

- Ale my nie rozmawiamy o mnie i o Charlesie - powiedziała Nicole cierpko - tylko o tobie i o jakimś mężczyźnie.

- Dobrze. - Keely wzięła się pod boki i stanęła naprzeciwko Nicole. - Przypuśćmy, że poznam jakiegoś mężczyznę. Czy sądzisz, że jakiś mężczyzna zechce przez dłuższy czas chodzić ze mną do kina czy na kolację, nie domagając się w zamian niczego?

- Oczywiście, że nie. Jesteś atrakcyjną, inteligentną, seksowną dziewczyną i nie mam wątpliwości, że zrobiłby wszystko, żeby cię jak najprędzej zaciągnąć do łóżka.

- Tak też sędzę, ale ja nie mogę sobie na to pozwolić, Nicole. Bo jestem mężatką, czyjąś żoną. I w tym miejscu sprawa się kończy, kończy się przyjaźń i jestem w punkcie wyjścia.

- Niekoniecznie. Mogłabyś po prostu iść z nim do łóżka. Mogłabyś się w nim nawet zakochać, do czego przywiązujesz taką wagę. Mogłabyś uzyskać oficjalne uznanie Marka za...

- Dość tego, Nicole. - Ton ostrzeżenia w głosie Keely uniemożliwił dalszą rozmowę.

Nicole spuściła głowę, ze skrucą studiując swoje zadbane paznokcie. Wreszcie uniosła głowę i posłała Keely pełen poczucia winy uśmiech.

- Przepraszam cię, posunęłam się za daleko. - Objęła przyjaciółkę i ucałowała ją serdecznie. - Wybacz mi, że cię tak zadreczam, ale to dlatego, że cię kocham.

- Wiem o tym. I ja cię kocham. Ale w tej sprawie nigdy nie dojdziemy do porozumienia, więc lepiej zmieńmy temat, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Nicole, ale pod nosem mruknęła: - A ja mimo wszystko uważam, że gdyby się tobą jakiś dobry samiec porządnie zajął, toby ci tylko wyszło na zdrowie.

Gdyby Nicole wiedziała, że Keely odrzuciła zaproszenie na kawę Daksa Devereaux, jednego z najbardziej atrakcyjnych kawalerów w kraju, z pewnością udusiłaby przyjaciółkę.

To jest wykluczone, Nicole. Bardzo mi przykro, pomyślała, zapalając w łazience świetlówkę. Na rozluźnienie mięśni potrzebny jej był solidny ciepły prysznic. A potem skuli się na łóżku i przejrzy szkic swojego jutrzejszego wystąpienia.

Prysznic, jak się okazało, był zaledwie letni, ale w zupełności wystarczył i Keely, zawijając mokrą głowę ręcznikiem i wkładając gruby frotowy szlafrok, poczuła się znacznie lepiej. Niebieski hotelowy ręcznik gryzł się trochę z jaskrawożółtym szlafrokiem, ale cóż to miało za znaczenie.

Właśnie zapalała lampkę przy rozścielonym już łóżku, kiedy usłyszała ciche stukanie. Z ostrożnością charakterystyczną dla mieszkającej samotnie kobiety podeszła do drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte na łańcuch.

- Tak? - zapytała cicho.

- Służba hotelowa.

Oparła się o drzwi i przytknęła czoło do ich zimnej powierzchni. Na próżno usiłowała uspokoić rozszalałe serce. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć. Stwierdziła, że są całkowicie suche, i z trudem przełknęła ślinę.

- Czy oszalałeś?! - zdołała z siebie wyrzucić.

- Najwyraźniej - odparł Dax. - To jedna z najgłupszych rzeczy, jakie udało mi się ostatnio zrobić, ale... - Wyobraziła sobie, jak wzrusza ramionami. - Mogę wejść?

- Nie.

- Keely, zarówno twoja dobra opinia, jak i moja, nie mówiąc już o mojej kampanii wyborczej, prysną jak bańka mydlana, jeśli ktoś mnie

zobaczy pod twoimi drzwiami. Dlatego bardzo cię proszę: otwórz, zanim dojdzie do katastrofy. Mam coś dla ciebie.

Intuicyjnie wiedziała, że Dax nie ustąpi, dopóki jej nie zobaczy. Zwolniła łańcuch i otworzyła drzwi. Na progu stał Dax z tacą. Miał na sobie sportową koszulę i dżinsy, a na głowie czapkę boja hotelowego.

Roześmiała się i oparła o drzwi.

- Co ty tu robisz?

- Mieszkam - odparł, wymijając ją i stawiając tacę na małym okrągłym stoliku.

- Mieszkasz tutaj?!

- Tak, na najwyższym piętrze. Kawalerowi nie opłaca się kupować domu w Waszyngtonie. Jest drogi jak wszyscy diabli. Dlatego wynajmuję tu apartament.

- Widzę, że po drodze było ci za mną jechać - zażartowała.

- To prawda, ale ja bym i tak za tobą pojechał. - Dax nie żartował.

Zmieszana, cofnęła się o krok i spojrzała na tacę przykrytą białą lnianą ściereczką.

- A to co takiego?

- Służba hotelowa - powtórzył beczelnie Dax i ceremonialnym gestem zdjął serwetkę. - Ja nigdy nie kłamię.

Keely tymczasem uświadomiła sobie, że ma głowę owiniętą ręcznikiem, na sobie frotowy szlafrok i że jest boso. Speszona, zaczerwieniła się aż po dekolt i przemknęła koło Daksa, mówiąc:

- Zaczekaj chwileczkę.

- Pięknie wyglądasz - powiedział, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

Gdyby jej wtedy nie dotknął, mogłoby nigdy do tego nie dojść.

Zatrzymała ją nie tyle siła jego palców, ile ich ciepło, jakie odczuła na przegubie dłoni. Przystanąła, ale nie odwróciła się w jego stronę. Śmiech Daksa przycichł, a po chwili zamarł.

Delikatnie ciągnąc Keely za rękę, zmusił ją do odwrócenia się. W jej oczach było poczucie winy i strach; w jego niema prośba. Powoli zwrócili się ku sobie, aż Dax położył dłoń na jej policzku. Jego czarne oczy pełne były uwielbienia. Delikatnie przesunął palcem po jej drżących wargach. Bezwiednie przymknęła powieki, pod którymi zebrały się łzy.

Pochylił się nieśmiało i musnął ustami jej usta. Jej oddech uleciał przez uchylone wargi jak cichy, pełen męki szept. Spojrzał na jej niewiarygodnie delikatne, okolone długimi rzęsami powieki, i znów ogarnęła go fala pożądania.

Keely spontanicznie przytuliła się do niego. Ich ciała otarły się o siebie, odsunęły, zetknęły się, splotły ze sobą. Ostrożność prysła jak bańka mydlana, runęły wszelkie tamy zakazów i skrupułów. Seksualne napięcie, jakie w nich narastało od chwili, kiedy się po raz pierwszy spotkali, wybuchło jak długo tłumiona potężna siła.

Przygarnął ją do siebie, łącząc się z nią w długim pocałunku. Silne, a jednak delikatne ramiona Daksa trzymały ją w uścisku, od którego Keely zakręciło się w głowie. Jej dłonie znalazły jego talię i spoczęły lekko na pasku, aż wreszcie przeniknęły pod koszulę.

Ręcznik zsunął jej się z głowy i spadł na ziemię. Dax, przeczesując palcami mokre kosmyki włosów Keely, unieruchomił jej twarz w mocnym uchwycie i zatonął w głębokim pocałunku.

Przesunął ustami po jej wargach, delektując się każdym niuansem intymnego kontaktu, chłonąc jej smak, aż wreszcie śmiała pieszczota jego

języka nabrała takiego znaczenia, tak wielkiej żarliwości i tempa, a zarazem takiej dosłowności w swej erotycznej symbolice, że odskoczyli od siebie jak oparzeni.

Keely otarła łzę, przykrywając usta drżącą ręką. Dax, cały czas trzymając ją delikatnie za ramiona, wpatrzony w jej oczy, wzrokiem błagał o zrozumienie. Uwolniła się z jego uścisku i pobiegła do szerokiego okna.

Wstrząsana drgawkami bezsilnego szlochu, przylgnęła czołem do zimnej szyby.

Dax pozostał w miejscu. Opadł na krzesło i siedział ze spuszczoną głową, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Po chwili mocno potarł policzek i spojrzał na kobietę, która w dalszym ciągu stała przy oknie.

- Keely, błagam cię, nie płacz. Wybacz mi. Nie powinienem był tu przychodzić. Przysięgałem sobie, że cię nie dotknę, ale... - urwał niezręcznie.

- To nie twoja wina - powiedziała niemal szeptem. - Niepotrzebnie cię wpuściłam. - I po chwili namysłu dodała szczerze: - Ale chciałam.

Siedział na krześle, obojętnie wpatrzony w dywan pomiędzy swoimi butami, kiedy nagle Keely obróciła się twarzą do niego.

- Dax, byłam wobec ciebie nieuczciwa. Muszę ci powiedzieć coś więcej o sobie, o swoim życiu. Są sprawy, o których powinieneś wiedzieć. Wtedy mnie zrozumiesz.

Spojrzał na nią posepnie.

- Nie musisz mi nic mówić, Keely. Ja wiem o tobie wszystko. Jestem jednym z kongresmanów, do których jutro będziesz apelowała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdyby wyjął z kieszeni brzytwę i zaczął jej grozić, nie byłaby bardziej zaskoczona. Stała przed nim bez ruchu, wpatrzona w niego, oniemiała.

- To niemożliwe - wykrztusiła wreszcie. W odpowiedzi pokiwał głową.

- Ale twojego nazwiska nie ma na liście. Listę członków podkomisji mam od tygodni. - Rozpaczliwie usiłowała zachować zdrowe zmysły, przywrócić zakłócony porządek, odzyskać utraconą perspektywę.

- W ubiegłym tygodniu kongresman Haley z Kolorado został wybrany do komisji budżetowej. Moi wyborcy uznali, że byłoby dobrze, gdybym zajął jego miejsce.

Keely w dalszym ciągu nie opuszczała swego stanowiska przy oknie. Czyżby to był wał obronny, który wzniosła w swojej wyobraźni? Prędzej czy później będzie musiała przecież opuścić ten bezpieczny azyl. Podświadomie mocniej związała pasek szlafroka i oderwała się od okna. Podeszła do łóżka, ale zatrzymała się w odległości jakiegoś metra. Nie mając co zrobić z rękami, skrzyżowała je przed sobą w obronnym geście.

Gniew przewyciężył wstyd.

- No cóż, kongresmanie Devereaux, mam nadzieję, że uzbroił się pan w odpowiedni arsenał trafnych replik - powiedziała ironicznie. - I że moje starannie przygotowane wystąpienie poświęcone sprawie naszych mężów i naszej nadziei, że w dalszym ciągu żyją, okaże się niewarte funta kłaków, prawda?

- Keely...

- Możesz być z siebie dumny. Ciekawe, czy za każdym razem, kiedy chcesz, żeby jakaś sprawa została przegłosowana po twojej myśli, uciekasz się do tych samych środków?

- Przestań! - przerwał jej ostro. - Nie wiedziałem, kim jesteś, aż do chwili, kiedy znalazłem się w swoim pokoju. Miałem do przeczytania na jutro dosłownie sterty papierów. I zupełnym przypadkiem natknąłem się na informację, że rzeczniką Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy, która ma jutro przed nami wystąpić, jest niejaka Keely Williams. Ile znasz kobiet o imieniu Keely? Kiedy zjechałem do recepcji i dowiedziałem się, że pokój numer siedemset czternaście zajmuje Keely Preston-Williams, dodałem dwa do dwóch i wyszło mi cztery. Przysięgam ci, że do tej pory niczego nie podejrzewałem.

- Ale jak już się dowiedziałeś, to nie traciłeś ani chwili, tylko przyszedłeś sprawdzić, na ile uczciwe jesteśmy my, słomiane wdowy. - Ukryła twarz w dłoniach, wściekła na łzy, których nie potrafiła powstrzymać.

- Do diabła, uwierz mi, że ani moje przyjście tutaj, ani całowanie nie miało nic wspólnego z jutrzejszą sprawą, z wynikiem przesłuchania ani czymkolwiek innym.

- Czyżby?! -wybuchnęła.

- Nie! - krzyknął. Stał teraz twarzą do niej, podparty pod boki i równie zły i podniecony jak ona. Na widok jej oczywistego bólu i napięcia powtórzył już łagodniejszym tonem: - Nie.

Odwróciła się do niego tyłem, obejmując się mocno ramionami w obawie, że jeśli w sensie fizycznym nie będzie się trzymała kupy, to i jej

duch rozpadnie się na kawałki i uleci. O ile do tej pory była rozdarta pomiędzy różnymi racjami, to wtargnięcie Daksa Devereaux w jej życie po stokroć zwiększyło tę rozterkę.

- Ty nie rozumiesz - wyszeptała.

Miał ochotę do niej podejść, wziąć ją w ramiona, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale nie śmiał. Przygnębienie, widoczne w jej twarzy, mówiło o strasznej walce, jaką ze sobą toczyła. Należało ją pozostawić samą z jej decyzją.

- A może jednak mógłbym zrozumieć. Dlaczego nie miałabyś mi powiedzieć?

Znów odwróciła się ku niemu z gniewnym oskarżeniem w zielonych oczach.

- Nie jako kongresmanowi Devereaux - dodał spiesznie. - Wyjaśnij mi wszystko jako Daksowi.

Siedziała na brzegu łóżka, napięta, przygarbiona, w pozie obronnej. Dax z powrotem usiadł na krześle. Spokojnie, bez żadnych dramatycznych gestów czy akcentów, opowiedziała mu pokrótce historię swojej miłości i małżeństwa z Markiem Williamsem. Powiedziała mu o jego zaginięciu i pustce, jaką pozostawił w jej życiu.

- Nie jestem ani wdową, ani rozwódką. Jestem mężatką, ale bez męża, domu czy dzieci. Żyję jak kobieta wolna, ale nie jestem nią w całym tego słowa znaczeniu.

Przerwała, ale dalej na niego nie patrzyła, siedziała ze wzrokiem wbitym w kolana. Po dłuższej chwili zapytał łagodnie:

- A czy nigdy nie myślałaś o tym, żeby się uwolnić? Poderwała głowę do góry.

- To znaczy, żeby Mark został uznany za poległego? O to ci chodziło, tak? - spytała napastliwie. Mimo woli zawahał się pod presją jej ostrego pytania. - Otóż nie. Nie. Mimo silnych nacisków, jakie usiłowano na mnie wywrzeć, pozostałam wierna mojemu mężowi i wierzę, że w dalszym ciągu żyje. Na wypadek, choćby i mało prawdopodobny, że kiedyś wróci do domu, chcę na niego czekać. Bo poza mną nie będzie nikogo. Od czasu kiedy przyszła wiadomość o zaginięciu Marka, jego ojciec umarł, a matka zniedołężniała i mieszka w domu starców. To cierpienie... - Westchnęła i czubkami palców potarła czoło. - Pieniądze Marka idą na pokrycie kosztów jej utrzymania. Ja dla siebie nie biorę z tego nic. - Spojrzała mu teraz w oczy. - Dax, to przede wszystkim ona i kobiety, które zostały z dziećmi, rozpaczliwie potrzebują tych pieniędzy. Gdyby przeszedł projekt ustawy uznającej naszych mężów... - Urwała raptownie i wyzywająco uniosła brodę.

- A zresztą mam nadzieję, że jutro wysłuchasz tego, co mam oficjalnie w tej sprawie do powiedzenia, prawda?

Dax wstał. Robił wrażenie równie zmęczonego i przygnębionego jak ona.

- Tak, oczywiście, że wysłucham.

Bez słowa podszedł do drzwi, ale na progu odwrócił się jeszcze i powiedział:

- Nie zapomnij czegoś zjeść. - Gestem głowy wskazał zapomnianą tacę. - Dobranoc, Keely - dodał łagodnie i wyszedł.

Keely stwierdziła, że stoi pośrodku pustego nagle pokoju i patrzy na zamknięte drzwi. Beznadziejność, z której nie zdawała sobie sprawy,

spowiała ją jak całun. Poczwała się nieszczęśliwa i samotna. Tak, bardzo samotna. Niespodziewanie zateęskniła za Daksem.

Jej ocena własnego odbicia w lustrze wypadła nie najgorzej, choć może nie powinna była słucać Nicole i wziąć jednak szarą bluzkę. Miała prostą stójkę, która przechodziła w wiązany krawacik. Ta, którą przywiozła ze sobą, miała kołnierzyk i karczek rozszyty tiulem i koronką. No cóż, westchnęła, już za późno. Może ta odrobina kobiecości złagodzi nieco surowość granatowego kostiumu z prostą wąską spódnicą i żakietem.

Stroju dopełniały granatowe zamszowe czółenka, torebka w odpowiednim kolorze i kaszmirowy płaszcz w odcieniu podobnym do włosów. Keely wsunęła pod pachę prostą skózaną teczkę i wsiadła do windy, żeby się spotkać na dole z Bertą Allway, z którą się umówiła na śniadanie.

- Wyglądasz fantastycznie, jak zawsze - powiedziała na jej widok Bertę z odrobiną zazdrości w głosie, moderowanej przez szczery zachwyty.
- Jak ty to robisz, że żyjąc w Nowym Orleanie, tej światowej stolicy obżarstwa, zachowujesz taką szczupłą sylwetkę? Ja bym w ciągu miesiąca ważyła sto kilo.

Dobry humor Betty był zaraźliwy i już wkrótce Keely zaczęła z nią plotkować o pracy i dzieciach. Przyjaciółka nie żalowała szczegółów, opowiadając wyczerpująco o każdym z osobna.

- Mały miał zaledwie cztery miesiące, kiedy przyszła wiadomość o zaginięciu Billa. Nigdy nie widział ojca. A teraz mały jest zawodnikiem szkolnej drużyny koszykówki. - Wyraz smutku pojawił się w zwykle wesołych oczach Betty i Keely nakryła ręką jej spracowaną dłoń.

- Nawet jak już człowiek przyjmie to do wiadomości, to też nie jest mu lżej - myślała na głos Keely. - Nauczyliśmy się z tym żyć, ale tak naprawdę nigdy całkiem tego nie zaakceptowałyśmy.

- Ja nie mogę, nigdy nie zaakceptuję. Dopóki nie dostanę oficjalnego potwierdzenia śmierci Billa, nie przestanę wierzyć, że żyje. - Berty upiła łyk kawy. - Ale obawiam się, że możemy mieć przysłowiową kroplę dziegciu w beczce miodu. Zadzwoił do mnie dzisiaj rano kongresman Parker, przewodniczący podkomisji.

Keely pomyślała, że wie, o co chodzi, ale powiedziała tylko chłodno „O!” i ugryzła kawałek bułeczki.

- Kongresman, na którego poparcie, jak mi się wydawało, mogliśmy liczyć, został powołany do jednej ze stałych komisji. Zastąpił go Dax Devereaux z Luizjany. Znasz go może?

Keely odpowiedziała wymijająco:

- W Luizjanie każdy słyszał o Daksie Devereaux. - I spytała ostrożnie: - A czy myślisz, że on będzie przeciwny?

Betty, zatroskana, wpatrywała się w swoją filiżankę, aż kelner dyskretnie napelnił ją kawą.

- Nie wiem. Z tego, co o nim słyszałam, ma wielkie ambicje polityczne. W najbliższych wyborach zamierza kandydować do Senatu.

- To właściwie nic nie znaczy. Może uważać wzięcie naszej strony za punkt dla siebie.

- A jakie są jego poglądy na sprawy ekonomiczne?

- Nie jestem z jego okręgu wyborczego, więc nie wiem - odpowiedziała Keely zgodnie z prawdą.

- Słyszałam, że jest fanatycznym zwolennikiem ograniczenia wydatków budżetowych. I to mnie niepokoi.

Keely starała się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie, kiedy powiedziała:

- Ostatecznie w tej podkomisji jest jeszcze dziesięciu innych ludzi. Za wcześnie mówić o przegranej.

- Przegrana? Nigdy! - wykrzyknęła Betty z całym przekonaniem i zaśmiała się gorzko. Jej spokojne szare oczy napotkały nad stołem wzrok Keely. - Wiem, że to może nie fair wobec ciebie, ale uważam, że całe powodzenie naszej sprawy zależy od twojego wystąpienia.

Była to ostatnia rzecz, jaką Keely chciała usłyszeć tego ranka. Czowała się jak Judasz.

- Wiem. Zrobię, co będę mogła. - Ciekawe, co by powiedziała Betty, gdyby się dowiedziała, że wczoraj wieczorem całowała się z Daksem Devereaux z takim zapamiętaniem, że jeszcze dziś na samą myśl o tym się rumieniła.

- Chodźmy już - powiedziała energicznie. - Nie dawajmy im przynajmniej tej satysfakcji, że się spóźniamy. Z naszymi ludźmi spotkamy się na miejscu.

Zapłaciły i wyszły. Deszcz przestał wprawdzie padać, ale po ulicach hulał zimny wiatr. Zatrzymały taksówkę. Kierowca z trudem przebijał się przez poranny ruch, żeby je dowieźć do Izby Reprezentantów.

Keely chyba nigdy tak się niczego nie bała, jak spojrzenia Daksowi w oczy. Miała za sobą niespokojną noc. Śnił jej się Mark, a to ją zawsze wytrącało z równowagi. Od czasu kiedy wyjechał do Wietnamu, zdarzało

się to regularnie. Nawet potem, gdy został uznany za zaginionego, odgrywał w jej snach kluczową rolę.

Z biegiem lat jednak te sny stawały się rzadsze, bardziej mgliste. W każdym razie zawsze, kiedy Mark nawiedzał jej podświadomość, jawił jej się w dalszym ciągu jako młody dziewiętnastoletni chłopiec. A przecież teraz, jeśli żyje, musi być dojrzałym mężczyzną. Ciekawe, jak wygląda. Nie miała pojęcia, i to ją prześladowało. Mężczyzny, z którym łączyło ją nazwisko i święta przysięga, mogłaby nawet nie poznać, gdyby go przypadkiem spotkała na ulicy.

- Keely? - Betty lekko trąciła ją łokciem, wyrywając z tych rozmyślań, i Keely zapytała:

- Czy już jesteśmy na miejscu? Powtarzałam sobie w pamięci moje przemówienie. - Od kiedy to zaczęła łąć tak bezczelnie i z taką pewnością siebie? Od kiedy spotkała Daksa. Od kiedy z nim rozmawiała, śmiała się, dotykała go, całowała. Od kiedy przyznała, na razie przed samą sobą, że po raz pierwszy od lat zapragnęła fizycznej miłości mężczyzny.

Na korytarzu w budynku Kongresu spotkały jeszcze trzy inne kobiety. I one prowadziły energiczną kampanię na rzecz nieuznawania zaginionych za zmarłych. Betty i Keely znały je wszystkie i powitały serdecznie.

Woźny wskazał im salę, w której miało się odbyć przesłuchanie. Keely posadzono przy stoliku z mikrofonem. Betty siedziała obok niej. Inne przedstawicielki Stowarzyszenia zajęły miejsca za nimi.

Keely wyjęła z teczki notatki i ułożyła je porządkie koło torebki, robiąc wszystko, żeby tylko nie rozglądać się po sali, chociaż jak sądziła, Dax jeszcze nie przyszedł.

Woźni, doradcy, reporterzy i inni członkowie komisji kręcili się po sali, pozdrawiając się nawzajem, ściskając sobie ręce, rozmawiając, czytając gazety i biuletyny. Keely zdjęła płaszcz i jeden z porządkowych pospieszył jej z pomocą. Dziękowała mu właśnie spoglądając przez ramię, kiedy na salę wkroczył Dax.

Ich oczy się spotkały. Żadne z nich nie było w stanie ukryć wrażenia na widok tego drugiego, więc patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, nieświadomi obecności innych. Keely dostrzegła w jego oczach to samo pragnienie, które i ona odczuwała. Nastrój nie mijał. Przez całą niespokojną noc, kiedy budziła się ze swoich snów, tęskniła za objęciami nie Marka, tylko Daksa. Szeptane słowa otuchy, które sobie wyobrażała, wychodziły nie z ust jej męża, tylko z ust znajdujących się w pobliżu uwodzicielskiego dołka w policzku. I to właśnie oczy Daksa, czarne i przepastne, rozświetlały jej duszę.

Patrzyli na siebie aż do chwili, kiedy przed Daksem pojawił się jakiś inny kongresman i uścisnął mu serdecznie dłoń. Keely przeniosła wtedy wzrok na front sali, naciągnęła spódnicę na skrzyżowane kolana i pograżyła się w lekturze - czy też może tylko tak udawała - papierów, które trzymała w spoconych rękach. Jak ona to przeżyje?

W kilka minut później zapowiedziano przesłuchanie. Kongresman Parker z Michigan, przewodniczący komisji, po swoich uwagach wstępnych zaczął po kolei przedstawiać delegatkom Stowarzyszenia poszczególnych członków podkomisji. Przy Daksie Devereaux Betty lekko szturchnęła Keely. Keely nie wiedziała, co ma znaczyć ten gest, i na wszelki wypadek nie odwróciła się do Betty, żeby sprawdzić. Dax był najwyraźniej najmłodszym członkiem tego gremium. A niewątpliwie i

najprzystojniejszym. Ale czy był przyjacielem, czy wrogiem? Komisja liczyła jedenastu członków, a partia mająca większość w Kongresie miała przewagę jednego. Dax reprezentował właśnie partię większościową.

Kongresman Parker poprawił na nosie połówkowe okulary i ponad srebrnymi oprawkami spojrzął na Keely.

- A teraz bardzo proszę panią Williams, która, jak rozumiem, ma przedstawić stanowisko Stowarzyszenia. Słuchamy.

- Dziękuję bardzo. - Keely zwróciła się do członków komisji i przedstawicieli prasy, a następnie modulowanym głosem o lekko południowym akcencie przedstawiła sprawę w imieniu Stowarzyszenia. Ani nie czytała swoich obfitych notatek, ani nie cytowała z pamięci. Mówiła tonem swobodnym, z przekonaniem, ale jednocześnie tak, jakby to była bardzo osobista rozmowa z każdym z członków komisji z osobna.

W konkluzji powiedziała:

- Mamy nadzieję, że obecni tu członkowie komisji, jako świadomi i obdarzeni naszym zaufaniem przedstawiciele społeczeństwa amerykańskiego, nie dopuszczą do tego, żeby przeszedł ten projekt ustawy. Że dopilnują, by ci, którzy zostali uznani za zaginionych, byli uważani za żyjących, dopóki my, ich rodziny, nie uznamy, że jest inaczej.

Przez chwilę na sali panował spokój. Wszyscy siedzieli nieruchomo pod wrażeniem spokojnego i rzeczowego, a zarazem pełnego wymowy przedstawienia faktów przez Keely. Wreszcie poprzez szepty i szmery przebiło się słowo „brawo!”, podchwyczone natychmiast przez inne kobiety.

- Dziękuję bardzo, pani Williams. – Kongresman Parker spojrzął na stoły przygotowane do dyskusji panelowej i zwrócił się do członków

komisji: - Słucham panów. Czy mają panowie jakieś problemy do przedyskutowania?

Przez półtorej godziny Keely i jej zwolenniczki odpierały ataki i zadawały pytania. Po obu stronach zbierano i tracono punkty, ale większość członków komisji wydawała się sympatyzować z rzeczniczkami Stowarzyszenia.

Keely usiłowała nie patrzeć na Daksa, ale było to prawie niemożliwe. Nie brał udziału w gorącej dyskusji, siedział, podpierając twarz ręką, i przysłuchiwał się pilnie argumentom, jakie padały po obu stronach. Keely żałowała, że nie zna jego myśli.

Tylko jeden z członków komisji otwarcie demonstrował wrogość. Był to kongresman Walsh z Iowy. Jego pytania miały charakter napastliwy, a uwagi, w jego mniemaniu o kapitalnym znaczeniu, wygłaszał w sposób protekcyjny.

- Pani Williams - zwrócił się bezpośrednio do Keely znużonym i jakby nieco rozbawionym tonem - przepraszam za szczerość, ale pani wygląd nie wskazuje na biedę. Większość z pań, które są matkami albo żonami zaginionych, urządziła sobie życie na nowo. Czy nie uważacie, że korzystanie z pieniędzy rządu, które mogłyby zostać wydane na inne pożyteczne cele, jest z waszej strony nie fair?

Keely ugryzła się w język. Miała ochotę w bardzo stanowczej formie powiedzieć kongresmanowi, co myśli o nim i o jego przodkach, zamiast tego jednak oświadczyła:

- Nie widzę nic, co by było nie fair, w przyjmowaniu pieniędzy za wykonywaną pracę. A pan, panie kongresmanie? Nasi mężowie i synowie

w dalszym ciągu służą swojemu krajowi: przynajmniej tak zostało oficjalnie uznane. A zatem zasługują na żołd jak każdy inny żołnierz.

- Pani...

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym skończyć - powiedziała lodowatym tonem Keely. - Tu chodzi o coś więcej niż tylko pieniądze. Gdy zaginieni zostaną oficjalnie uznani za zmarłych, natychmiast ustaną wszelkie próby uzyskania jakichkolwiek informacji na temat ich losów ze strony wojska czy innych czynników oficjalnych. Jak długo istnieje choćby najmniejsza szansa, że setki tych ludzi gdzieś tam żyją, czy to w więzieniach, czy w jakichkolwiek innych warunkach, nie wolno nam do tego dopuścić.

Świętoszkowaty, pompatyczny kongresman oparł się wygodnie i skrzyżował grube ręce na tłustym brzuchu.

- Czy pani rzeczywiście, szczerze i uczciwie, wierzy, że pani mąż czy którykolwiek z tych mężczyzn w dalszym ciągu żyje? - Zanim Keely zdążyła odpowiedzieć, Walsh obrócił do Daksa swoją błyszczącą łysą głowę. - Kongresmanie Devereaux, nie słyszeliśmy jeszcze pańskiego zdania na ten temat. Pan przecież, jeśli się nie mylę, sam także służył w Wietnamie?

Zdumione spojrzenie Keely przeniosło się na Daksa. Zmieszana stwierdziła, że patrzy prosto na nią.

- Tak - usłyszała jego odpowiedź. Nie miała pojęcia, że Dax jest weteranem wojny wietnamskiej.

- W jakim charakterze? - nie ustępował Walsh. Oczy wszystkich zebranych spoczęły na Daksie.

- W charakterze kapitana piechoty morskiej.

- A jak długo był pan w Wietnamie?

- Trzy lata.

- No cóż, kapitan piechoty morskiej ma szansę brać w akcji dość żywy udział, jak sobie wyobrażam - ciągnął z namaszczeniem starszy mężczyzna. - Czy na podstawie własnych doświadczeń mógłby nam pan powiedzieć, czy to wyobrażalne, by ci zaginieni w dalszym ciągu żyli?

Dax wyprostował się i położył na stole przed sobą złożone ręce. Przyglądał im się uważnie dłuższą chwilę, zanim odpowiedział na podchwytliwe pytanie.

- Wojna w Wietnamie złamała praktycznie wszelkie zasady sztuki wojennej. Nie wydaje mi się na przykład wyobrażalne, by można było przekupywać małe dzieci, każąc im podbiegać do grupy żołnierzy i odbezpieczać granaty ręczne, a jednak byłem świadkiem takich rzeczy. Również niewyobrażalne wydaje się to, by działający pod wpływem narkotyków żołnierze zabijali swoich oficerów, a i takie rzeczy widziałem. Podczas jednej z potyczek zostałem lekko ranny. Jakiś stary Wietnamczyk, cywil, podał mi szklanekę wody i zanim uzyskałem pomoc medyczną, opatrzył mi ranę. Następnego dnia, w odległości paru metrów od miejsca, w którym spałem, znalazłem jego głowę zatknietą na pal. - Zimnym wzrokiem przeszył zdenerwowanego kongresmana i zakończył łamiącym się głosem: - W wojnie o takiej skali niewyobrażalnych okrucieństw wszystko jest wyobrażalne. Tylko w ten sposób mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Na sali zaległa cisza. Keely oczyma pełnymi łez patrzyła, jak Parker ogłasza przerwę na lunch.

Rozległ się gwar głosów ludzi, którzy sięgali po płaszcze oraz teczki i śmiejąc się, i gadając, bezskutecznie usiłowali rozproszyć ponury nastrój, jaki zapanował na sali po ostatnich słowach Daksa Devereaux.

Kobiety ze Stowarzyszenia, najpierw jako grupa, a potem indywidualnie, gratulowały Keely udanego wystąpienia, ściskając ją i nie szczędząc pochwał. Włożyła płaszcz, schowała do teczki papiery i z największym trudem powstrzymywała się przed spojrzeniem w stronę Daksa, obleżonego przez parlamentarzystów i reporterów.

- Dziękuję ci, Keely-powiedziała Betty, tuląc ją do siebie. - Byłaś wspaniała. Nie wiem, czy wygramy, czy nie. W każdym razie uważam, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- To jeszcze nie koniec. Nie sędzę, żeby kongresman Walsh tak łatwo dał za wygraną. Przypuszczam, że wystąpienie Da... kongresmana Devereaux jeszcze bardziej go rozjątrzyło i nastawiło do nas wrogo.

Betty patrzyła za zwalistą sylwetką Walsha, który właśnie wychodził, bezceremonialnie roztrącając tłumy reporterów.

- Co za bufon. A jaki mocny w gębie. Jemu chodzi tylko o to, żeby się dostać do wiadomości o szóstej. W konfrontacji z takim Daksem Devereaux wyjdzie na kompletnego idiotę, którym zresztą według mnie jest. - Rozejrzała się po sali i zatrzymała wzrok na Daksie, który właśnie udzielał wywiadu reporterowi jednej z sieci telewizyjnych. - To jest dopiero wspaniały facet, nie uważasz? - szepnęła.

- Który? - zapytała Keely, udając nieświadomość i jednocześnie czując przyspieszone bicie serca. - A, chodzi ci o kongresmana Devereaux? Wydaje mi się, że to człowiek z charyzmą. Nie jesteś pierwszą kobietą, która to zauważyła.

- Moim zdaniem ma szansę zajść wysoko, choćby z pomocą żeńskiego elektoratu. - Betty zachichotała po pensjonarsku. - Któż by się oparł temu dołączkowi. A z tego, co mówił...

- Przepraszam panie bardzo.

Odwróciły się i zobaczyły mężczyznę w średnim wieku o poważnym wyrazie twarzy, w brązowym tweedowym garniturze, któremu przydałoby się solidne prasowanie. Rzadkie szpakowate włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby właśnie wszedł do środka ze dworu, gdzie hulał silny wiatr. Na nosie miał okulary w drucianej oprawce, modnej jakieś dziesięć lat temu.

- Słucham? - spytała Keely.

- Jestem Al van Dorf z Associated Press.

- Witamy pana - odpowiedziała Betty.

- Wydaje mi się, że to panie reprezentują Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy, a przynajmniej robią wrażenie bardziej wymownych od innych członkiń tej grupy. Czy pozwolą panie zaprosić się na lunch? Byłbym zaszczycony, gdyby zechciały panie przy okazji udzielić mi wywiadu.

- Keely? - zwróciła się do niej Betty. Keely poczuła natychmiastową sympatię do reportera. Nie robił wrażenia ani pewnego siebie, ani agresywnego. Podobało jej się też, że wydawał się lekko speszony.

- Będzie nam bardzo miło - odpowiedziała.

- Dzięki - rzekł van Dorf, kłaniając się obu paniom. Swoim nieśmiałym uśmiechem ujął również Betty, a Keely wręczył kartkę. - Tu jest nazwa restauracji. Zarezerwowałem stolik i proponuję, żebyśmy się tam spotkali za, powiedzmy - spojrzął na zegarek - pół godziny. Chyba zdążymy dojechać.

- W porządku, będziemy - powiedziała Betty.

- A więc do zobaczenia. - Przełożył do drugiej ręki reporterski magnetofon i wykonał staromodny ceremonialny ukłon, po czym ulotnił się właśnie w chwili, kiedy podchodził do nich reporter telewizyjny, prosząc o parę słów. Betty wycofała się, zostawiając Keely sam na sam z kamerami i światłami.

Zanim wydostały się z sali, musiały jeszcze pożegnać się z innymi kobietami ze Stowarzyszenia i odpowiedzieć na pytania kolejnych dziennikarzy. Wreszcie pokonały kilometry korytarzy, a gdy wyszły z budynku Kongresu, zrobiło się późno i ledwie zdążyły dojechać taksówką na czas.

W taksówce Keely pospiesznie uczesała się i poprawiła usta, Betty zaś upudrowała nos. Były spóźnione zaledwie kilka minut, kiedy podjechały pod cichą restaurację niedaleko Embassy Row.

Weszły spiesznie do środka i zanim zdążyły się przedstawić, kierownik sali powitał je i zaprowadził do stolika.

Na widok Daksa siedzącego na kanapce pod ścianą Keely potknęła się o sfatygowany chodnik. Koło stolika stali van Dorf, Parker i Walsh. W obliczu tej grupy Betty poczuła się równie niepewnie jak Keely.

- Miło mi panie powitać - zwrócił się do nich van Dorf tonem znacznie swobodniejszym niż w Kongresie. Gdzie się podziała jego nieśmiałość? - Panie naturalnie znają tych panów, niemniej jednak pozwolę sobie ich przedstawić. Kongresman Walsh z Iowy, kongresman Parker z Michigan i kongresman Devereaux z Luizjany.

Przywitały się z wszystkimi panami po kolei. Ściskając dłoń Betty, Dax powiedział:

- Miło mi panią poznać, pani Allway.

Keely ośmieliła się na niego spojrzeć dopiero wtedy, kiedy jego palce zacisnęły się na jej dłoni. Jego wzrok pełen był ciepła i pożądania, którego, miała nadzieję, nikt poza nią nie zauważył. Dlatego ze zdumieniem przyjęła jego słowa:

- A panią miło znów widzieć, pani Williams.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Keely ukryła zaskoczenie i odpowiedziała spokojnie:

- Witam pana, kongresmanie.

- To państwo się znają? - Parker wypowiedział pytanie, które cisnęło się wszystkim na usta.

Kelly czuła, że Betty Allway wytrzeszcza oczy ze zdumienia, ale nie śmiała spojrzeć na przyjaciółkę.

- Tak - odparł swobodnie Dax. - Lecieliśmy tym samym samolotem i tam się poznaliśmy. Bardzo proszę, pani Williams. - Odsunął się, wpuszczając Keely między siebie i Parkera. Idąc za jego przykładem, Walsh odsunął krzesło dla Betty i posadził ją pomiędzy sobą a van Dorfem.

Keely podziwiała pewność siebie, z jaką Dax wybrnął z trudnej sytuacji, chociaż jego szczerłość wydała jej się niebezpieczna. Ciekawe, co sobie tamci pomyślą. Czy to ich w jakiś sposób speszzy, że ona i Dax poznali się wcześniej? Nie wyglądało na to. Parker zajęty był studiowaniem menu. Walsh hałaśliwie pozdrawiał jakiegoś parlamentarzystę siedzącego przy sąsiednim stoliku. Tylko na Betty zrobiło to wyraźne wrażenie. Keely zauważyła, że kiedy sięgnęła po szklanekę z wodą, jej ręka lekko drżała.

Dax, pozornie swobodny, pomógł Keely zdjąć płaszcz, jednocześnie plotkując z van Dorfem o świeżym skandalu bankowym, który reporter odkrył. Jego ręka, która przejechała delikatnie po plecach Keely, kiedy kładł płaszcz na oparciu kanapki, zadawała kłam obojętnym słowom.

Kelner zebrał od nich zamówienia na napoje i van Dorf zapytał:

- Czy mogę zapalić? -I nie czekając na odpowiedź, zapalił krótkiego papierosa bez filtra. Mówił z papierosem w ustach, ustawiając jednocześnie na środku stołu magnetofon. - Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyśmy odbyli taką sobie, ot, nieoficjalną rozmowę z dala od sali przesłuchań. Sprawa dotyczy pieniędzy, polityki w ogóle, polityki zagranicznej, wojska i ludzkich uczuć. Myślę, że rozumieją państwo, dlaczego uważam ją za ważną dla prasy. Czy mogę liczyć na szczerłość?

- Moje zdanie na ten temat jest powszechnie znane - odezwał się arogancko Walsh.

- Tak, tak, na pana zawsze możemy liczyć, kongres-manie, jeśli chodzi o jasne formułowanie opinii na dowolny temat - powiedział van Dorf. Tęgi przedstawiciel Iowy nie chwycił ironii. Oczy van Dorfa, w których jeszcze przed godziną tyle było pokory, teraz patrzyły na Keely i Betty z przenikliwą drapieżnością. Czyżby ten człowiek przeszedł gruntowną zmianę osobowości? Keely powoli dochodziła do wniosku, że jak wiele ofiar van Dorfa, została przez niego omamiona.

Zdjęła sztywną lnianą serwetkę leżącą na jej nakryciu i rozłożyła sobie na kolanach. Dax robił właśnie to samo. Keely zamarła, poczuła bowiem, jak łapie ją gwałtownie pod stołem za rękę i ściska. Kiedy po chwili położył z powrotem ręce na stole, jego niewinna mina nie zdradziła nic. Keely miała nadzieję, że jej nagle przyspieszony oddech położono na karb pieprzonego kawału, jaki właśnie opowiedział Walsh.

Kiedy przyszedł kelner zebrać zamówienia, Keely poprosiła o sałatkę cesarską. Dax zamówił stek i zwrócił się do niej z udaną naganą w głosie:

- Jak na tak dużą dziewczynkę, to bardzo skromnie. Roześmiała się cicho.

- To dlatego, że nie chcę dorosnąć.

- W ogóle za mało pani je.

- Kiedy ja zjadłam... - Już miała mu powiedzieć, że zjadła połowę z czterech kanapek, które jej wtedy wieczorem zostawił, kiedy kątem oka podchwyciła wzrok van Dorfa. Miał spojrzenie lisa. Oczyma wyobraźni niemal widziała, jak uszy robią mu się długie i spiczaste, kiedy wyteża słuch, usiłując podsłuchać przez stół ich rozmowę tak, by nikt tego nie widział. - Po prostu jakoś apetyt mi nie dopisuje - zakończyła.

Ponieważ Betty była pogrążona w rozmowie z Parkerem i Walshem, rozmowa Keely z Daksem wydawała się czymś naturalnym, oboje jednak wyczuwali zainteresowanie van Dorfa. Dax odwrócił się w stronę reportera i zapytał:

- Czy wtedy, kiedy nie tropi pan zwierzyny, dalej grywa pan w ping-ponga?

Dax miał nadprzyrodzoną zdolność trafiania w czuły punkt. Van Dorf natychmiast rozpoczął długą i szczegółową opowieść o ostatnich rozgrywkach, w których zwyciężył. Keely zastanawiała się, co by sobie reporter pomyślał, gdyby tak wiedział, że jej noga pod stołem niemal styka się z nogą Daksa.

Podczas jedzenia pogawędka ograniczyła się do ogólników. Nikt nie poruszył tematu, który takim ciężarem zalegał w świadomości wszystkich. Ale kiedy podano kawę, van Dorf zmienił taśmę w magnetofonie i zapalił kolejnego mocnego papierosa.

- Pani Allway, czy pani uważa, że pani mąż żyje? - zapytał obcesowo.

Betty, całkowicie zaskoczona, zakrztusiła się kawą, którą akurat miała w ustach.

- Ja... ja... ja bym nie mogła...

Keely szybko pospieszyła jej z pomocą.

- To nie jest przedmiot przesłuchania. Problem, czy żyje Bill Allway, mój mąż czy którykolwiek z zaginionych, nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. Naszym bezpośrednim celem jest dopilnowanie, by kanały, przez które ich śmierć może być potwierdzona, były otwarte. I to, żeby ich rodziny dostawały pieniądze, które im się słusznie należą.

- Czy pani się z tym zgadza, pani Allway? - zapytał van Dorf.

- Najzupełniej - odparła Betty, która już zdążyła odzyskać równowagę.

- Jestem ciekaw, co dziś po południu będą mieli do powiedzenia przedstawiciele kół wojskowych - rzekł Parker. - Czy ma pani choćby blade pojęcie o tym, jakie może być ich stanowisko, pani Williams?

- Podczas ostatniego spotkania miałyśmy ich poparcie. Sądzę, że nic się w tej sprawie nie zmieniło.

Walsh oparł się wygodnie i powiedział protekcjonalnie:

- No cóż, mała damo...

- Proszę nie zwracać się do mnie per „mała damo” - odparła chłodno Keely. - To mnie obraża.

Walsh speszył się nieco, ale odpowiedział z pobłażaniem:

- Zapewniam panią, że nie chciałem...

- Naturalnie, że pan chciał - obruszyła się Keely.

- Pańska opinia o nas nie jest tajemnicą. Uważa nas pan za histeryczki, które niepotrzebnie zajmują pański cenny czas. Ciekawe, jaki byłby pana stosunek do nas, gdybyśmy byli mężczyznami. Czy wtedy byłybyśmy bardziej wiarygodne? Zapewniam pana, kongresmanie, że w naszej organizacji jest wielu mężczyzn. Ojców, synów, braci. Są zdeterminowani w takim samym stopniu jak my, tylko jest im trudniej występować publicznie w sprawie, w której w grę wchodzi takie emocje. Z tych względów aktywniejsze są kobiety.

Przy stole zaległa cisza. Wreszcie przerwał ją Parker:

- Nie chciałbym, żeby członkowie tej czy innej komisji kierowali się jakimikolwiek uprzedzeniami.

- Mówiąc to spojrział groźnie na Walsh'a.

- Nie miałem zamiaru nikogo urazić i nie chciałbym, żeby mnie posądzano o szowinizm. Bardzo panią przepraszam, pani Williams - zagrzemiał kongresman z Iowy.

Ton Keely nie był ani trochę łagodniejszy, kiedy mu odpowiadała:

- Przyjmuję pańskie przeprosiny. Przykro mi, że przerwałam panu wątek. Do czego pan zmierza?

I tak dalej, przez najbliższe pół godziny, wymieniano myśli i argumenty. Przez cały czas zachłanny wzrok van Dorfa skakał z miejsca na miejsce jak piłeczka pingpongowa, taśma zaś kręciła się bez ustanku. Kiedy podano mu rachunek, naskrobał na nim swoje nazwisko i zerwał się raptownie.

- Myślę, że czas już na nas. Dziękuję za przyjęcie mojego zaproszenia. Za chwilę wezwą nam taksówki - dodał, kiedy wszyscy już wstali.

- Ja chyba pójdę na piechotę - oznajmił Parker.
- Pani pozwoli, pani Allway, że podam jej płaszcz.
- Z tymi słowami wręczył Betty płaszcz i odprowadził ją do drzwi.
- Jedzie pan ze mną, Devereaux? - zwrócił się do Daksa Walsh.
- Dziękuję bardzo, ale muszę jeszcze wstąpić do biura. Pojadę sam.
- Jeśli wobec tego nie zrobi to państwu różnicy, wezmę pierwszą

taksówkę.

- Bardzo proszę - odparł Dax, patrząc, jak Walsh odchodzi.

Van Dorf schował kasety z taśmami, po czym udał się do automatu po papierosy. Keely i Dax zostali na chwilę sami.

- Przypomnij mi, żebyś ci nigdy nie nadepnął na odcisk - szepnął blisko ucha Keely, podając jej płaszcz.

- Widzę, że masz ostre pazurki.

- Co za wstrętny głupi bufon - odparła. - Pajac. Czy możesz sobie wyobrazić takiego w Kongresie? To przerażające.

- Byłaś wspaniała. - Położył jej rękę na talii. Przypadkowy obserwator mógłby uznać, że to objaw zwykłej uprzejmości, że Dax po prostu wyprowadza ją z restauracji. Komuś bardziej spostrzegawczemu ten gest mógł się wydać pieśczętą.

- Dlaczego im powiedziałaś, że się już znamy?

- zapytała przez ramię.

- Powinnaś wiedzieć, że van Dorf to facet bez żadnych skrupułów.

Poszukuje następnej afery w stylu Watergate. Strzeż się go, Keely. To wilk w owczej skórze.

- Na mnie zrobił wrażenie raczej szczwanego lisa. Tak nas podprowadził, że byliśmy pewne z Betty, że poza nami dwiema nikt w

tym lunchu nie weźmie udziału. Jakoś zapomniał nam powiedzieć, że i wy, panowie kongresmani, jesteście jego gośćmi. Pod pozorami nieśmiałego zaproszenia zastawił na nas pułapkę.

- To łobuz. Chętnie wpackowałbym mu ten cały magnetofon do gardła. Albo w jeszcze odpowiedniejsze miejsce.

Keely nie mogła powstrzymać śmiechu. Wszystko to wyglądało trochę absurdalnie.

- Przypomnij mi, żebym ci nigdy nie nadepnęła na odcisk - powiedziała prowokacyjnie. - Bo wtedy dochodzi do głosu twój ognisty kreolski temperament.

- Czyżby? Przepraszam bardzo.

- Nie przepraszaj. To twój atut.

- Tak uważasz?

Rozejrzała się nerwowo dokoła. Betty i Parker stali przy drzwiach, czekając na obiecane taksówki. Van Dorf przeklinał automat za to, że wziął pieniądze, a nie dał papierosów. Walsh już nie było.

- Dlaczego im powiedziałeś, że poznaliśmy się już wczoraj wieczorem?

- Aha, takie było twoje pytanie. Widzisz, jak jestem przy tobie, cały czas myślę o tym, żeby... a zresztą nieważne. Ale żeby ci odpowiedzieć: gdyby van Dorf czy ktoś w jego stylu zobaczył nas wczoraj razem, a potem byśmy udawali, że się nie znamy, to z pewnością zwrócilibyśmy na siebie uwagę. Zawsze najbezpieczniejsze jest mówienie prawdy.

- A jeśli ktoś cię widział, jak wchodziłeś albo wychodziłeś wczoraj z mojego pokoju, to co wtedy?

W jego oczach zapłonęły wesołe iskierki.

- A, w tym wypadku najbezpieczniejsze jest kłamstwo.

Keely roześmiała się.

- Widzę, że z ciebie rasowy polityk.

Dax nie poczuł się dotknięty. Roześmiał się serdecznie, po czym zapytał łagodnie:

- A ty jak się miewasz? Odpoczęłaś choć trochę? Wolą, żeby nie spoglądał na nią z taką troską. Jego wzrok przesunął się pieszczotliwie po jej twarzy, która miękła pod jego spojrzeniem. Dlaczego serce bije jej tak mocno? Tak bardzo mocno, że aż koronka na karczku bluzki w widoczny sposób wznosi się i opada?

- Niestety, nie spałam najlepiej.

- Czuję się za to w pełni odpowiedzialny.

- Niesłusznie.

- Mimo to tak się czuję. Nie powinienem był cię denerwować. I nie zaprzeczaj, nie mów mi, że było inaczej. Kiedy powiedziałaś mi wtedy na lotnisku, że jesteś mężatką, powinienem był cię zostawić w spokoju. Tak byłoby najlepiej.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

Przyciągani przez jakąś magiczną siłę, zbliżali się do siebie coraz bardziej. Dax czuł przyspieszone tętno. Jego palce pragnęły jej dotknąć. Aż nazbyt żywo pamiętał smak jej ust. Pożerał ją wzrokiem.

Mimo woli zwilżyła językiem wargi.

- Tak - powiedziała bez tchu - tak by prawdopodobnie było najlepiej.

- Znów zapomniałem o pytaniu.

- Keely!

- Słucham? - Obróciła się na pięcie z poczuciem winy, jakby ją złapano na gorącym uczynku. To Betty wołała ją od drzwi. - Czy jest już może taksówka? - spytała Keely, z trudem łapiąc oddech.

Betty podejrzliwie patrzyła na jej zaczerwienione policzki i wznoszącą się w przyspieszonym rytmie pierś.

- Tak.

Pożegnały się z Daksem, podziękowały van Dorfowi, który w dalszym ciągu egzekwował od kierownictwa restauracji swoje pieniądze, i wyszły w towarzystwie Parkera.

Kiedy już się usadowiły z tyłu taksówki, Keely zaczęła bezskutecznie manipulować przy zamku torebki.

- Nie musisz mi oczywiście mówić - powiedziała Betty - ale przyznaję, że jestem ciekawa.

- Czego mianowicie? - Keely udawała obojętność, ale wiedziała, że nikogo nie oszuka. A szczególnie siebie.

- Kiedy dziś rano spytałam cię o Devereaux, miałaś świetną okazję, żeby mi powiedzieć, że go poznałaś. Dlaczego z niej nie skorzystałaś?

- Nie uważałam, żeby to było specjalnie ważne. Betty ujęła wilgotną dłoń przyjaciółki. Trzymała ją tak długo, aż Keely uniosła wzrok i spojrzała na nią.

- Kobiety są bardziej spostrzegawcze od mężczyzn. Mam nadzieję, że nikt poza mną nie zauważył prądów, jakie przepływały między tobą a przystojnym kongresmanem za każdym razem, kiedy na siebie patrzyliście. Nie chcę się wtrącać. Twoje życie osobiste to twoja sprawa, Keely. Nie mam zamiaru cię krytykować. Ostrzegam cię tylko, żebyś była

czujna. Nie rób nic takiego, co by naraziło na szwank twoją dobrą opinię i niezależność, nie mówiąc już o interesach Stowarzyszenia.

Keely energicznie potrząsnęła głową.

- Nigdy bym nie zrobiła czegoś podobnie głupiego, Betty. Możesz być spokojna.

- Nie bądź taka pewna. Mogę się wydawać stara i nienowoczesna, ale ja jestem bez męża czternaście lat. Mężczyzna z takim urokiem osobistym jak Dax Devereaux aniola by sprowadził na złą drogę.

Keely odwróciła głowę i niewidzącym wzrokiem patrzyła na pomnik Waszyngtona, który wskazywał w niebo jak oskarżycielski palec.

- Wiem, co masz na myśli.

Popołudniowa sesja rozpoczęła się od nudnego rutynowego wystąpienia jednego z generałów. Monotonnym głosem odczytywał jeden dokument za drugim z różnych dziedzin wojskowości. Nazwiska i stopnie wojskowe robiły na słuchaczach wielkie wrażenie, ale same dokumenty nie wносиły do sprawy nic nowego. Ilekroć rozdrażniony Parker usiłował przyprzeć referenta do muru i zmusić do zajęcia jednoznacznego stanowiska, generał wił się jak piskorz. Został poinstruowany, że jego komentarze mają mieć charakter ogólny, a opinie sprecyzowany. Kiedy rozległo się stuknięcie młotka oznajmiającego koniec sesji, wszyscy jak jeden mąż przyjęli je z westchnieniem ulgi.

Keely straciła Daksę z oczu, kiedy opuszczał salę. Umówiła się z innymi członkiniami Stowarzyszenia w Le Lion d'Or na dobrą kolację.

- Należy nam się to po dwugodzinnej dawce generała Adamsa - powiedziała Betty.

Po przyjeździe do hotelu rozeszły się do swoich pokojów. Perspektywa wieczoru nie cieszyła Keely tak jak powinna. Nawet ciepły prysznic, staranny makijaż i krepdeszynowa sukienka nie poprawiły jej nastroju.

Kiedy spotkała Betty na dole w hotelu, największym wysiłkiem woli ukryła przygnębienie.

Kolacja była wystawna, nastrój miły, a obsługa bez zarzutu. Na mocy niepisanej umowy kobiety nie rozmawiały o przesłuchaniach ani o ich spodziewanym wyniku. Rozmowa dotyczyła mody, najnowszego hollywoodzkiego skandalu, dzieci, fryzur, filmów, książek i diety. Śmiały się na myśl o tym, co by powiedział Walsh, gdyby je zobaczył w takiej drogiej restauracji.

Keely brała ożywiony udział w rozmowie, jadła i delektowała się winem, ale kiedy pożegnała się z koleżankami i wysiadła z windy, poczuła się zmęczona i nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się natychmiast położyć.

Przez cały wieczór myślami błądziła wokół Daksa. Oczyma wyobraźni widziała go w samolocie, jak ze współczuciem ujmuje ją za rękę, jak ją podtrzymuje na duchu. Jak w czapce boja hotelowego, z tacą w ręku, śmiejąc się i żartując stuka do jej drzwi. A potem jej myśli skupiły się na tym, o czym najbardziej chciałyby zapomnieć: na jego oczach, ustach, namiętnych, gorących i zaborczych, na dłoniach.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, położyła płaszcz na oparciu krzesła, a klucze i torebkę rzuciła na toaletkę.

- Co ja, do diabła, najlepszego robię? - zapytała ze złością swoje własne odbicie w lustrze. - Tylko się nad sobą znęcasz, Keely.

Kiedy się rozbierała, ręce i nogi miała jak z ołowiu. Umyła się, wklepała krem w twarz, uczesała i wreszcie rzuciła się na łóżko. Sięgała właśnie po budzik, kiedy zadzwonił telefon. Zakłęła pod nosem.

- Halo? - Czyżby Dax?

- Cześć, co robisz?

- Nicole! Cześć. - Ukryła nutę rozczarowania w głosie.

- Robisz wrażenie zmęczonej.

- Naprawdę? Ostatecznie nic w tym dziwnego... Ja... ja źle spałam w nocy, a dziś było dosłownie piekło. Ta sala człowieka przytłacza. Co u ciebie? Wszystko w porządku?

- W porządku. Charles wyciągnął mnie dzisiaj na kolację z dwoma sponsorami. Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć ich żon. Jakie były wysztafirowane. A Charles... Przeszedł sam siebie, nie masz pojęcia!

Charles Hepburn był jednym z najlepszych specjalistów od promocji w stacji telewizyjnej, w której pracowała Nicole. Sprzedawał korzystnie lokalnym klientom więcej czasu telewizyjnego przeznaczonego na reklamę niż wszyscy inni razem wzięci. Jego spokojny, nienarzucający się sposób bycia zjednywał mu potencjalnych sponsorów, zanim jeszcze Charles zdążył się zająć ich kontami.

- Nie nabierzesz mnie, Nicole. Wiem, że go ubóstwiasz.

Nicole westchnęła teatralnie.

- Owszem, jest w porządku. Pod warunkiem, że nie ma się pod ręką dosłownie nikogo i absolutnie nic do roboty.

Mimo kiepskiego humoru Keely roześmiała się. Nicole potrafiła rozproszyć nawet najgorszy nastrój, ponieważ nigdy się nie poddawała.

- Słuchaj, w naszych gazetach jest pełno Daksa Devereaux. Nie miałam pojęcia, że on jest członkiem podkomisji. A ty wiedziałaś?

- Dopiero jak tu przyjechałam.

- No i?

- No i co?

- Keely, czy naprawdę za każdym razem muszę to z ciebie wyciągać na siłę? Poznałaś go?

- Tak.

- No i?

- No i co?

Keely podskoczyła, słysząc przekleństwo Nicole.

- Nicole, jak się nie uspokoisz, to stopisz kable.

- Nie udawaj głupiej - sarknęła Nicole ze złością. - Co myślisz o Devereaux?

- Niewiele o nim wiem. Załedwie go poznałam.

- Do diabła, przecież chyba wiesz, że to najbardziej odjazdowy facet, jaki się tu pojawił od dłuższego czasu. Jeżeli go widziałaś, to musisz o tym wiedzieć. Zresztą chętnie bym go poznała bliżej.

- Nicole! - wykrzyknęła Keely. - A kiedy go poznałaś „dalej“?

- Ja... ja go właściwie nie poznałam. Po prostu był w lecie na pewnym przyjęciu i chociaż go w ścisłym tego słowa znaczeniu nie poznałam, to przecież wiedziałam, że jest. Pokazuje się z tą Robins. No wiesz, z tą, co to wyszła za tego starego, który wykorkował bardzo uprzejmie w pół roku po ślubie i zostawił jej niesamowity szmal, dom w Garden District, plantację bawełny w Missisipi i całą flotyllę statków.

Keely poczuła, jak coś ją ściska za gardło. Dax i Madeline Robins? Nie miała o tym pojęcia. Ze zdziwieniem stwierdziła, jak bardzo ją zabolalo, kiedy sobie wyobraziła Daksę z wesołą, bogatą, znaną z urody wdówką.

- Jesteś tam, Keely? - spytała Nicole, nie słysząc żadnego odzewu po drugiej stronie.

- Tak, po prostu jestem bardzo zmęczona. Dzięki ci za telefon, ale ja już naprawdę muszę się położyć.

- Oj, chyba coś ci odbiło, Keely. Jakoś tak dziwnie gadasz. Co się z tobą dzieje? - Nicole porzuciła żartobliwe przekomarzania i Keely wiedziała, że troska w jej głosie jest szczerą.

- No wiesz... - westchnęła - nie chcę cię denerwować opowieściami o Stowarzyszeniu.

- Aha, bo ty tam pojechałaś w tej sprawie, tak? Znasz moje zdanie na ten temat, więc nie będę traciła czasu.

- Dzięki.

- Nic by ci nie zaszkodziło, gdybyś sobie trochę podokazywała, skoro już tam jesteś. Idź do kina na prawdziwe porno i usiądź sobie koło jakiegoś autentycznego zboczeńca. Albo zafunduj sobie namiętny romans z jakimś dekadentem tyranem z Trzeciego Świata.

- Do widzenia - powiedziała Keely spiesznie. Nicole roześmiała się.

- Do widzenia, ponuraku. Cześć.

I nie czekając ani chwili dłużej, odłożyła słuchawkę. Keely nie pamiętała, kiedy przytknęła głowę do poduszki i zamknęła oczy.

Kiedy ponownie zadzwonił telefon, nie zdawała sobie sprawy, że od tamtej pory upłynęło kilka godzin. Macając w ciemności, znalazła wreszcie słuchawkę, ale długo nie mogła sobie z nią poradzić.

- Halo - powiedziała wreszcie.

- Dzień dobry.

Gwałtownie otworzyła oczy. Co za cudowne przebudzenie - za sprawą męskiego głosu. Tego głosu.

- Czy to już rano? - spytała. Jej słowa tłumiała poduszka.

- Obudziłem cię?

- Nie. - Ziewnęła. - Musiałam wstać, żeby odebrać telefon.

- Zabawne.

- Nie ma w tym nic zabawnego. Jest za wcześnie na zabawę. Która to godzina?

- Siódma.

Przewróciła się na bok i sprawdziła godzinę na zegarku elektronicznym przy łóżku.

- O Boże - jęknęła. - Zaspałam.

- Nic się chyba nie stało. Sesja zaczyna się dopiero o dziesiątej. Masz masę czasu.

- Wiem. Po prostu jestem przyzwyczajona wcześnie wstawać do pracy. Mam wyrzuty sumienia, jak za długo śpię.

- A o której zwykle wstajesz?

- O piątej.

- Brrr! Dlaczego?

- Bo o szóstej trzydzieści jesteśmy już w helikopterze. Szczyt poranny, zapomniałeś?

- Zadzwoiłem, bo nie zdążyłem ci powiedzieć wczoraj do widzenia. Musiałem przeczytać sterty papierów, a poza tym wiedziałem, że i tak cię samej nie zobaczę.

- Wczoraj wieczorem byłam na kolacji z tymi paniami. - Ciekawe, z kim on był na kolacji. - Wróciłam tak skonana, że sama nie wiem, kiedy zasnęłam.

- Ten odpoczynek ci się należał. Masz przed sobą następny trudny dzień.

- Tak.

Zaległo milczenie brzemienne w te wszystkie niewypowiedziane słowa, które jak gdyby nanizane na przewód telefoniczny, domagały się wyartykułowania.

- No to cóż, do zobaczenia później - powiedział w końcu Dax. Nie było to jednak to, co naprawdę miał ochotę powiedzieć.

- Dobrze - odparła. Czy tylko tyle jest w stanie z siebie wykrzesać? Powtarza się jak papuga.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

- Keely?

- Tak?

- Kiedy zasiądziesz za tym stołem, taka sztywna i oficjalna, pamiętaj, że jest na sali przynajmniej jeden mężczyzna, który chciałby cię przytulić.

Keely długo patrzyła na milczącą słuchawkę w swojej ręce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przesłuchanie wlokło się jeszcze przez półtora dnia. Stowarzyszenie znalazło sprzymierzeńca w jeńcu wojennym, z grupy tych, którzy zostali zwolnieni. W porywający sposób mówił, jak to wraz z innymi jeńcami nigdy nie utracili ufności, jaką pokładali w ojczyźnie. Również wtedy, kiedy znosili najgorsze poniżenie - zapewniał mówca swoje skupione audytorium - ani on, ani inni jeńcy nawet przez chwilę nie pomyśleli, że mogliby zostać zapomniani.

Keely wraz z innymi członkiniami Stowarzyszenia świętowała to małe zwycięstwo, radość jednak okazała się przedwczesna. Delegat ministerstwa skarbu bowiem wyjawiał w swoim wystąpieniu, ile kosztuje podatników wypłacanie żołdu rodzinom tych wszystkich ludzi, którzy najprawdopodobniej już dawno nie żyją. Walsh i wielu innych kongresmanów z powagą kiwało głowami, słuchając sprawozdania finansowego. Keely życzyła Walshowi, żeby go zaczął boleć brzuch - proporcjonalnie do swoich rozmiarów.

W ciągu wielu godzin przebywania na sali zρέcznie unikała wymiany opinii z Daksem, czy to umyślnej, czy przypadkowej. On najwyraźniej też uznał, że tak będzie lepiej, bo nie czynił żadnych w jej stronę awansów.

Robili wrażenie ludzi zupełnie sobie obcych, nieświadomych swojej obecności, ale pod tymi pozorami kryła się zupełnie inna rzeczywistość. Keely często czuła na sobie wzrok Daksa. Na wspomnienie porannej rozmowy telefonicznej czerwieniła się po cebulki włosów. Spoglądanie na niego było potrzebą, której nie potrafiła się oprzeć.

Jego zwyczaje wydawały jej się drogie i rozczulająco znajome. Na przykład ładne krawaty Daksa rzadko pozostawały zawiązane dłużej niż przez godzinę. Węzeł bardzo szybko padał ofiarą niespokojnych palców, które ciągnęły tak długo, aż ustąpił pod ich działaniem. Podobny los spotykał guzik pod szyją, mocną i ogorzałą.

Dax siedział wygodnie oparty, z łokciem na wyściełanej poręczy fotela, z twarzą wspartą na dłoni, tak że palcami niemal sięgał blizny pod okiem.

Słuchał pilnie, obserwował wszystko bacznie, szybko i energicznie robił notatki. I od czasu do czasu spoglądał na Keely.

Jedno z tych spojrzeń tak było intensywne, że nie mogąc się oprzeć pokusie, odwzajemniła je śmiało, choć wiedziała, że to nierozsądne. Wstrzymała oddech, serce jej zamarło, a dłonie zrobiły się wilgotne. Z oczu Daksa wyczytała, że w nie większym stopniu interesuje go to, co mówi prelegent, niż ją. Uniósł palec w niemym pozdrowieniu, ruchem tak dyskretnym, że nie zauważyłby go nikt poza osobą, do której był adresowany. Keely odpowiedziała przymknięciem powiek. Przesłanie oznaczało coś więcej niż tylko zwykłe: cześć. Mówiło ono: Chciałabym z tobą porozmawiać. Szkoda, że akurat w tej chwili jesteśmy tutaj. Szkoda, że tak wiele rzeczy było niemożliwych.

Trzeciego dnia w południe, ogłaszając przerwę na lunch, Parker zaproponował, żeby zawiesić przesłuchanie na popołudnie i cały następny dzień.

- Mamy za sobą całe trzy dni dyskusji - powiedział. - Myślę, że przed jej ostatecznym podsumowaniem przyda nam się trochę czasu, żeby

przetrawić to wszystko, cośmy tu usłyszeli, wyrobić sobie opinię, wyciągnąć wnioski i rozwiać wątpliwości.

Kiedy propozycja została jednomyślnie przyjęta, Parker stuknął młotkiem, odraczając dalsze przesłuchanie.

- Jakie to szczęście - westchnęła Berty z wdzięcznością. - Przyda mi się ten dzień na zrobienie porządku z włosami i paznokciami. Poza tym kończą mi się pieniądze i muszę znaleźć bank. A ty, Keely? Co byś powiedziała na jakieś zakupy po południu?

Keely uśmiechnęła się, ale potrząsnęła głową.

- Ja się nigdzie nie ruszam, ale nie wątpię, że inne panie chętnie ci potowarzyszą. Musisz mnie zwolnić, Berty. Pójdę do siebie i położę się z dobrą książką albo utnę sobie małą drzemkę.

Berty roześmiała się i poklepała ją po ramieniu.

- No to do widzenia. Zobaczymy się później na kolacji?

Keely zastanowiła się, po czym powiedziała:

- Jasne. Zadzwoń do mnie, jak wrócisz.

Betty odeszła, niespokojnie oglądając się za siebie. Zanim Keely zdążyła się zastanowić, dlaczego tak się dzieje, poczuła na ramieniu lekki dotyk i zobaczyła Daksa, który uśmiechał się zbyt szeroko i ostentacyjnie, żeby mogła być mowa o jakiegokolwiek intymności.

- Nie miałem okazji porozmawiać z panią od czasu tamtego lunchu, pani Williams - zaczął szybko. - Mam nadzieję, że przesłuchanie nie znudziło pani nadmiernie?

- Ależ skąd, kongresmanie. Byłam przygotowana na to, że sprawa nie pójdzie tak gładko. Jestem przekonana, że możliwość dokładnego rozważenia problemu przez panów wyjdzie nam tylko na dobre.

Skinął głową z wielką uwagą, jakby Keely mówiła o czymś niesłychanie ważnym, po czym podszedł bliżej i ze skrzyżowanymi na piersi rękami, przyglądając się bacznie wypolerowanym czubkom swoich butów, powiedział tak cicho, że go ledwie usłyszała:

- Ale jak się czujesz tak naprawdę?

- Dobrze.

- Dziś wieczór muszę iść na jakiś cholerny koktajl do ambasady francuskiej. Powiedziano mi, że jeśli chcę, mogę kogoś przyprowadzić. Może byś...

Zaproszenie zawisło w próżni, ale Keely dopowiedziała resztę.

- Nie, Dax - mruknęła. - Wiesz, że to by było niemądre.

Jego ponura mina doskonale pasowała do tematu, który powinni byli omawiać - do sprawy zaginionych.

- Tak, wiem - odparł cicho. - Mam nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie - powiedział już głośniej i wyciągnął do niej rękę. Ich oczy się spotkały i na ułamek sekundy świat przestał istnieć. Aż nazbyt szybko jednak powrócił.

- Witam, kongresmanie - odezwał się zza ich pleców Al van Dorf. - Czy mógłbym poprosić pana o oświadczenie w sprawie projektu ustawy o ograniczeniu zbrojeń, który był omawiany ostatnio w komisji?

- Bardzo proszę. Życzę miłego popołudnia - zwrócił się uprzejmie do Keely.

- Dziękuję bardzo. - Skinęła głową obu mężczyznom i wyszła, czując, że nogi ma jak z ołowiu. Upłynęło kilka minut, nim na Pennsylvania Avenue złapała taksówkę. Było jej wszystko jedno. Niemal żałowała, że nie poszła z Betty na zakupy. Popołudniowe godziny ziały

puszką. Wszystko było lepsze od ponurego siedzenia w hotelowym pokoju i marzenia o rzeczach niemożliwych.

Jak się okazało, niewiele zapamiętała z tego koszmarnego popołudnia. Po powrocie do swojego pokoju położyła się i szybko zasnęła. Obudziła się dopiero w kilka godzin później, kiedy Betty zapukała do jej drzwi. Z powodu brzydkiej pogody postanowiły zjeść kolację w restauracji hotelowej.

Kiedy po skończonym posiłku szły korytarzem do windy, Betty powiedziała:

- Kupiłam sobie nowy kostium. Wstąp do mnie, to ci go pokażę. A wieczorem telewizja nadaje stary film z Robertem Taylorem i Barbarą Stanwyck. Ty ich oczywiście nie pamiętasz.

Keely roześmiała się bez troski.

- Naturalnie, że pamiętam. Pozwolisz, że go obejrzę z tobą? - Nie miała najmniejszej ochoty wracać do siebie. Wiedziała, że po dłuższej drzemce nieprędko zaśnie.

- Serdecznie zapraszam. Zamówimy sobie butelkę wina i trochę podokazujemy - powiedziała Betty z entuzjazmem nastolatki.

W parę godzin później, po wypiciu kilku kieliszków wina i obejrzeniu starego sentymentalnego, czarno-białego filmu, Keely się rozmarzyła. Obie z Betty chichotały jak pensjonarki i płakały nad ckliwą historią miłosną. Wreszcie Keely pożegnała ziewającą Betty i lekko chwiejnym krokiem ruszyła pustym korytarzem.

Kiedy drzwi windy otworzyły się przed nią i w środku zobaczyła opartego o ścianę Daksa, wytrzeźwiała natychmiast. Jego ponura mina zniknęła. Stał na baczność jakby poderwany rozkazem surowego

sierżanta. Wyprostował skrzyżowane do tej pory nogi. Nonszalancko przewieszony przez ramię płaszcz spadł na podłogę. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Jedziesz na górę?

- Nie, na dół.

- To zapraszam cię na przejażdżkę - powiedział i widząc jej wahanie, dodał: - Nikt nie może mieć nam za złe, że spotkaliśmy się przypadkowo w windzie. Mieszkamy w tym samym hotelu. A poza tym co takiego może się wydarzyć w windzie? - Dax żartował oczywiście, ale Keely mimo woli spuściła wzrok i wbiła go w podłogę kabiny. - Zapomnij, co powiedziałem, i wchodź.

Weszła i drzwi zamknęły się za nią automatycznie, oddzielając ich od reszty świata. Odchrząknęła speszona.

- Jak się udał koktajl?

- Było hałaśliwie, dużo dymu i tłoczno.

- To brzmi zachęcająco.

Ale na Daksie przyjęcie nie zrobiło wrażenia - już w kilka minut po wyjściu prawie nic z niego nie pamiętał. Męczył się tam jak potępieniec. Jedząc bogato przybrane kanapki, cały czas zastanawiał się, jakie są ulubione potrawy Keely, i żałował, że nie może z nią dzielić smakołyków, siedząc przed kominkiem, na kanapie, w łóżku...

Wypił może odrobinę za dużo alkoholu, który dosłownie lał się strumieniami, cały czas roztrząsając problem, czy Keely lubi schłodzone białe wino, a słuchając skrzeczącego głosu tegiej, obwieszanej biżuterią żony jednego z dyplomatów, widział usta Keely, wilgotne i kuszące.

Wyobrażał sobie, jak spija złociste krople wina z jej warg miękkich jak płatki róży.

Inni mężczyźni pożerali wzrokiem sekretarkę senatora, której słynną figurę podziwiali i doceniali wszyscy na Capitol Hill. Tego dnia jej obfite kształty wypełniały obcisłą czerwoną suknię, a ciężkie piersi i szerokie biodra kołysały się prowokacyjnie. Jeszcze tydzień temu uwagi Daksa na temat jej anatomii swoją błyskotliwością dorównywałyby uwagom innych. Dziś wydawała mu się wulgarna i głupia. Jego myśli bowiem krążyły wokół znacznie subtelniejszej sylwetki. Delikatnej, kobiecej i zgrabnej. Pełnej krągłości, ale szczupłej. Dotykanej, a jednocześnie... niedostępnej.

- Jesteś na miejscu - powiedziała Keely. Winda przystanąła na ostatnim piętrze i drzwi rozsunęły się cicho. Po drugiej stronie korytarza był apartament Daksa - jakże mu się wydał teraz zimny i nieprzytulny. Jedyne źródło ciepła, przy którym mógłby się dzisiaj ogrzać, stało teraz obok niego i patrzyło w oszołomieniu.

- Gdzie byłaś? - spytał.

- U Berty. Obejrzałyśmy stary film i wypiliśmy butelkę wina.

- Czerwonego czy białego?

Przymknęła powieki, jakby się delectowała smakiem trunku.

- Złocistego - wyszeptała. Nagle szeroko otworzyła oczy. Głośne westchnienie Daksa wypełniło małą kabinę. Dax nacisnął guzik siódmego piętra i winda ruszyła. -Co...

- Pojadę z tobą na twoje piętro - wyjaśnił.

- Nie powinienes.

- Nie musisz mi mówić.

Odwróciła się urażona jego ostrym tonem.

- Przepraszam - powiedział ze skrucą. - Nie jestem zły na ciebie.

Jestem wściekły, że...

- Wiem - przerwała mu szybko. Im mniej słów, tym lepiej.

Winda zatrzymała się na jej piętrze i drzwi się otworzyły, ale zanim Keely zdążyła wysiąść, Dax nacisnął następny guzik. Nie zauważyła, który, a zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia. Drzwi zamknęły się znowu.

- Dax...

- Zabieram cię jutro sprzed hotelu. O dziesiątej rano. Strój dowolny.

- Ale ja nie mogę... - Potrząsnęła głową.

- Nie możesz ubrać się zwyczajnie? - zażartował i Keely po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczyła znajomy uśmiech, ten, od którego dołek w policzku Daksa stawał się głębszy, a oczy z hebanowych robiły się czekoladowe.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie mogę się z tobą spotkać.

- Jak to? Oczywiście, że możesz.

Winda stanęła i kiedy drzwi się otworzyły, ze zdziwieniem zobaczyli naprzeciwko siebie parę w średnim wieku. Zupełnie zapomnieli, że nie są sami na świecie.

- Dobry wieczór - powiedział wesoło Dax. - Państwo na które piętro?

- Na trzecie - odparł mężczyzna.

Dax nacisnął guzik i niedbale oparł się o ścianę, jakby był jednym z przypadkowych pasażerów.

- Skąd państwo przyjechali? - zagadnął.

- Z Nowego Meksyku, z Las Cruces - wyjaśnił mężczyzna. Kobieta patrzyła na płaszcz Daksa, w dalszym ciągu leżący na podłodze. Podniosła na Keely podejrzliwe spojrzenie krótkowidza. Keely w odpowiedzi uśmiechnęła się blado. Kobieta wzięła męża pod ramię, jakby szukała obrony przed zdemoralizowanymi typami z wielkiego miasta.

- Ach, w Las Cruces jest wspaniały uniwersytet - powiedział Dax.

- Uniwersytet stanowy! - rzekł mężczyzna z dumą.

- Otóż to! - Dax strzelił palcami. Keely mało go nie udusiła.

Najwyraźniej świetnie się bawił.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze i mężczyzna wyprowadził zdeglustowaną żonę.

- Życzę państwu miłego pobytu - rzucił za nimi Dax z uśmiechem jak z prospektu biura turystycznego. Drzwi windy zamknęły się ponownie.

- No więc, jak mówiłem...

- Nie, to ja mówiłam, Dax, że nigdzie nie idę.

- Ale przecież mamy wolny dzień. Jedziemy na wycieczkę. Tyle dni siedzieliśmy zamknięci w tym dusznym pomieszczeniu, że zaczynam nerwowo tego nie wytrzymywać. Ty już też jesteś zielona.

A tak naprawdę było dokładnie odwrotnie. Keely miała rumieńce, do których przyczyniło się skrepowanie i nadmiar wypitego wina, popołudniowa zaś drzemka i łzawe wzruszenia przed ekranem sprawiły, że błyszczały jej oczy. Do tego wszystkiego z uwodzicielsko potarganymi włosami wyglądała wyjątkowo ładnie i kusząco.

Dax nie spuszczał wzroku z jej ust, które otworzyła właśnie, żeby podjąć z nim dyskusję, ale wszelkie argumenty uwięzły jej w gardle.

Nawet bez pomocy szminki jej wargi lśniły swoją własną delikatną wilgocią porannej rosy. Nie mógł oderwać od nich oczu.

- Dlaczego niby dwoje przyjaciół nie może spędzić razem kilku godzin? - Nie byli przyjaciółmi i nigdy nimi nie będą. Oboje byli tego świadomi. Ale te szorstkie słowa wypełniały czas i przestrzeń, nie pozwalając mu przytulić jej i pocałować.

Wpatrzeni w siebie przestali cokolwiek mówić, przekazując sobie spojrzeniem więcej, niż zdołałyby powiedzieć słowa. Tym razem, kiedy winda przystanąła na jej piętrze, Dax nacisnął guzik przytrzymujący otwarte drzwi.

- Jutro o dziesiątej.

- Ale przecież ktoś... obojętne kto... może nas zobaczyć. Na przykład taki van Dorf... - Jej obiekcje nie miały żadnego znaczenia, oboje doskonale wiedzieli, że Keely przyjdzie na spotkanie.

- Nikt nas nie zobaczy. Pożyczyłem od przyjaciela samochód. Srebrny datsun. Będę krążył, aż wyjdiesz od strony ulicy K. Tylko nie skradaj się ani nie chowaj. I nie miej przestraszonej miny. Po prostu otwieraj drzwi i wsiadaj.

- Dax...

- Dobranoc. - Delikatnie wypchnął ją z windy. Był to sposób na oparcie się strasznej pokusie, która mogła go wiele kosztować. Nacisnął guzik i drzwi się zamknęły.

Przez chwilę Keely stała bez ruchu, niewierzącym wzrokiem wpatrzona w drzwi windy. Wreszcie oszołomiona poszła do siebie, by przygotować ubranie na jutro.

Po dłuższym namyśle zdecydowała się na szare wełniane spodnie, czarny półgolf i zakiet w jodełkę, który pasował do jednego i drugiego. Do tego postanowiła włożyć długie buty z czarnego zamszu, jako że zimna, deszczowa pogoda nie przyjmowała do wiadomości nieuchronnie zbliżającej się wiosny. Ponieważ nie miała pojęcia, dokąd Dax zamierza ją zabrać, postanowiła się przygotować na wszelką ewentualność. Za pięć dziesiątą wzięła płaszcz i wyszła z pokoju.

Serce biło jej niespokojnie w poczuciu winy i lęku, kiedy szła przez zatłoczony hol krokiem, który, jak miała nadzieję, wydawał się swobodny. Zaraz po dojściu do szerokich drzwi zobaczyła lśniącego srebrnego datsuna, który zatrzymał się przy krawężniku. Pchnęła drzwi, mocując się z wiatrem, schyliła głowę, żeby się upewnić, czy za kierownicą rzeczywiście siedzi Dax, i szybko wsiadła do samochodu. Roześmiali się oboje, kiedy zapadła w miękki skórzany fotel, i szybko odjechali.

- Dzień dobry - powiedział i korzystając z czerwonego światła, odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Dzień dobry.

- Byłaś bardzo punktualna.

- Punktualność to jedna z moich cnót. Ile razy zdążyłeś okrążyć ten kwartał?

- Trzy. Niecierpliwość to jedna z moich cnót. - Roześmiali się znowu z czystej radości, że są sami. Zły na światło, które się właśnie zmieniło na zielone, powrócił wzrokiem do kierownicy.

- Dokąd jedziemy?

- Mount Vernon.

- Mount Vernon! - Przez przyciemnione szyby samochodu spojrzała na mżawkę i niskie, ciemne, groźnie wyglądające chmury. - Dziś! Kto w taki dzień jedzie do Mount Vernon?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, zatrzymali się na następnych światłach. Dax złapał ją delikatnie za nos.

- Nikt... Dlatego jedziemy.

Doceniła jego bystrość lekkim skinieniem głowy.

- Nie bez powodu kandyduje pan do Senatu, panie Devereaux. Jest pan wyjątkowo bystry.

- Czasami jestem tak bystry, że aż mnie to przeraża - pochwalił się, za co został ukarany kuksańcem w bok.

Keely milczała, kiedy przedzierał się w gęstym ruchu Constitution Avenue w stronę mauzoleum Lincolna. Położyła płaszcz z tyłu, torbę umieściła na podłodze koło nóg i nastawiła radio.

Przez Arlington Memorial Bridge przejechali na drugą stronę Potomacu i autostradą nad rzeką ruszyli w stronę domu Waszyngtona. Drzewa ciągnących się wzdłuż drogi lasów swoją nagością przypominały o zimie.

- Za parę tygodni, jak zakwitną derenie i drzewa judaszowe, zrobi się tu pięknie - zauważyła Keely.

- Tak. Bardzo lubię, jak u nas kwitną krzewy. Ze wszystkich stron domu mamy azalie i kiedy są w pełnym rozkwicie, widok jest naprawdę cudowny. Wynajmujemy specjalnego człowieka tylko do pielęgnacji krzewów.

- Wynajmujemy?

- Niezupełnie jasno się wyraziłem. W dalszym ciągu za główny dom uważam dom rodziców. Ale kilka lat temu przeprowadzili się do mniejszego, w drugim końcu naszej posiadłości. Oficjalnie chodziło o to, żeby oszczędzić ojcu wspinania się po schodach, ale w gruncie rzeczy chcieli, żebym w tym wielkim dworzyszczu poczuł brzemień samotności, co miało mnie zmusić do znalezienia sobie żony i obdarzenia ich wnukami.

- No a ty dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Po prostu jeszcze nie znalazłem takiej osoby, która byłaby dla mnie na tyle ważna, że chciałbym dzielić z nią życie. - Dax na chwilę przeniósł wzrok z malowniczej drogi na Keely. - Jak taką osobę znajdę, zrobię wszystko, żeby ją tam ściągnąć.

Gardło Keely zacisnęło się tak samo mocno jak pięści, które spoczywały na jej kolanach. Odwróciła się, nie wytrzymując jego zniewalającego spojrzenia.

- A jaki jest ten twój dom? Stary?

- Nie. Rodzina Devereaux miała swoją siedzibę rodową, ale została ona zniszczona podczas wojny przez wojska Unii. Dopiero w tysiąc dziewięćset dwunastym roku wyrównaliśmy straty poniesione podczas wojny i zbudowaliśmy nowy dom. Jestem do niego bardzo przywiązany, ale nie będę ci o nim opowiadał. Mam nadzieję, że sama go kiedyś zobaczysz.

- Czy on jest w Baton Rouge?

- Trzydzieści kilometrów od Baton Rouge.

- A ile macie ziemi? Wzruszył ramionami speszony.

- Dostyc, żeby mieć i dochód, i jeszcze trzymać kilka koni.

- Pan odpowiada wymijająco na moje pytania, panie Devereaux. To talent, który pan z pewnością rozwinął w częstym obcowaniu z reporterami. Roześmiał się.

- Złapałaś mnie.

Keely nie nalegała więcej, a Dax nie wrywał się z dalszymi informacjami. Najwyraźniej krępowało go bogactwo rodziny. Był to temat wielu niewybrednych artykułów w prasie. Resztę dwudziestopięciokilometrowego odcinka drogi spędzili w miłym milczeniu. Na parkingu zastali zaledwie kilka samochodów. W miejscu przeznaczonym dla autokarów, gdzie zwykle były ich dziesiątki, stał teraz jeden.

- A nie mówiłem? - powiedział Dax. - Będziemy praktycznie sami. Wątpię, żeby George i Martha mieli kiedykolwiek tak dobrze. - Pieszczotliwie ujął ją pod brodę, sięgnął za siedzenie po płaszcz i wysiadł, a następnie otworzył jej drzwi. Na jedną krótką chwilę położył jej dłonie na ramionach, po czym wziął ją delikatnie za łokieć i poprowadził w kierunku bramy.

Ubrana w kostium w stylu kolonialnym dama, siedząca w zakratowanym okienku, powiedziała:

- Nie najpiękniejszą wybrali państwo pogodę, żeby nas odwiedzić, ale mam nadzieję, że deszcz państwa nie wystraszy i że obejrzycie również zabudowania zewnętrzne. Co jakieś dwadzieścia minut przewodniczka zbiera grupę. Zresztą nie przestrzegamy ściśle tego rozkładu, poza latem, kiedy mamy bardzo dużo gości. Już się zbiera grupa, która zacznie od zwiedzania domu. Mogą się państwo przyłączyć, przewodniczka zaraz przyjdzie.

- Dziękujemy bardzo. - Dax nagrodził ją jednym ze swoich słynnych olśniewających uśmiechów. - Ja nawet chciałem przyjechać w lecie, ale dziś jest praktycznie jedyny dzień, kiedy siostra miała czas.

Keely spojrzała na niego w kompletnym osłupieniu. Dax szedł długim, swobodnym krokiem.

- Chyba zwariowałeś! - mruknęła pod nosem. Nie patrzył w jej stronę. Był skupiony na wyławianiu z głębokiej kieszeni płaszcza składanej parasolki. Nacisnął guzik i otworzyła się nad nim z głośnym trzaskiem.

- Czy ty uważasz, że ludzie uwierzą w to, że ja rzeczywiście jestem twoją siostrą? - Przystanąła na zwirowanej ścieżce wiodącej do domu.

Trzymając rozpiętą nad nimi parasolkę, Dax przez jakiś czas wpatrywał się w Keely uważnie.

- Nie, nie sędzę. Musimy to przećwiczyć. Masz, trzymaj. - Ku jej bezgranicznemu zdumieniu wcisnął jej do ręki parasolkę. - Siostrzyczko! - wykrzyknął, łapiąc ją za ramiona. - Na jaką piękną wyrosłaś kobietę!

- Nachylił się i złożył na jej ustach mocny pocałunek.

- Chodź, niech no cię obejrzę!

Oszołomiona jego aktorstwem stała potulnie, podczas gdy Dax bezceremonialnie rozsunął poły jej płaszcza, a potem zakietu, pełnym podziwu wzrokiem ogarniając jej zgrabny, obciągnięty sweterkiem biust.

- Nigdy nie przypuszczałem, że z takiego długonogiego, płaskiego jak deska stworzenia wyrośniesz na taką zgrabną pannę.

Keely już otworzyła usta, żeby go przywołać do porządku, ale nim zdążyła to zrobić, Dax podjął:

- Jest ci wspaniale właściwie w każdym kolorze. Wiesz o tym? - W jego paplaninie zmienił się ton, czubkami palców delikatnie muskał jej policzek. - Jest ci do twarzy w czarnym. Ale podobałaś mi się też bardzo i w zielonym, wtedy w samolocie. - Zniżył głos do szeptu. - Nie mówiąc już o tym, jak cudownie wyglądasz w żółtym, frotowym szlafroku. Czy jest wśród kolorów tęczy taki, w którym wyglądałabyś blado, który by gasił blask twoich oczu i odbierał połysk włosów?

Palcem uwodzicielsko głaskał ją po brodzie. Zobaczyła swoje odbicie w przepastnej głębi jego czarnych oczu i była zaskoczona wyrazem rozmarzenia, jaki dostrzegła na swojej twarzy. Nie powinnam stać tak blisko niego, zauważyła w myślach, ale nie powiedziała tego na głos, nie chcąc psuć nastroju chwili.

A jego palce nie powinny dotykać jej ust. To gest stanowczo zbyt intymny jak na stosunki między siostrą a bratem. Ale mimo że zdrowy rozsądek mówił co innego, usta rozchyłały się posłusznie, a głowa Daksa pochylała się nad nią niebezpiecznie nisko. Nagle zobaczyli nadchodzącą grupkę czterech osób. Dax cofnął się, speszony.

- Idziemy, siostrzyczko - mruknął, biorąc od niej parasolkę i ruszając w stronę niewielkiego wzgórza, na którym wznosiło się okazałe domostwo i gdzie zebrała się już gromadka turystów.

Po chwili zjawiała się przewodniczka i poprowadziła przemoczonych, ale wytrwałych amatorów zwiedzania pod górę. Tekst, jakim ich raczyła, był naturalnie wykuty na pamięć, ale na szczęście dość urozmaicony i utrzymany w tonacji konwersacyjnej. Keely i Dax wspinali się po schodach, zaglądali do pozagradzanych linami pokojów i podziwiali pamiątki - po to, by bardzo szybko o nich zapominać.

Kiedy oficjalne oprowadzanie się skończyło, zostali zaproszeni do zwiedzenia budynków gospodarczych, najróżniejszych dobudówek i całego terenu. Podczas gdy większość turystów udała się do siodłami i kuchni. Keely i Dax poszli do małego budynekczku mieszczącego przedmioty osobistego użytku Waszyngtonów.

- Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że gdybyś został prezydentem, to w dwieście lat później jacyś ludzie snuliby się po twoim domu i oglądali twoją brzytwę?

- Ja używam nożyków jednorazowych, ale przypomnij mi, żebym zawsze miał elegancko wyczyszczoną sztuczną szczękę. - Roześmiali się i Dax spontanicznie przytulił ją do siebie.

Potem poszli obejrzeć grób Waszyngtonów.

- Czy słyszałaś, że podobno Waszyngton kochał się w czyjejś żonie?
- spytał cicho Dax.

- Tak? - zdziwiła się Keely.

- Tak mówią.

- To tragiczne.

- Może nie takie znów tragiczne. Może miłość do tej kobiety była czymś szczególnie cennym w jego życiu.

- Może. - Ale dlaczego chciało jej się płakać?

- Przecież to w niczym nie umniejszało jego zasług dla kraju. Nie widzę w tym nic zdrożnego.

- Teraz nie - powiedziała Keely zmienionym głosem. - Ale wtedy te sprawy mogły być bardzo ważne dla osób zainteresowanych.

Dax westchnął i ten lekki powiew poruszył jej włosy, które musnęły delikatnie jego policzek.

- Może i masz rację.

Odeszli od grobu i wrócili przed budynek główny. Aby rozproszyć pełen zadumy nastrój, Dax zaproponował, żeby jeszcze przed odjazdem coś przekąsili.

- Sądzę, że mają tu niezłą restaurację i nie trzeba rezerwować stolików - powiedział Dax, otwierając drzwi prowadzące do niemal pustej sali restauracyjnej.

Stoliki i krzesła z drewna klonowego stały w równych rzędach na podłodze z klepki dębowej, w oknach wisiały białe nakrochmalone zasłony, a każdy stół zdobił wysoki mosiężny lichtarz ze świecą, która rzucała ciepły blask na ściany wyklejone staromodną tapetą.

Tylko trzy stoliki były zajęte. W kominkach płonął ogień i Dax poprowadził Keely do jednego z nich, w pobliżu okna wychodzącego na doskonale utrzymany ogród. Natychmiast zjawiła się przy nich kelnerka, która przyjęła zamówienie na krem z mięczaków. Po zjedzeniu zupy Dax przywołał ją ponownie.

- Interesowałby nas jakiś deser. Co państwo proponują?

- Ciasto domowe z jabłkiem, wiśniami albo orzechami.

- Cudownie. Poprosimy dwie porcje z wiśniami.

- Nie, ja poproszę z orzechami - poprawiła go Keely.

Dax spojrzał na nią z udanym oburzeniem.

- No wiesz, przyjdź do domu Jerzego Waszyngtona i nie zjeść ciasta z wiśniami! To postawa antyamerykańska.

Keely roześmiała się, ale do kelnerki powiedziała:

- Poproszę z orzechami.

- Niech będzie - rzekł z lekką urazą Dax. - I do każdej porcji lody waniliowe.

- Nie, ja poproszę bitą śmietaną. Spojrzał na nią spode łba.

- Przepraszam, kto zamawia, ty czy ja?

Keely i kelnerka roześmiały się jednocześnie z jego naburmuszonej miny.

- Nie spytałeś mnie, na co mam ochotę, a ja mam ochotę na bitą śmietaną.

Sfrustrowany, potrząsnął głową i z przesadną uprzejmością zapytał:

- Kawa?

- Herbata - odpowiedziała wyniośle Keely. Kelnerka, z długopisem zawieszonym w powietrzu, nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu.

- Ze śmietanką? - spytała.

- Nie.

- Tak - niemal jednocześnie powiedziała Keely.

- Wydaje jej się, że jest kobietą wyzwoloną - skomentował scenicznym szeptem Dax.

Kelnerka nachyliła się i powiedziała:

- Lubię małżeństwa, w których panuje duch partnerstwa. - Z tymi słowami odeszła, zamiatając spódnicą.

Keely spojrzała na swoją lewą rękę, która leżała na stole. Pomyłka była zrozumiała. Na trzecim palcu miała prostą złotą obrączkę. Kątem oka zobaczyła, jak dłoń Daksa coraz bardziej się przybliża, aż wreszcie nakrywa jej rękę.

- Ona myślała, że jesteś moją żoną - powiedział łagodnie. - Jak długo tak uważa, nie rozpoznając nas, możemy spokojnie trzymać się za ręce. - Wsunął swoje długie palce pomiędzy palce Keely i ścisnął.

- Ja też tak myślę. - Keely odwzajemniła uścisk. Patrzyli na ogień wesoło trzaskający na kominku i na monotonnie padający deszcz, który strugami spływał po szybach. Ten deszcz rozmywał krajobraz, łagodził ostre kąty świata, przyćmiewał jaskrawe światło rzeczywistości, pozwalając im chociaż przez chwilę uważać, że jest inaczej, niż było naprawdę. Patrzyli więc sobie w oczy niesyci wzajemnej bliskości.

Ciepła atmosfera restauracji otulała ich jak kokon, szcęk zastawy stołowej i sztuców nie był w stanie zagłuszyć sygnałów, jakie sobie przekazywali.

- Dopiero teraz zauważyłem - odezwał się Dax - że masz przekłute uszy. Czy to bolało?

- Jak diabli.

Uśmiechnął się szeroko, ale nie roześmiał.

- Kiepski byłby z pani polityk, panno Preston. Jest pani zbyt bezpośrednia.

Panno Preston. Nie pani Williams. Tutaj dla niego była panna Preston.

- Skąd ci się wzięła ta blizna pod okiem?

- A co, bardzo jest szpecąca? Zrobię sobie operację plastyczną.

- Nie waż się! Ona jest... - Już miała powiedzieć „piękna”, ale się rozmyśliła w obawie, że się obrazi za taki kobiecy komplement. Czarne brwi Daksa uniosły się pytająco. - Wyglądasz z nią jak szelma.

- Bo ja jestem prawdziwym łotrem. Jeśli mam być szczerzy, to jeden z mniej nobliwych Devereaux służył pod rozkazami Lafitte'a.

Przymrużyła oczy i przekrzywiła głowę.

- Owszem, bez trudu mogę sobie wyobrazić ciebie jako pirata.

- Może ja też powinienem sobie przekłuć uszy. Nie, raczej jedno. To by wyglądało... znacznie bardziej szelmowsko.

Roześmiali się oboje, a tymczasem nadeszła kelnerka i postawiła między nimi tacę.

- Czy masz ochotę na jeszcze coś? - zapytał Dax, kiedy skończyli deser.

- Chyba żartujesz. Ledwie oddycham.

- A może chciałabyś pobiec do samochodu, żeby stracić parę kalorii?

- Będę szczęśliwa, jak się dowlokę - wyznała, wkładając płaszcz, który Dax jej podał. Zapłacili i ociągając się, wyszli z ciepłego, przytulnego wnętrza na panujący na dworze chłód. Przemykając szybko do samochodu, rozchlapywali kałuże, deszcz bowiem padał z jeszcze większą zaciekłością niż poprzednio.

Zimny silnik trzeba było przez chwilę namawiać, nim wreszcie zapalił, i Dax ostrożnie wyprowadził samochód na autostradę.

- Straszna ulewa - zauważyła zatroskana Keely, kiedy przejechali w strugach deszczu kilkanaście kilometrów. Nawet przy największej szybkości wycieraczki nie nadążały zbierać wody, która tworzyła dosłownie ścianę przesłaniającą drogę.

- To szaleństwo jechać w taką pogodę. Myślę, że najlepiej będzie... - zawiesił głos, nie kończąc zdania, i przez zaparowane okna przyglądał się poboczu. - O, jest! - wykrzyknął, naciskając pedał hamulca, aż samochód

zwolnił na tyle, że mógł skręcić w spokojną boczną drogę. - Poczekajmy tutaj, aż trochę przestanie padać.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Droga była pocięta koleinami i jeszcze kilkanaście metrów sportowy samochód podskakiwał na nich, nim Dax zatrzymał go na dobre. Zaparkował pod opiekuńczymi konarami dębu i zgasił silnik. Cisza, jaka zapadła, wydawała się ogłuszająca. Radio nagle zamilkło. Wycieraczki przestały mrużyć, a silnik wibrować. Tylko deszcz nadal bębnił w karoserię.

Dax wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Nie jest ci zimno? Może byś włożyła płaszcz? Zanim wyjechali z Mount Vernon, zdjęli płaszcze i wsadzili zwinięte za oparcia siedzeń.

- Nie, w środku jest wystarczająco ciepło.

- W każdym razie powiedz mi, jak ci się zrobi zimno. Albo podam ci płaszcz, albo zapalę silnik i niech przez chwilę pochodzi na luzie. -

Przejechał ręką wzdłuż jej ramienia aż do dłoni, którą zaczął masować.

- Masz lodowatą rękę.

- Wiem. Nigdy nie mogę rozgrzać rąk.

- Włóż je do kieszeni.

- To nic nie pomaga.

- To włóż je do moich kieszeni. - Nie było to tylko przekomarzanie się.

- A co ty zrobisz wtedy, żeby sobie rozgrzać ręce?

- Była to jawna prowokacja, której nie mogła sobie odmówić. Jego oczy zamigotały w mrocznym wnętrzu samochodu.

- Coś wymyślę - odparł szeptem. Spletli ręce i Dax przycisnął każdy z jej palców po kolei. Przyglądał się kontrastowi, jaki tworzyła jego owłosiona dłoń z gładkością jej skóry. Następnie powoli uniósł rękę Keely do ust, delikatnie muskając wargami koniuszki jej palców.

- Jeśli już miałem przypadkowo spotkać w samolocie żonę jednego z zaginionych w Wietnamie, to dlaczego musiała wyglądać akurat tak jak ty? Być tobą? - Mówiąc, ustami wodził po wnętrzu jej dłoni i całował ją.

- Nie powinienes był mówić...

- Szszsz. Jeśli już nie mogę nic innego, to przynajmniej pozwól mi mówić, Keely. - Wstrzymała oddech.

- Ale przecież gdybyś tak nie wyglądała, tobym nie pospieszył ci na pomoc jak jakiś niewczesny sir Galahad, prawda?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Czowała między palcami ciepłą pieśczętę jego języka, który powoli wciskał się we wszystkie szczeliny. Był to gest zbyt erotyczny, by na niego przyzwolić, a jednocześnie zbyt przyjemny, żeby go zakazać. Dax przykrył sobie usta jej dłonią i spojrzał Keely w oczy.

W małym, dusznym wnętrzu samochodu niezaspokojone pożądanie ciężko wisiało w powietrzu. Ich oddech skraplał się na zimnych szybach, pokrywając je wilgotną mgłą. Każdy dźwięk był spotęgowany przez panującą ciszę. Kiedy Dax nachylił się do Keely, jego ubranie zaszeleściło jak jesienne liście na wietrze. Każdy szczegół wydawał się jakby powiększony. Mógł niemal policzyć ciemne rzęsy na jej dolnej powiece. Za każdym oddechem kącik jej ust drgał ledwie dostrzegalnie. A były to

piękne usta i Dax od pierwszej chwili, kiedy je zobaczył, uznał je za swoje.

Keely nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek czuła się taka bezradna. Jakby się unosiła na powierzchni wody z lekkością piórka, a jednocześnie jakiś ciężar ciągnął ją w dół. Czuła w sobie niezwykłą wprost siłę, a mimo to ogarniała ją jakaś dziwna niemoc. Całe jej ciało tętniło życiem, a przecież stan Keely przypominał umieranie.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wyciągnęła do niego rękę, dopóki nie dotarło do niej, że odgarnia mu z czoła niesforny kosmyk ciemnych włosów i wodzi palcem po wąskiej bliźnie pod okiem.

W ciszy, jaka zapanowała, słychać było tylko od czasu do czasu jej imię wymawiane z nabożną niemal czcią, a potem nagle ich wargi spotkały się w pół drogi. Gdyby Keely zamknęła oczy, mogłaby nie wiedzieć, że jej w ogóle dotykał, tak lekkie były to muśnięcia. Ale miała oczy otwarte i dzięki temu zauważyła, jak Dax się cofa. Poczowała się zawiedziona. Powiedział wszak, że do jego cnót należy niecierpliwość. Chciała się o tym przekonać.

Ale Dax nie zamierzał wykorzystywać jej nastroju. Włożył jej rękę pod swój sweter i przycisnął je do owłosionej piersi.

- Ogrzej sobie ręce o mnie. - Opuścił sweter i ujął jej twarz w dłonie. Zaczęła powoli poruszać palcami po jego skórze, gorącej jak ogień. Obserwował wyraz jej twarzy. Przymknęła oczy, palcami coraz śmielej błądząc pod jego swetrem, sięgając coraz dalej i dalej. Westchnęła cicho i rozchyliła wargi. Jego usta natychmiast do nich przywarły, jakby spijały jej oddech.

Kiedy przerwał pocałunek, Keely sama poszukała jego ust, nieśmiało, po dziewczęcemu, delikatnie. Był zdumiony jej młodzieńczą nieporadnością, jej brakiem doświadczenia. W miarę jednak jak coraz śmielej sobie poczynała, coraz mocniej ją do siebie tulił.

W pewnym momencie, odsuwając się, żeby nabrać tchu, wyszeptał jej do ucha:

- Pamiętaj, żebyś się mnie nigdy nie bała. Nie ma potrzeby. - Jej nieśmiałość brał za podszytą strachem ostrożność.

- Ja wiem, wiem... To nie o to chodzi. Ja... ja się po prostu boję, że... że nie umiem. Byłam wtedy taka młoda i to było tak dawno...

- To ci tylko dodaje uroku. Nawet sobie nie wyobrażasz ile. Ale się nauczysz. Będziemy się razem uczyli.

Ściągnął niżej wycięcie jej swetra i wędrując ustami wzdłuż szyi sięgnął ucha, delikatnie ujmując zębami zdobiące je złote kółko. Roześmiali się cicho. Kiedy czubkiem języka dotknął środka jej ucha, Keely przeszedł dreszcz rozkoszy.

- Zimno ci? - spytał. Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Powiedz mi szczerze.

- Mówię.

Zimno? Przy nim? Nigdy. Jego usta były niestrudzone. Nie przypuszczała, że mężczyzna może być tak wrażliwy na potrzeby kobiety, na jej pragnienia. Dax zdawał się zgadywać i zaspokajać każdą jej zachciankę. Nie był zachłannie żywiołowy. Każdy jego ruch, powolny i przemyślany, przypominał starannie wyreżyserowaną, obliczoną na sprawienie jej przyjemności scenkę.

Poczuła narastający skurcz gardła i przeraziła się, że nie będzie mogła oddychać. Jej ręce poruszały się niespokojnie pod jego swetrem, dopóki nie spotkały się na jego plecach, a ona sama, Keely, nie runęła w przepaść.

Znowu ją pocałował, tym razem mocniej, z mieszaniną pożądania i czułości. Jego dłonie zsunęły się z policzków Keely i zawisły niepewnie nad jej piersiami.

Boże, daj mi siłę, modlił się w duchu Dax. Daj mi siłę, żeby jej nie dotknął. Bo jak jej dotknę, to już się nigdy od niej nie oderwę.

Poczuł jej ledwie dostrzegalną reakcję. Urywany, krótki oddech Keely uderzał go w twarz jak kłębki waty. Udami wyczuwał tężejące mięśnie jej ud. Jego ręce dalej niezdecydowane wisiały w powietrzu. Delikatnie chwycił zębami jej dolną wargę. Mruknęła coś niezrozumiałego i uniosła się nieco, dotykając piersiami jego rąk.

Tamy puścili. Wbrew swoim najlepszym intencjom, ośmielony tą zachętą, delikatnie zamknął dłonie na jej piersiach. Westchnienia rozkoszy zmieszały się i Keely poddała się. Wparta mocno w siedzenie, splotła ręce na jego plecach i przyciągała go do siebie coraz bliżej.

Zamknawszy oczy, Dax usiłował sobie wyobrazić to, czego dotykał: jedwabistość skóry, jej kolor. Nie widzieć tego było męką, wyobrażać sobie - rozkoszą. Wyczuł palcami jej stanik i zsunął go, delikatnie muskając skórę.

- Boże, jak cudownie - westchnął, chłonąc jej zapach i całą twarzą zapadając się w puszystość jej swetra, pod którą sterczały dwa twarde wzgórki. W chwili jednak, kiedy delikatnie ujął zębami jeden z nich,

Keely krzyknęła „Och, Dax!” i odepchnęła go od siebie gwałtownie.

Prostując się nagle, uderzył głową w sufit samochodu.

- Czy sprawiłem ci ból? - zapytał przestraszony. Nie, nie chodziło o ból. Mark też dotykał tych miejsc, ale nigdy nie robił tego w sposób tak intymny jak Dax. Nigdy nie czuła tak dojmująco fali pożądania, która wzbierała gdzieś w dole brzucha i rozchodziła się po całym ciele. Która jednocześnie napełniała ją rozkoszą i przerażała.

Dax dostrzegł w jej oczach lęk, który obudził w nim poczucie winy. Powoli potrząsnął głową.

- Przepraszam cię, Keely. Chciałem cię tylko tulić i całować.

Kiedy wrzucił bieg, ze smutkiem patrzyła przez okno. Tylne koła obracały się w błotnistej mazi.

Powoli jednak samochód ruszył i z powrotem wjechali na autostradę.

Deszcz ustał i w powietrzu wisiała już tylko mgła. Jedyne skrzypienie pracowicie zbierających wodę wycieraczek zakłócało ciszę, kiedy bowiem wraz z zapaleniem silnika ożyło radio, Dax przekręcił srebrną gałkę. Posuwali się w żółtym tempie, przeklinając godzinę szczytu, w której zbliżali się do miasta.

Z piskiem hamulców zatrzymali się przed hotelem. Dax patrzył na Keely dłuższy czas, aż ze zdumieniem dostrzegł w jej oczach łzy.

- Keely...

- To był cudowny dzień. Wybacz mi, Dax. Ja... ja się nie bałam tego, że mnie dotykasz, tylko tego, że... nie chciałam, żebyś przestał.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Keely biegła już w stronę hotelu.

Leżała skulona pod kołdrą, w samej bieliźnie. Nie wiedziała nawet, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy przyszła do pustego, zimnego pokoju, zdjęła z siebie ubranie, które w dalszym ciągu leżało tam, gdzie je rzuciła, i wśliznęła się w złudną przytulność łóżka. W przekonaniu, że potrzebny jest jej odpoczynek, usiłowała zasnąć, ale sen nie przychodził.

Nie mogła pozbyć się poczucia winy wobec Marka, że go zdradziła - jeśli nie czynem, to z pewnością myślą - i wobec Daksa, że go tak bezwstydnie prowokowała. Już jutro będzie nią z pewnością pogardzał. I trudno mu się dziwić.

Serce jej skoczyło w piersi, kiedy usłyszała lekkie stukanie do drzwi. Wywiesiła przecież kartkę „Nie przeszkadzać” i zdjęła słuchawkę z widełek. Ale ten, kto tam stał, nie wziął tego na serio.

Odrzuciła kołdrę i podbiegła do drzwi. Przez judasza zobaczyła mężczyznę w hotelowym uniformie.

- Tak, słucham?

- Pani Williams?

- Tak - powtórzyła, tym razem odpowiadając na pytanie.

- Czy u pani wszystko w porządku? Jestem Bartelli, zastępca dyrektora hotelu. Niejaka pani Allway próbowała się do pani dodzwonić, ale nikt nie odpowiadał. Była zaniepokojona i prosiła, żebym się dowiedział, czy wszystko w porządku. Czy dobrze się pani czuje?

- Tak... tak, panie Bar... Bartelli. Chciałam tylko odpocząć i dlatego odłożyłam słuchawkę. Proszę powiedzieć pani Allway, że wszystko w porządku i że się zobaczymy rano. - Mogła wprawdzie powiedzieć, że sama zadzwoni do przyjaciółki, ale nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

- W porządku. Na pewno niczego pani nie potrzebuje?

- Na pewno, dziękuję bardzo.

- Dobranoc. Przepraszam, że panią niepokoiłem.

- Dobranoc. - Patrzyła przez judasza, jak pomniejszona działaniem soczewek judasza postać znika w perspektywie korytarza.

Skoro już wstała, postanowiła przed położeniem się na dobre wziąć prysznic. Spełnił swoje zadanie: poczuła się wypoczęta i odświeżona. Aż za bardzo. Rozgrzana i ocieżała, kątem oka pochwyciła swoje odbicie w lustrze. Była zaróżowiona od ciepłej wody i czuła mrowienie w piersiach od ożywczego masażu prysznic. Patrząc wciąż w lustro, uniosła rękę i dotknęła gładkiej skóry. Na wspomnienie dotyku Daksa, jego ust oblała się rumieńcem i poczuła falę ciepła, która rozlała się po całym ciele.

Zawstydzona i speszona swoim fizycznym pragnieniem, wśliznęła się do łóżka i szczelnie otuliła kołdrą. Nigdy dotychczas łóżko nie wydawało jej się tak puste i niegościnne. Ulegając dziecięcej pokusie, przytuliła do siebie poduszkę, głaszcząc ją i wyobrażając sobie, że ma pod palcami ciepłą, tętniącą życiem skórę, że za chwilę usłyszy czułe słowa. Nie przyniosło jej to jednak pociechy ani fizycznej, ani psychicznej. Wreszcie, nie wytrzymując już dłużej narzuconego sobie spokoju, wybuchnęła płaczem.

Rano poczuła się lepiej, w każdym razie miała jasność co do tego, że igrała z ogniem i że jeśli się oparzyła, to może mieć pretensje tylko do siebie. Od czasu do czasu mówiła Nicole, że nie warto się wiązać z żadnym mężczyzną, bo to się prędzej czy później musi skończyć katastrofą. W wypadku Daksa Devereaux zawiodły jej własne zasady. Szkoda tylko, że nie będzie mogła powiedzieć przyjaciółce, że miała rację.

Ponieważ ani Nicole, ani nikt inny nie dowie się o Daksie. O czym tu mówić? Sprawa się skończyła, zanim na dobre się zaczęła.

Rdzawobrzowa sukienka z krepy niezupełnie pasowała do jej wojowniczego nastawienia, ale Keely wytłumaczyła sobie, że nie jest źle. Zaczesała włosy do tyłu i upięła w gładki koczek na karku. Nie włożyła też żadnej biżuterii - nie chciała wyglądać zbyt kobieco.

Zadzwoiła do Berty Allway i umówiły się, że pojedą razem na Capitol Hill, tak jak pierwszego dnia. Wchodząc na salę przesłuchań miała plecy wyprostowane, podbródek wysunięty do przodu i nie rozglądała się na boki. Zajęła swoje miejsce i wsadziła nos w papiery, ale litery zlewały jej się przed oczami.

Dopiero kiedy kongresman Parker ogłosił rozpoczęcie sesji, podniosła wzrok znad notatek. Celowo nie patrzyła w stronę Daksa, wiedziała jednak, że jest. Widziała go kątem oka. Miał na sobie szarą marynarkę, niebieską koszulę i brązowy krawat. Ani na chwilę jednak nie spuściła wzroku z twarzy Parkera.

- Dziś wysłuchamy jeszcze jednej opinii z kół wojskowych.

Pułkownik Hamilton odczyta nam urzędowe sprawozdanie na temat środków, jakie poszczególne formacje wojskowe przedsięwzięły w celu odnalezienia zaginionych żołnierzy w Wietnamie. Prosimy, pułkowniku Hamilton.

Monotonnym nosowym głosem pułkownik odczytywał przez dwie godziny dokument, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu. Gdyby nie nerwowe napięcie, Keely najprawdopodobniej by zasnęła. Przez monotony głos pułkownika przebijało się od czasu do czasu chrapanie Walsha.

Keely starannie studiowała swoje paznokcie, fakturę drewna stołu, pajęczyny na żyrandolach. Nie patrzyła na Daksa. Betty wierciła się koło niej niespokojnie, a w pewnym momencie nachyliła się i szepnęła jej do ucha:

- Co za szczęście, że to taki nudziarz. Gdyby był interesujący i ludzie by go słuchali, mógłby nam zaszkodzić. - Keely uśmiechnęła się w odpowiedzi. Co by sobie pomyślała jej przyjaciółka, gdyby wiedziała, jaką jest zdrajczynią.

Na kilka minut przed południem pułkownik Hamilton podsumował wreszcie swoje uwagi. Kongresman Parker uderzył młotkiem i spojrzał na Keely.

- Pani Williams, czy zanim ogłoszę koniec tego przesłuchania, zechciałaby nam pani powiedzieć coś jeszcze od siebie?

Keely nie spodziewała się takiego ukłonu w swoją stronę i nerwowo zwilżyła wargi językiem. Wyprostowała się na krześle i ze zdziwieniem usłyszała swój spokojny, opanowany głos:

- Tylko tyle, że powiedziałyśmy wszystko, co konieczne. Mówiąc w naszym wspólnym imieniu oświadczam, że nie wierzę, żeby panowie kongresmani, członkowie komisji, przedstawiciele społeczeństwa amerykańskiego, mogli kiedykolwiek brać pod uwagę wprowadzenie ustawy, na mocy której obywatel naszego kraju mógłby zostać uznany za nieżyjącego mimo braku dowodów jego śmierci.

To prawda - ciągnęła - że taka ustawa oszczędziłaby pieniędzy podatników, ale ile jest warte ludzkie życie? Czy wartość tak szczególna może być wyceniona w pieniądzu? Osobiście wierzę, że niektórzy z tych ludzi mogą być jeszcze wśród żywych, ale jeśli nie, to czy ich rodzinom

nie należy się zadośćuczynienie za przeżyte cierpienia? Jeżeli Kongres uzna tych ludzi za zmarłych i wstrzyma wypłacanie należnych rodzinom pieniędzy, to znaczy, że Ameryka w najokrutniejszy sposób odtrąca swoich synów.

Parker uśmiechnął się do niej, w ten dyskretny sposób wyrażając swoje poparcie, podczas gdy jej stronnicy jawnie ją oklaskiwali. Parker rozejrzał się dokoła, jakby chciał wezwać ewentualnych przeciwników do dyskusji, ale kiedy nikt się nie zgłosił, mocno uderzył młotkiem.

- Ogłaszam przerwę do czternastej trzydzieści, kiedy to zbierzemy się, żeby ogłosić naszą decyzję. Członków komisji proszę, aby po krótkim lunchu stawili się tutaj o trzynastej czterdzieści pięć celem przedyskutowania sprawy. - Znow uderzył młotkiem, zamykając sesję przedpołudniową.

Keely znalazła się nagle w otoczeniu fotografów i reporterów. Starła się odpowiadać na te pytania, na które mogła, innych unikała, cały czas powoli, ale systematycznie posuwając się w stronę drzwi. Kiedy udało jej się wreszcie opuścić salę, przedarła się przez tłum i szybko zniknęła w toalecie. Betty wpadła tuż za nią.

- Byłaś wspaniała. Dziękuję ci z całego serca.

- Mocno uściskała Keely, ale kiedy ją puściła, ze zdumieniem zauważyła jej bladość.

- Co z tobą? Jesteś biała jak ściana.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. - Nikt by w to nie uwierzył, widząc jej spazmatyczny, urywany oddech.

- Wiesz, te tłumy, ten tłok, flesze, kamery... Nie lubię być w centrum zainteresowania.

- O, wobec tego nie powinnaś wyglądać tak pięknie, tak tragicznie bohatersko. - Kiedy usta Keely nie drgnęły nawet w najmniejszym uśmiechu, Betty dodała szybko: - Poczekaj, pójde pierwsza i odeprę całą tę falę. Zaczekam na ciebie na szczycie schodów. Nie spiesz się.

- Przy drzwiach Betty zatrzymała się i obróciła. - Wiesz co, Keely - dodała - wydaje mi się, że wygrałyśmy.

Po raz pierwszy Keely się uśmiechnęła.

- I mnie się tak wydaje.

- Do zobaczenia za chwilę.

Keely opadła na najbliższe, nie pierwszej młodości krzesło, i ukryła bladą twarz w drżących rękach. Było po wszystkim. Prawie. Wszyscy ją wychwalali, a ona na to nie zasłużyła. Nie zasłużyłam, nie zasłużyłam, powtarzała w myśli, oddychając głęboko. Zmusiła się do wstania, podeszła do umywalki, umyła ręce, przyczesła włosy i umalowała usta, co jeszcze bardziej podkreśliło jej bladość.

Wzięła płaszcz i torebkę i wyszła na pusty korytarz. Kiedy odwróciła głowę, stanęła jak wryta: jak spod ziemi wyrósł przed nią Dax.

- Spokojnie, spokojnie, to tylko jedno z naszych przypadkowych spotkań - powiedział cicho, pod osłoną maskującego uśmiechu.

Spojrzała przez ramię i na końcu długiego korytarza zobaczyła sylwetkę Betty.

- Co ty tu robisz?

- Ja tu pracuję - zażartował. Próbowwała precyzyjnie się koło niego, ale chwycił ją za rękę. - Przepraszam cię bardzo. Nie chodzi mi o to, żeby zgrywać przed tobą dowcipnisią. Chcę po prostu z tobą porozmawiać. - Puścił jej ramię i kiedy zobaczył, że się nie rusza z miejsca, zaczął mówić

ściszym głosem: - Przez cały wieczór próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale odłożyłaś słuchawkę. Zadzwoiłem do biura kierownika, nie muszę dodawać, że anonimowo, i poprosiłem, żeby sprawdzili, co się z tobą dzieje. Pan Bartelli powiedział mi, że już u ciebie był, że po prostu byłaś zmęczona i nie chciałaś, żeby ci przeszkadzano.

- Tak, to prawda. Nie chciałam... Nie chcę.

- Z tego wynika, że masz pecha.

- Dax...

- Szszsz. Nadchodzi radar w osobie van Dorfa. Czy masz zarezerwowane miejsce na samolot o dwudziestej pięćdziesiąt do Nowego Orleanu?

- Tak.

- To wtedy porozmawiamy. - Dax podniósł głos. - No więc, pani Williams, według wstępnej oceny wszystko wskazuje na to, że komisja odroczy sprawę tej ustawy. Cześć, Al. Dlaczego nie jest pan na lunchu jak wszyscy grzeczni chłopcy z prasy?

- Bo nie jestem grzecznym chłopcem - odparł ze swoim charakterystycznym chytrym uśmieszkiem van Dorf. - Pani Williams, była pani jak zwykle bardzo elokwentna. Czy pani rzeczywiście wierzy w to wszystko, co pani mówi?

Keely, zaskoczona jego bezczelnym pytaniem, odpowiedziała spontanicznie:

- Naturalnie, że wierzę!

- Dobrze, dobrze, chciałem tylko wiedzieć. Ale, przy okazji: przez cały wczorajszy dzień próbowałem się z panią skontaktować, żeby

poprosić o komentarz, ale pani nie było. Portier w Hiltonie powiedział mi, że wyjechała pani rano srebrnym samochodem sportowym.

Z największym trudem powstrzymała chęć spojrzenia na Daksa.

- To prawda. Pojechałam z przyjaciółką zwiedzać miasto -
odpowiedziała spokojnie.

- Nie był to najlepszy dzień na zwiedzanie, przyzna pani chyba.

- Owszem, przyznam.

- Ale pani mimo to pojechała. Hmm. A czy mogłaby mi pani powiedzieć, co to za przyjaciółka dotrzymywała pani towarzystwa?

- Nie, panie van Dorf, nie mogłabym. Bo to nie pańska sprawa.

Van Dorf gładził powoli brodę, nie spuszczać z Keely oczu.

Wytrzymała jego przenikliwe, wścibskie spojrzenie, mając nadzieję, że przynajmniej nie zauważy, jak mocno bije jej serce. Van Dorf zwrócił swoją lisią twarz do Daksa.

- Pana też nie było, kongresmanie. Nie uważa pan tego za dziwne, że albo jesteście państwo razem, jak teraz, albo obojga was nie ma?

- To rzeczywiście okropne, że nie mogłem panu wczoraj udzielić wywiadu. Wie pan przecież, że nigdy nie pominę okazji, jeśli chodzi o darmową reklamę. - Uśmiech Daksa tak był autentyczny, że sama Keely omal nie dała się nabrać. Ciekawe, jak dalece można mu wierzyć?

- Panowie pozwolą, że ich przeproszę. Czeka na mnie pani Allway. - Bez dalszych komentarzy wyminęła ich i tylko z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie uciec jak tchórz.

Dla nikogo nie było zaskoczeniem, kiedy po południu kongresman Parker oznajmił niecierpliwie wyczekującym członkiniom Stowarzyszenia, że projekt ustawy uznającej zaginionych za zmarłych został odłożony do

późniejszego rozpatrzenia. Podziękował wszystkim zainteresowanym za przybycie i po raz ostatni odroczył przesłuchanie.

Teraz zaczęła się koszmarna celebra. Członkinie Stowarzyszenia ze łzami w oczach rzucały się Keely i Betty na szyję. Sympatyzujący z nimi przedstawiciele prasy podchodzili z gratulacjami. Członkowie komisji, którzy wyraźnie opowiedzieli się po ich stronie, jeszcze teraz występowali z poparciem, gratulując Keely zwycięstwa.

Nagle poprzez szerokość sali poczuła wzrok Daksa, który przyciągał ją z magnetyczną siłą. Uległa pokusie i spojrzała w jego stronę. Komentarze van Dorfa podziałały na niego jak ostrzeżenie i Dax nie zamierzał wystawiać na szwank ich reputacji, pokazując się z nią publicznie. Obdarzył ją jednak ciepłym spojrzeniem, dumny z jej sukcesu. Ale to spojrzenie mówiło więcej: że jest z niej dumny jako kobiety. Keely poczuła, jak miękną pod nią kolana.

Przed odejściem skłonił lekko głowę, jakby chciał powiedzieć: „Zobaczymy się później”. Ale nie miał po temu okazji. Po pospiesznym lunchu, którego ledwie spróbowała, Keely wróciła do hotelu, spakowała bagaże i limuzyną hotelową odesłała na lotnisko.

Następnie telefonicznie zarezerwowała miejsce na wcześniejszy lot. Ani ona, ani Dax nie zrobili nic takiego, czego musieliby się wstydzić - jak dotychczas. Ale też nie powinni kusić losu. Tym razem uniknęła najgorszego i to tylko wzmocniło jej determinację: nie może się wiązać z żadnym mężczyzną, dopóki nie będzie miała pewności, co się stało z Markiem. „Jestem w dalszym ciągu mężatką” - powtarzała sobie jak katechizm. A teraz patrząc, jak Dax się oddala, i siłą powstrzymując się,

żeby za nim nie pobiec i nie błagać go o pociechę, powtórzyła to samo raz jeszcze.

Betty była zawiedziona, że Keely wyjeżdża wcześniej.

- Myślałam, że spotkamy się razem dziś wieczorem i uczymy zwycięstwo. Wszyscy wyjeżdżają dopiero jutro.

- Przykro mi, Betty, ale muszę wracać. W radiu kręcili nosem na mój wyjazd. - Keely kłamała. Szefowie byli dumni z jej działalności i nie mieli nic przeciwko temu, żeby wzięła urlop i pojechała walczyć o sprawę zaginionych. To już jej drugie kłamstwo. Od kiedy poznała Daksa... - Już zadzwoniłam i powiedziałam, że będę jutro. Wypijcie za mnie kieliszek szampana.

- Wypijemy - zaśmiała się Betty. - I to niejeden. Uważaj na siebie, Keely. Nie masz pojęcia, ile dla nas znaczysz. Nikt nie spisałby się lepiej w roli naszego rzecznika. Dzięki ci raz jeszcze.

Keely zatrzymała taksówkę i pojechała prosto na lotnisko. Nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, przeszła odprawę na liniach krajowych. Cały czas myślała o tym, co powie Dax, gdy zobaczy, że jej nie ma w tamtym samolocie. Czy będzie zaniepokojony? Zły? Czy jedno i drugie? Czy będzie się starał dowiedzieć, którym samolotem poleciała niejaka pani Williams? Czy może będzie pytał o Keely Preston? A może o żadną. Nie powinien sobie na to pozwalać.

O czym chciał z nią porozmawiać? Nie robił wrażenia zdenerwowanego, jak wtedy wieczorem w hotelu. Co zamierzał powiedzieć jej dzisiaj? Nie miało to żadnego znaczenia. Nic nie mogło zmienić ich sytuacji.

Zapięła pas bezpieczeństwa, zanim samolot zaczął kołować, szykując się do startu. Podziękowała za kolację i odchyliła oparcie fotela, udając drzemkę, żeby w ten sposób uciec przed natręctwem stewardes.

Lot upłynął w spokoju. Nie było żadnych piorunów. Ani nikogo, kto by ją potrzywał za rękę.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dlaczego nie chcesz się z nami wybrać?
- Już ci mówiłam, Nicole. Nie chcę i koniec.
- To nie jest powód.
- Owszem, jest. Zupełnie wystarczający.
- Mam już serdecznie dosyć twoich humorów.
- To zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła Keely i opierając się o

krawędź biurka, odsunęła krzesło. Wstała, podeszła do brudnego okna na pierwszym piętrze i wyjrzała na Chartres Street. Dzień był ponury, deszczowy i doskonale pasował do jej nastroju. Od kilku dni unikała Nicole, ale przyjaciółka dopadła ją wreszcie w biurze.

W rzeczywistości jej „biuro” było czymś w rodzaju komórki na końcu długiego mrocznego korytarza na tyłach budynku. Pokoik dosłownie zapychały dwa metalowe brzydkie biurka w kolorze oliwkowym. Keely dzieliła to pomieszczenie z pracującym od północy do szóstej disc jockeyem, którego nigdy nawet nie widziała. Znała go jedynie ze zdjęcia z długonogą blondynką, podpisanego: „Było przyjemnie, Cindy”. Fotografia stała na jego zaśmieconym biurku w miejscu, które można by nazwać honorowym.

Keely westchnęła i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, żałowała, że deszcz nie spłukał z szyb chociaż części brudu. Ale nie chciał. Tak jak nie chciał ustąpić tępy ból w okolicy serca. Nie była to przecież wina Nicole. Keely pożałowała, że tak ostro potraktowała przyjaciółkę. Nagabywanie

Nicole było przecież przejawem jej troski. Odwróciła się do niej, pozostając jednak przy oknie.

- Wybacz mi - powiedziała. - Jestem w podłym nastroju i dlatego zachowuję się okropnie. Wiem, że nie powinnam.

Nicole uniosła kształtne biodro i usiadła na rogu biurka disc jockeya, przewracając zdjęcie Cindy.

- Jasne, że nie powinnaś. Wszystko wskazuje na to, że jestem twoją ostatnią przyjaciółką, więc powinnaś mnie dobrze traktować. - Nicole skrzyżowała ramiona na obfitych piersiach i patrzyła w zadumie na przyjaciółkę. - Umieram z ciekawości, kiedy wreszcie pękiesz i mi powiesz.

- Co miałabym ci powiedzieć? - spytała niewinnie Keely, która nagle znalazła na rękawie jakiś paproch bez reszty pochłaniający jej uwagę.

- Powiedz mi, dlaczego od powrotu z Waszyngtonu snujesz się jak potępieniec z nosem spuszczoneym na kwintę? Dlaczego wyglądasz fatalnie i nie chcesz zdradzić swojej najlepszej przyjaciółce, co cię w sposób tak oczywisty gryzie?

- Czy te kolczyki to coś nowego?

- Nie zmieniaj tematu, Keely - ostrzegła ją Nicole. - Chcę się dowiedzieć, co takiego ci się tam przydarzyło, że jesteś w jeszcze gorszej formie psychicznej, niż byłaś. A byłaś już w wystarczająco złej. Wyrzuć to wszystko z siebie. Nie ruszę się stąd ani ciebie nie puszcę, dopóki mi nie powiesz.

- Jakim prawem oceniasz moją formę psychiczną? - zapytała Keely ze złością.

- Takim prawem, że potrzebny ci jest ktoś, kto będzie pilnował, żebyś się nie zamykała w skorupie jak ślimak. Co się z tobą dzieje?

Keely wróciła do biurka i opadła na skrzypiące krzesło. Oparła głowę na popękanej imitacji skóry i zamknęła oczy, usiłując się pozbyć uporczywego bólu głowy.

- Wiesz, co się ze mną dzieje, Nicole. Sama mówiłaś, że jestem w takim nastroju za każdym razem, kiedy próbuję coś zrobić dla Stowarzyszenia.

- Tak, ale tym razem odniosłaś wielki sukces. Powinnaś być szczęśliwa. I nie mów mi, że jesteś. Bo ja dobrze wiem. Przy tobie Hamlet to wesołek.

Keely uśmiechnęła się, ale do prawdziwego śmiechu było jej daleko.

- Owszem, bardzo się cieszę z naszego sukcesu, ale jestem po prostu zmęczona.

- A tak naprawdę?

- Po prostu chcę być teraz sama, i to wszystko.

- Poznałam wspaniałego człowieka, dodała Keely w myślach. Całował mnie i dotykał, jak nikt inny dotychczas. Myślę, że się zakochałam. Co ja mam z tym zrobić? Ciekawe, jakby zareagowała Nicole, gdyby Keely powiedziała jej to na głos.

- To na nic, Keely. Przeciwnie, powinnaś być wśród ludzi. Proszę cię, chodź dziś z nami na to przyjęcie. Nie będziemy długo. Obiecuję ci. Jak tylko powiesz, że chcesz iść, to pójdziemy.

- Kiedy ja naprawdę nie mam ochoty.

- Ale tobie jest to potrzebne, do cholery! - powiedziała Nicole zirytowana. - Ubierz się jakoś fajnie. Wypij parę drinków, potańcz trochę.

Żyj, Keely. - Nicole zeskoczyła z biurka i podparła się pod boki. - Jeśli z nami nie pójdiesz, sama będę się musiała męczyć z Charlesem. Chyba mi tego nie zrobisz, co?

Nareszcie Keely się roześmiała.

- Dajże temu człowiekowi wreszcie szansę. Wiem, że masz na jego punkcie bzika, tylko nie chcesz się do tego przyznać. No już dobrze, dobrze. - Uniosła ręce, jakby chciała odeprzeć obiekcje Nicole. - Nie będziesz sama z Charlesem. Chwaliłaś się, że masz zapasowego faceta.

- Owszem, mam. Tylko że, szczerze mówiąc, jest równie nudny jak Charles. Ale jeżeli ja to mogę wytrzymać, możesz i ty. Ważne, żebyś zamiast siedzieć zapuszkowana w domu, znalazła się w publicznym miejscu, wśród innych ludzi, nie sama. No, chodź, Keely.

- Gdzie i co to jest? - zapytała Keely z rezygnacją.

- W Marriotcie. Wielka gala. Organizatorem jest Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Charles będzie reprezentował stację telewizyjną, która nadaje ich reklamy. Podjedziemy po ciebie o ósmej.

- Ale ja nie wiem, Nicole - wahała się Keely.

- Jesteśmy o ósmej - powiedziała stanowczym tonem Nicole. - I na litość boską, zrób coś z włosami. Nienawidzę, jak jesteś taka ulizana. Wyglądasz jak Jane Eyre.

- Jesteś dziś w wyjątkowo literackim nastroju. Najpierw Hamlet, teraz Jane Eyre. Ciekawe, czy czytałaś oba te dzieła.

Idąc w stronę drzwi, Nicole roześmiała się dobrodusznie.

- A skądże znowu. Ja czytuję tylko porno. Żeby nie wyjść z wprawy. - Mrugnęła szelmowsko, zanim drzwi się za nią zamknęły. Keely usłyszała jeszcze, jak w połowie korytarza krzyknęła: - Pamiętaj, o ósmej!

Ósma. Czy do tej pory będzie zdolna stawić czoło światu? Wątpliwe. Na razie nie miała na to siły. Zupełnie błędnie wyobraziła sobie, że jak wyjedzie z Waszyngtonu i wróci do pracy, to wspomnienie Daksa zatrze się i wkrótce o nim zapomni. Okazało się to niemożliwe. Im dłużej trwała rozłąka, tym więcej miejsca zajmował w jej myślach. Przez cały czas zastanawiała się, co Dax robi, w którym towarzystwie przebywa, jak jest ubrany i co czuje, jeśli w ogóle o niej myśli.

Było to bez sensu. Podsycanie niemożliwych do spełnienia marzeń wydawało się chore, ale Keely nie mogła nic na to poradzić. Gapiła się w telefon, pragnąc, żeby zadzwonił. Ostatecznie nie poleciała tym samolotem, którym powinna była lecieć. Czy nie był ani trochę zaniepokojony, co się z nią stało? Oczywiście jeśli od kilku dni jest w Nowym Orleanie, to musi ją słyszeć przez radio i wie, że przynajmniej żyje.

Brak zainteresowania z jego strony najdobitniej świadczył o tym, co Dax myśli o epizodzie waszyngtońskim. Bo to był właśnie epizod. Zakończony z jego punktu widzenia rozczarowaniem - była tego pewna - skoro nie spełniła jego nadziei. Dax Devereaux nie musi sobie zawracać głowy takimi jak ona, ma z pewnością na pęczki chętnych na każde skinienie.

Nicole miała rację. Keely znalazła się w ślepym zaułku i albo się odwróci i zacznie iść w przeciwnym kierunku, albo uderzy głową w mur. Tak, dziś podejmie wysiłek i spróbuje wrócić do świata żywych. Spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że musi iść na zebranie ze sponsorem, a jeszcze do tej pory nawet nie zapoznała się z porządkiem dziennym.

Przeglądając się w lusterku puderniczki, ponuro stwierdziła, że Nicole miała rację. Rzeczywiście wyglądała okropnie. Była blada jak wymoczek, miała podkrążone oczy, koszmarnie włosy. Od powrotu z Waszyngtonu nie zadbała o paznokcie.

- Dobrze, Keely - powiedziała do swojego odbicia i zatrzasnęła puderniczkę. - Koniec żałoby. - Przeczytała tekst o zaletach opon radialnych do radiowej reklamy i zadzwoniła do gabinetu kosmetycznego umówić się na wizytę.

Nie jest tak źle, pomyślała, patrząc na swoje odbicie po dwugodzinnym seansie u kosmetyczki oraz godzinie zabiegów domowych we własnym zakresie. Skróciła o półtora centymetra włosy, żeby się pozbyć rozdwojonych końców, i upięła je w luźny kok na czubku głowy ze swobodnymi kosmykami przy twarzy i na karku.

Nałożyła sobie owsianą maseczkę, dzięki której jej cera nabrała blasku. Zrobiła też staranny, choć dyskretny makijaż i chociaż w jej oczach pozostał jeszcze wyraz smutku, to w każdym razie nie tak wyraźny.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wzięła wieczorową torebkę i zarzuciła na ramiona czarną atlasową pelerynkę.

Zgodnie z tym, co powiedziała Nicole, „zapasowy facet” nie był może porywający, ale przedstawił się uprzejmie jako Roger Patterson, po czym odprowadził ją do zaparkowanego przy ceglanym chodniczku samochodu. Stanowił ogniwo łączące Towarzystwo Przyjaciół Sztuki ze środkami masowego przekazu. Keely pomyślała, że jak na faceta tak niepozornego i nie-rzucającego się w oczy, nie jest to najszcześniejszy wybór zawodu.

Przytrzymał jej drzwiczki mercedesa Charlesa i Keely wsiadła na tylne siedzenie.

- Wyglądasz odjazdowo - skomplementowała ją Nicole.

- Skąd wiesz? Nie zdążyłaś mnie nawet jeszcze zobaczyć.

- Nie miałaś wyboru... chyba żebyś wykorkowała.

- Ale to prawda, Keely - odezwał się Charles Hepburn, oglądając ją w lusterku wstecznym.

- Cześć, Charles. Jak się masz?

- Dzięki. Wspaniale.

- Czy poznałaś Randy'ego? - spytała Nicole, odwracając się do tyłu.

- Rogera - sprostował spokojnie „chłopak Keely”.

- O, przepraszam.

- Tak, poznaliśmy się - odpowiedziała skwapliwie Keely i uśmiechnęła się do Rogera.

„Dom” Keely było to w rzeczywistości dwupoziomowe mieszkanie wykrojone ze starego budynku w Garden District, dzielnicy znanej z ładnych domów, kiedyś często zaniedbanych, obecnie odremontowanych i przerobionych - z dużych jednorodzinnych siedzib - na mieszkania i segmenty.

Charles jechał St. Charles Avenue do Canal Street, a potem w kierunku Missisipi do Marriotta. Zostawili samochód obsłudze hotelowej i weszli bocznymi drzwiami. W obszernym holu tłoczno było od mężczyzn w smokingach i wieczorowo ubranych pań.

- Wydaje mi się, że przyjęcie jest na drugim piętrze w jednej z sal balowych - powiedział zupełnie niepotrzebnie Roger, jako że informowały o tym rozmieszczone w całym holu na mosiężnych stojakach tabliczki.

- Lubię takie afery, zresztą lubię wszelkie afery - wyznała Nicole z szelmowską miną. Cały czas bacznie obserwowała, kto i z kim przyszedł i jak jest ubrany.

Szli właśnie do ruchomych schodów, mijając otwarte drzwi do baru, kiedy Nicole wykrzyknęła:

- Madeline Robins w swoich słynnych brylantach! Przy tej sukni wyglądają koszmarnie tandetnie. A ta, to kto... o, Dax Devereaux. Popatrz, Keely, wyście się poznali, prawda?

Serce Keely omal nie wyskoczyło z piersi. Roger delikatnie podtrzymał ją za łokieć. Popatrzyła za wzrokiem Nicole i... na widok czarnych, lśniących, przyprószonych na skroniach siwizną włosów, które mogły należeć tylko do jednego mężczyzny, oniemiała.

Dax właśnie odchylił się do tyłu, śmiejąc się z jakiejś zabawnej uwagi towarzyszącej mu Madeline, kiedy jego czarne oczy zapłonęły na widok Keely. Reakcja była piorunująca: uśmiech - błysk olśniewająco białych zębów - na jego twarzy zgasł. Dax wyglądał tak, jakby otrzymał cios między oczy i nie mógł w to uwierzyć.

- Porozmawiasz z nim, Keely? - spytała Nicole z nadzieją w głosie.

- N-nie - zająknęła się Keely, spieszenie odwracając głowę. - On jest w towarzystwie. Może później. A zresztą, ja go prawie nie znam. On pewnie nawet mnie nie pamięta.

Oczy Nicole mówiły wyraźnie: kłamczucha. Ale kiedy jechali ruchomymi schodami, nie naciskała. Pod pozorem poprawienia pelerynki Keely spojrzała przez ramię i napotkała wzrok Daksa.

Zmusiła się do tego, żeby z powrotem odwrócić głowę i przyłączyć do ogólnej pogawędki. Przy szatni Roger zsunął jej pelerynkę z ramion i zniknął w tłumie mężczyzn, którzy wypełniali podobne obowiązki.

Charles, rozbierając Nicole z futra z lisów, wydał westchnienie zachwytu.

- Uważaj, bo ci oczy wyjdą na wierzch - droczyła się z nim. I rzeczywiście, miała na sobie sukienkę, od której oczy wychodziły na wierzch. Była to czarna żorżeta. Długie rękawy miały pęknięcia od mankietów do ramion, podobnie przód sukienki - od szyi do talii. Pęknięcie z przodu obiecywało więcej, niż ukazywało, ale efekt był oszołamiający. Nicole jak zwykle wyglądała fantastycznie. Keely, choć nieświadoma tego, prezentowała się równie wspaniale. Jej czarna taftowa spódniczka, z zaokrągloną połą i głębokim rozcięciem z przodu, ukazywała zgrabne nogi. Wiśniowa bluzka obciskała biust i talię jak druga skóra, ale stojący koronkowy kołnierzyk i baskinka tonowały nadmiernie uwodzicielski wygląd. Czarne atlasowe sandały od Jourdana miały wokół kostek zamiast pasków sznurki sztucznych brylantów.

- Posłuchaj tej boskiej orkiestry - powiedziała Nicole, poddając się rytmowi muzyki tanecznej. - Chodź, Charles, zatańczymy.

Spojrzał zatroskany na jej piersi poruszające się swobodnie pod przezroczystym materiałem i powiedział:

- Zgoda, ale jak przypadkiem wyjdiesz z tej sukienki, to pamiętaj, zabieram cię do domu.

- I co potem? - zapytała prowokacyjnie, ciągnąc go na parkiet.

Keely roześmiała się. Lubiła Charlesa Hepburn i wiedziała, że jest zakochany w Nicole. Był od niej starszy, miał jakieś czterdzieści pięć lat,

ale jego wysokie czoło budziło zaufanie. Szczupłej sylwetki, utrzymywanej w doskonałej kondycji przez codzienne ćwiczenia w jednej ze śródmiejskich hal sportowych, mógł mu pozazdrościć znacznie młodszy mężczyzna. Charles był niewysoki, łagodny w obyciu i aż do przesady uprzejmy. Keely myślała czasem, że Nicole traktowałyby go znacznie lepiej, gdyby przynajmniej raz odpłacił jej pięknym za nadobne, ale jego cierpliwość i spokój były iście stoickie.

Niezależnie od tego, jak gorąco zaprzeczała Nicole, Keely była przekonana, że zależało jej na Charlesie bardziej, niż chciała przyznać. Być może jego poważne i odpowiedzialne usposobienie przestraszało lekkomyślną i pozornie beztroską dziewczynę. Keely, obserwując tańczącą parę, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że cokolwiek łączy tych dwoje, musi być bardzo głębokie. Nicole ocierała się w tańcu o Charlesa ze zniewalającym uśmiechem; on delikatnie gładził ją po plecach. Keely pomyślała, że najwyższy czas, żeby zaprzestali tej bezsensownej gry i przyznali się do swojego uczucia.

- Zatańczysz? - Roger nieśmiało przerwał jej rozmyślenia. Niemal o nim zapomniała.

- W tej chwili nie. Może później. Napiłabym się czegoś. - Keely nie była szczególną amatorką drinków, ale widok Daksa, i to z Madeline Robins u boku, wzburzył ją znacznie bardziej, niż chciała się do tego przyznać.

- Ależ tak, oczywiście. - Roger robił wrażenie, jakby z ulgą przyjął do wiadomości, że może się na cokolwiek przydać. - A na co byś miała ochotę?

- Na coś zimnego. Może wódkę z sokiem?

- Dobrze. Zaraz wracam. - Torując sobie drogę w tłumie, szybko zniknął jej z oczu. Pozostawiona sama sobie, Keely poczuła się speszona. Zajęła czteroosobowy stolik i pomachała do schodzących właśnie z parkietu Nicole i Charlesa.

Siedząc przy drinkach, pierwszą godzinę przyjęcia spędzili w miłym towarzyskim nastroju. Od czasu do czasu przystawał przy nich ktoś ze znajomych, żeby porozmawiać. Podchodzili też nieznajomi, którzy po prostu chcieli się przedstawić. Keely wiedziała, że Nicole to znana osobistość, ale nigdy nie przypuszczała, że i ją tak traktują. Często, kiedy podawała swoje nazwisko i kojarzono jej twarz ze znanym z radia głosem, zapadało niezręczne milczenie.

Na przyjęciu spotkała się sama śmietanka towarzyska: gwiazdy telewizji, ojcowie miasta i inne wielkie osobistości. Wszyscy razem mieli wnieść wkład w zbieranie funduszy. Jedzenie w bufecie było wspaniałe, muzyka fantastyczna.

A mimo to Keely już w kilka minut po przyjściu miała ochotę wyjść.

Z rozpaczą zauważyła, że stolik, przy którym siedział Dax w towarzystwie Madeline i trzech innych par, znajduje się niebezpiecznie blisko. Była zmuszona patrzeć, jak Dax poświęca całą uwagę innej kobiecie. Jak jej podaje drinki. Jak ona je z jego talerzyka. Jak Dax żartobliwie daje jej po łapach, a ona całuje go w policzek. A potem on pomaga jej znaleźć zgubiony kolczyk. Tańczyli. Szeptali. Dax leciutko pocałował ją w usta.

Keely przeprosiła i wyszła do toalety, gdzie zabawiła szczególnie długo. Po powrocie stwierdziła, że Nicole i Charles zniknęli, a Roger stoi w drugim końcu sali i rozmawia z dyrygentem orkiestry.

Łyknęła swego wodnistego drinka, żeby mieć co zrobić z rękami.

- Czy wystawianie do wiatru facetów na lotnisku to twoja ulubiona zabawa?

Śliska szklanka o mało nie wysunęła jej się z ręki. Keely postawiła ją na stoliku i odwróciła się gwałtownie. Za nią stał Dax, trzymając się oparcia jej krzesła.

- Nie. Nie byłam tego dnia w nastroju zabawowym.

- A ja tak. Dopóki nie przyjechałem na lotnisko i nie wsiadłem do samolotu. Żeby się już do końca denerwować i zastanawiać, co się z tobą stało.

Spuściła oczy pod jego oskarżycielskim wzrokiem.

- Przepraszam.

- To zatańcz ze mną przynajmniej.

- A gdzie jest Madeline? - spytała uszczypliwie.

- Czy to dla ciebie takie ważne?

- A dla ciebie nie?

Dax w odpowiedzi wzruszył ramionami i pociągnął ją za rękę. Skoro widziano ją tańczącą z Rogerem, Charlesem i kilkoma innymi, to chyba nie będzie w tym nic złego, jeśli zatańczy i z kongresmanem.

Poczuła na skórze jego dotyk i nawet pod groźbą śmierci nie oparłaby się pokusie zatonięcia w jego ramionach. Orkiestra grała akurat miłosną balladę w powolnym rytmie. Tańczyli przy dźwiękach muzyki, w nastrojowym półmroku przygaszonych świateł. Ręka Daksa, pozornie nieruchoma, delikatnie muskała jej plecy. Ustami buszował w jej włosach.

- Czy wiesz, co chciałbym robić? - Potrząsnęła głową. - Całować twoje brylanciki.

Przez chwilę nie wiedziała, o jakie brylanciki mu chodzi. Jedyne, jakie miała na sobie, okalały jej kostki. Parsknęła śmiechem.

- Wstydzilibyś się.

- To najbardziej seksowne pantofelki, jakie kiedykolwiek widziałem. Mógłbym zostać fetyszystą pantoflowym.

Spojrzała na niego z udanym oburzeniem.

- To by zrujnowało twoją karierę polityczną!

- Albo by ją wzmocniło. - Roześmiał się i przycisnął jej głowę do swego ramienia. - Fantazje seksualne są ostatnio na fali. Stałem się nawet ekspertem w tej dziedzinie. Chcesz posłuchać?

- Nie. Myślę, że byłoby to dla mnie zbyt krępujące. Przechylił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Niewykluczone. Odgrywasz w nich bardzo ważną rolę - szepnął.

- Dax, nie powinieneś w ten sposób do mnie mówić.

- Masz rację, przepraszam. - Ale zaraz, jakby dla zaprzeczenia własnym słowom wypiął pierś, zmniejszając dystans między nimi, a następnie wykonał bezbłędny obrót, który dał mu okazję do tego, żeby przytulić ją mocniej do siebie. - A czy to będzie w porządku, jeśli ci powiem, że pięknie wyglądasz?

Spuściła wzrok, po to jednak, by go zaraz znów podnieść. Nie mogła powstrzymać się od patrzenia na niego. Prowadziła nieustanną wewnętrzną walkę. Bo ilekroć chciała na niego spojrzeć, musiała oderwać głowę od jego ramienia.

- Tak, dziękuję ci bardzo. A ty wyglądasz wytwornie w smokingu. Jest ci w nim wyjątkowo do twarzy.

- Kto to jest ten facet? - zapytał nagle, prowadząc ją w najciemniejszy kąt sali.

- Jaki facet?

- No ten, z którym przyszłaś. Czy to ktoś, kogo powinienem zacząć nie znosić?

Zarumieniła się z zadowolenia na tę demonstrację zazdrości.

- Nie. Poznałam go dopiero dzisiaj. Tak naprawdę przyszłam z Nicole i Charlesem.

- To dobrze. - Uśmiechnął się, a Keely odpowiedziała mu uśmiechem. Jego ramię zacisnęło się mocniej wokół jej talii, ale nie dostrzegłby tego nikt, kto by nie śledził pilnie ich oczu.

Współczuła wszystkim obecnym na sali kobietom, że nie wiedzą, co to znaczy być w ramionach Daksa. Dotyk jego ud, ocierających się w tańcu o jej uda, przyprawiał ją o dreszcz rozkoszy. Na dłoni wyczuwała hipnotyczny masaż jego palca. Chłoneła jego oddech, który ją owiewał.

I dla niego możliwość trzymania jej w objęciach była niezwykle podniecająca. Czuł delikatne muskanie jej piersi, a od widoku pęknięcia bluzki i subtelnego zapachu jej perfum nieomal dostawał zawrotu głowy. Ach, jakże pragnął przyłożyć tam wargi, poczuć na języku smak jej skóry. Pragnął aż do bólu. Tym bardziej że ich złączone ciała tak idealnie do siebie pasowały.

Muzyka jednak skończyła się nagle. Przyjęli to oboje pełnym rozczarowania uśmiechem. Dax odprowadził Keely do jej stolika, gdzie stała jak wryta na widok Madeline Robins, pogrążonej w ożywionej rozmowie z Nicole.

- A, jesteś, kochanie. Zastanawiałam się właśnie, kiedy sobie przypomnisz, z kim tu przyszedłeś. - Madeline uśmiechała się, ale jej wzrok złowieszczo prześlizgiwał się nad głową Keely.

- Pozwól, Madeline, to jest Keely Williams. Albo Preston, jeśli wolisz nazwisko, pod którym występuje w pracy. Jest aktywną działaczką ruchu na rzecz rodzin żołnierzy zaginionych w Wietnamie. Właśnie poznaliśmy się w Waszyngtonie. - Dax wygłosił to wszystko bardzo spokojnie, jakby sobie nie zdawał sprawy z narastającego napięcia. - Keely, to jest Madeline Robins.

Keely skłoniła się chłodno.

- Miło mi panią poznać - powiedziała Madeline modulowanym głosem nawykłym do mówienia okolicznościowych frazesów. - Bardzo mi przykro z powodu pani męża. Właśnie Nicole mówiła, jak dzielnie sobie pani radzi z tym trudnym problemem bycia ni to mężatka, ni to wdową.

Trudno było na to cokolwiek odpowiedzieć, ale Keely nawet nie próbowała. W tym momencie odezwała się Nicole:

- Keely, ale my nie mieliśmy przyjemności poznać pana Devereaux.

- Och, rzeczywiście - odparła Keely, odrywając wzrok od Madeline, która zaborczym ruchem wzięła Daksę pod rękę. W swojej lśniącej sukni w kolorze metalicznej zieleni, uczepiona kurczowo jego ramienia, długonoga i smukła, wyglądała jak wyjęta z wody roślina. - Rzeczywiście. Przepraszam bardzo. Kongresman Devereaux, a to moja przyjaciółka Nicole Castelman, Charles Hepburn i Roger... Roger...

- Patterson - podpowiedział Roger i wyciągnął rękę na powitanie. - Kongresmanie, już od dawna marzyłem o tym, żeby pana poznać. Jestem pana wielbicielem.

- Witaj, Roger. Mów mi Dax.

Dzięki ci, Nicole, pomyślała Keely, widząc, jak Nicole przejmuje inicjatywę. Flirtując niewinnie z Daksem, mówiła, jak to zawsze chciała go poznać, ale nigdy nie miała okazji. On ją z kolei zapewniał, że widując jej twarz w telewizji tak często, czuje się, jakby znał ją od lat. Gawędził z Charlesem, wypytując go o stawki, jakie politycy muszą płacić za najlepszy czas telewizyjny.

- Zadzwoń do mnie w tygodniu - powiedział Charles. - Umówimy się i pogadamy. Ogólnie rzecz biorąc, im więcej zamówisz filmów reklamowych, tym taniej ci wypadnie. Jeżeli na przykład twoja reklama idzie podczas wiadomości, to wprawdzie płacisz drożej, ale za to ogląda cię większa liczba widzów.

- Możliwe - zaśmiał się Dax. - Potrzebna mi jest w każdym razie twoja fachowa porada, więc cię trzymam za słowo i zadzwonię.

- Z góry się cieszę. Najwyższy czas, żebyś zaczął planować swoją kampanię w mediach - dodał Charles. - Może być kosztowna, ale mam nadzieję, że jesteś na to przygotowany.

- Pomagam mu w tym, jak umiem - powiedziała Medeline, przytulając się do Daksa. - Rozpoczęłam już kampanię zbierania funduszy i osobiście dopilnuję, żeby Dax został wybrany na senatora.

Na twarzy Daksa pojawił się na moment wyraz niepokoju, ale natychmiast zastąpił go ciepły uśmiech.

- Będzie mi potrzebna wszelka możliwa pomoc. Rozmawiali jeszcze jakiś czas niezobowiązująco o przyjęciu, usiłując ocenić, ile przyniesie pieniędzy dla poszczególnych dyscyplin sztuki. Następnie dokładnie omówili pogodę, aż wreszcie zapadła niezręczna cisza. Zostało

powiedziane wszystko, co było do powiedzenia w grupce ludzi w gruncie rzeczy sobie obcych.

- Miło było panią poznać - zwróciła się do Keely Madeline, dając do zrozumienia, że się żegna.

- Dziękuję - odparła Keely i tylko ze względu na dobre wychowanie dodała: - I mnie było bardzo miło.

Dax podał rękę Charlesowi i Rogerowi, Nicole pocałował w policzek ze staroświeckim ceremoniałem i podobnie pożegnał Keely. Jego usta musnęły jej twarz tylko na ułamek sekundy, ale kiedy podniósł głowę i napotkał jej spojrzenie, ciało Keely przeszedł dreszcz.

- Miło było z panią zatańczyć, pani Williams, i zobaczyć panią w nie tak oficjalnych okolicznościach. Jeszcze raz gratuluję sukcesu w Waszyngtonie.

- Czy pan nas poparł, kongresmanie Devereaux? - zapytała prowokacyjnie. Wszyscy inni mogli dla niej nie istnieć. Dax całkowicie wypełnił jej pole widzenia. Jego głos był jedynym dźwiękiem, jaki do niej docierał, a jego ciemne oczy całym jej firmamentem.

- Czy musi pani pytać? - Uśmiechnął się i dołek w jego policzku wyraźnie się pogłębił. Wyprostował się z żalem i biorąc Madeline pod rękę powiedział: - Dobranoc państwu.

Roger podsunął Keely krzesło. Kiedy siadała, ostentacyjnie wygładzając spódnice, usłyszała pieszczotliwy szept Madeline:

- Mam nadzieję, że wszyscy, którzy powinni nas tu razem zobaczyć, już nas zobaczyli. Bo kiedy jestem z tobą, to zawsze mam ochotę jak najprędzej wyjść - szczebiotała.

Keely poczuła ucisk w gardle i nie pomógł nawet łyk zaczerpnięty ze szklanki, którą usłużnie podał jej Roger. Charles zrobił jakąś umiarkowanie zabawną uwagę, ale kiedy Keely uniosła głowę z przyklepionym do twarzy sztucznym uśmiechem, stwierdziła, że i Nicole się nie śmieje. Że przygląda jej się szeroko otwartymi oczami, a potem patrzy za odchodzącą parą i znów na nią.

W końcu Nicole niewinnie zatrzepotała rzęsami i złożyła buzię w ciup. Keely ani na chwilę nie wierzyła w szczerłość tej miny i natychmiast w błysku błękitnych oczu przyjaciółki zaczęła wietrzyć podstęp.

Zjedli jeszcze jakieś słodczyce i uznali, że mają dość. Kiedy mężczyźni poszli po okrycia, Nicole przysunęła się do Keely i powiedziała:

- Nie uważasz, że ten Devereaux to kawał wspaniałego chłopca?

- Tak, chyba można go tak nazwać - odpowiedziała Keely spokojnie.

- Kiedy zadzwoniłam do ciebie do Waszyngtonu, powiedziałaś, że go ledwie poznałaś.

- Bo tak było.

- Może bym się i dała nabrać, gdybym nie widziała, jak tańczycie.

Wyglądało na to, że jesteście ze sobą dość blisko.

- To tylko uprzejmość z jego strony.

- Jak to była tylko uprzejmość, to ja jestem święty turecki, ale dajmy temu na razie spokój. Co myślisz o Madeline Robins?

- Myślę, że jest w porządku.

Nicole nachyliła się i powiedziała szeptem:

- A ty jesteś kłamczucha, Keely. Ona jest niesamowicie przebojowa i ty o tym doskonale wiesz. I nie podoba ci się to tak samo jak każdej innej

kobiecie. - Ściągnęła swoje ładne usteczka i dodała: - Ciekawe, co ją łączy z kongresmanem Devereaux?

- Czy masz jakiegokolwiek wątpliwości? - spytała z goryczą Keely. Ciekawe, dokąd Dax ją zabiera teraz, kiedy, jak się wyraziła Madeline, zobaczyli ich już wszyscy, którzy mieli ich zobaczyć? Do swojej rezydencji? Do domu w Baton Rouge? Do pokoju w hotelu?

- Założę się, że ona za nim szaleje - powiedziała Nicole. - Ale coś mi się wydaje, że on nie jest aż tak napalony.

- Nie mam zielonego pojęcia o ich sprawach sercowych i zupełnie mnie to nie interesuje.

Nicole uśmiechnęła się zagadkowo, wkładając futro, które jej właśnie podawał Charles. Kiedy wychodzili z hotelu, Keely była szczęśliwa, że stracili tamtych z oczu. Usiłowała się zachowywać jakby nigdy nic, ale bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że tu w ogóle przyszła. Powinna była pójść za pierwszym impulsem i zostać w domu, pozwalając swojej namiętności do Daksa Devereaux umrzeć śmiercią naturalną. A teraz rany, które już się zaczynały zablizniać, zostały na nowo rozdarte. Będzie musiała przejść przez to wszystko od nowa. Tylko że tym razem pojawił się nowy przykry element w postaci Madeline Robins. A może nie tylko?

Uścisnęła rękę Rogerowi pod swoimi drzwiami i podziękowała mu za wieczór.

- Mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś - powiedział i Keely uznała, że biedny Roger musiał się bawić nie lepiej od niej. Charles, ruszając, zatrafił jej jeszcze na pożegnanie.

Znalazszy się w domu, przestała udawać i oparła się o drzwi. Smutna i przygaszona, podeszła do stolika stojącego przy kanapie i zapaliła małą mosiężną lampkę. Rzuciwszy na kanapę pelerynkę i torebkę, schyliła się i zaczęła rozpinąć małe klamerki przytrzymujące sznurki sztucznych brylancików przy pantoflach. W tym momencie przypomniało jej się, co powiedział Dax, i oblała się rumieńcem. Wytłumaczyła sobie szybko, że to tylko krew jej napłynęła do głowy, ale nagle przed jej oczami zaczęły się przesuwać najróżniejsze sceny erotyczne. Zrzuciła sandały z nóg, tracąc parę centymetrów wzrostu. Kiedy szła w stronę schodów, rozpinając bluzkę, zaalarmował ją głośny dzwonek u drzwi.

Czyżbym zostawiła coś w samochodzie? - pomyślała w pierwszej chwili.

Szybko zapięła bluzkę i uchyliła drzwi.

- Cześć - powiedział.

- Cześć - odparła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Instynktownie sięgnęła ręką do wyłącznika na ścianie i zgasiła światło na ganku.

Jego głos, zaprawiony nutką humoru, doszedł do niej z ciemności:

- Czy uważasz, że jesteśmy śledzeni?

- Nie wiem. A możemy być?

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, jego nonszalanckie wzruszenie ramion.

- Nie boję się ryzyka.

Odsunęła się i przepuściła go. Zrobił kilka kroków i rozejrzał się dokoła z uznaniem. Keely była dumna ze swojego domu. Jeszcze dziesięć lat temu budynek, podzielony na dwa mieszkania, był w opłakanym stanie. Został wtedy całkowicie odremontowany i zmodernizowany, ale kiedy trzy lata temu Keely kupiła swoją połówkę, urządziła ją po swojemu.

Wygląd zewnętrzny domu był typowy dla wczesnego stylu nowoorleańskiego: stara czerwona cegła, białe żaluzje i czarne kraty w oknach i wąskich drzwiach balkonowych na piętrze. Umeblowanie domu stanowiło gustowne połączenie starego z nowym. Antyki, powynajdywane na strychach i w antykwariatach, stały obok mebli pokrytych tapicerką w nowoczesne wzory. Jasne, surowe drewno współgrało ze ścianami koloru piaskowego. Przygaszony róż, błękit i zieleń - akcenty kolorystyczne rzuconych tu i ówdzie niedbale poduszek - grafiki i tkanina, która pokrywała jedną ze ścian w jadalni, tworzyły wspaniały efekt.

- Podoba mi się twój dom - powiedział Dax, nie rozglądając się na boki. - Przypomina cię.

- Tym, że ma sto siedem lat?

Odwrócił się do niej z szelmowskim błyskiem w oku.

- To zdumiewające, jak świetnie się trzymają te twoje zabytki. -

Zdjął płaszcz i powiesił w przedpokoju na mosiężnym wieszaku.

Przeciągał tę czynność nieznośnie długo, aż wreszcie stanął twarzą do niej.

Mogły upłynąć godziny, lata, małe wieczności, a może patrzyli na siebie tylko przez kilka sekund? Obojętne, jak długo to trwało, zdążyli przekazać sobie całą tęsknotę, pragnienie i frustrację, jakie odczuwali oboje od tamtego ostatniego spotkania. Nie było żadnych świadków, żadnych reguł czy konwenansów, które by ich krępowały. Przez chwilę byli tylko oni - sami, wolni od wyrzutów sumienia, posłuszni pragnieniu, jakie ich trawiło. Przez ten jeden jedyny moment żyli chwilą obecną.

Dax powoli wyciągnął ramiona i zamknął je wokół Keely. Uniosła ręce, a ich ciała, od piersi do kolan, stopiły się w jedno. Pochylił głowę, muskając ustami jej włosy, ucho, szyję. A potem jego wargi, niecierpliwe i spragnione, znalazły jej usta.

- Nie mogłem trzymać się z daleka od ciebie. Próbowałem, ale nie mogłem.

Zamknął usta na jej ustach, które otworzyły się delikatnie jak kwiat. Czerpał z niej jak ze źródła życiodajnej siły. Była szczęśliwa, że może go sycić, a jednocześnie miała nadzieję, że nigdy tej żądzy do końca nie zaspokoi.

Język Daksa płał jej dziwne figle, prowokując i drażniąc zmysły aż do utraty tchu. Każdą komórką ciała odpowiadała na jego dotyk, zapach, na niskie gardłowe pomruki.

Dax rozluźnił uścisk, ale tylko po to, by ująć w dłonie jej twarz i zajrzeć głęboko w rozmarzone oczy.

- Jak mogłaś mi to zrobić, Keely? Dlaczego wyjechałaś bez pożegnania? Czy ty wiesz, jak ja szalałem na tym lotnisku? Skąd mogłem wiedzieć, czy na przykład nie zostałaś porwana? Przychodziły mi do głowy najstraszniejsze koszmary. Dlaczego mi to zrobiłaś?

- Dax - jęknęła. - Pomyślałam, że będzie najlepiej, jak się już więcej nie zobaczymy sam na sam. Wszystko wymyka... wymyka nam się z rąk...

- Przepraszam cię za to, co się stało po naszym wyjeździe z Mount Vernon. Ja bym nigdy nie chciał cię zranić ani obrazić. O Boże, przeciwnie, chciałem cię przeprosić. Próbowiałem, ale wyłączyłaś telefon, a następnego dnia nie było okazji.

Przez pełną męki chwilę palce Daksa błądziły po jej twarzy, delikatnie badając każdy jej szczegół, rozkoszując się gładkością skóry.

- Wbrew temu, co mówią o mnie moi przeciwnicy, mam kościec moralny. Wiem, że jesteś żoną innego mężczyzny. Gdybyś była moja, zabiłbym każdego, kto by się do ciebie zbliżył. - Przytulił ją mocno do siebie. - Ale, przebacz mi. Boże, pragnę cię jak nikogo na świecie.

- Mnie też musisz prosić o przebaczenie, Dax. Nie czekał na drugie zaproszenie. Jego usta paliły jej wargi jak ogień, który powoli ogarniał ich ciała.

Zdawała sobie sprawę, że świat usuwa jej się spod nóg i że ona, Keely, spada w przepaść, wymykając się spod władzy sumienia, w krainę

szczęścia, z której wcale nie chciała wracać. Kołysana na fali namiętności, przestała dbać o cokolwiek. W całym swoim trzydziestoletnim życiu nie zaznała prawdziwie uwodzicielskiej siły męskiego dotyku. Krew pulsowała jej w skroniach.

- Jesteś piękna - powiedział tuż przy jej ustach. - Kiedy tańczyliśmy, miałem ochotę to zrobić. - Pochylił głowę i leciutko pocałował rowek między jej piersiami tuż nad linią stanika. Muskał ją ustami, czubkiem nosa i brodą. Powoli przykrył dłonią jedną z jej piersi i całując jednocześnie tę drugą, przesuwał usta coraz niżej i niżej.

- Keely, Keely. - Jej imię wyrwało mu się jak krzyk z udreżonego gardła. Podniósł głowę i oparł czoło o jej czoło. - Tak dłużej nie można...

- Wiem.

- Ja tego dłużej nie wytrzymam.

- Ja też nie.

- Muszę iść.

- Rozumiem cię.

- Czy jutro rano znów wstajesz o piątej? - zapytał, zdejmując płaszcz z wieszaka.

- Tak. - Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie mogła zapanować nad drżeniem warg.

Spojrzał na zegarek.

- Nie wyśpisz się. Już jest późno. Ale Keely to nic nie obchodziło.

- Czy wracasz jeszcze dziś do Baton Rouge? Potrząsnął głową.

- Nie. Mam tu jutro sprawy do załatwienia. Kiedy jestem w Nowym Orleanie, zatrzymuję się w Bienville House. Znasz ten hotel?

- Znam, ale nigdy tam nie byłam.

- Jest czysto i cicho.

- Wyobrażam sobie. - Mówili nie to, co chcieliby powiedzieć, po prostu zabijali czas, jaki ich dzielił do chwili rozstania.

- Kto mieszka w tej drugiej części domu?

- Takie starsze małżeństwo. On jest profesorem filozofii na Tulane. Mają doga, wyższego ode mnie. - Znów próbowała się uśmiechnąć. I znów bez skutku.

- Miałaś szczęście, że ci się trafiła ta strona...

Jego pogodny nastrój ulotnił się nagle i całe hamowane napięcie wybuchło z siłą wulkanu. Zaklął dosadnie i pięścią walnął w dłoń drugiej ręki.

- Do diabła! Po jaką cholere ja tu stoję i tyle czasu bredzę! Nic mnie przecież nie obchodzi, kto mieszka w drugiej części twojego domu. Gadam tylko po to, żeby cię nie dotykać. Tak na dobrą sprawę ja nawet nie wiem, co mówię. Bo w gruncie rzeczy cały czas myślę o tym, że chciałbym się z tobą kochać bez żadnych zahamowań, a nie jak para nieporadnych nastolatków. Chcę cię widzieć rozebraną, Keely. I sam chcę leżeć koło ciebie. I żebyśmy sobie zadawali odrobinę bólu, a potem się koili i pocieszali. Chcę cię całować i patrzeć na ciebie, kiedy to robię. Jeśli to, co mówię, budzi twój sprzeciw, to cię przepraszam, ale wiedz, że tak czuję. Od chwili, kiedy cię zobaczyłem w tym piekielnym samolocie.

Jego głos osiągnął tony, jakich nigdy u niego nie słyszała. Cały czas zaciskał i otwierał pięści, jakby chciał okiełznać rozszalały temperament.

- To nie chodzi tylko o zwykłe pożądanie. Mógłbym je zaspokoić gdziekolwiek. Tu chodzi o to, co czuję w sercu. Oszukiwałem się, wmawiając sobie, że mogę być twoim kolegą, przyjacielem. Ale to

nieprawda, Keely. Nie jestem w stanie być z tobą i cię nie dotykać. Czy ty to rozumiesz? Te potajemne spotkania nie tylko kompromitują nas oboje, ale doprowadzają mnie do szaleństwa. Rzeczywiście będzie najlepiej, jak się już więcej nie zobaczymy. Do widzenia.

Otworzył drzwi i energicznie zamknął je za sobą. Keely stała bez ruchu, chociaż targała nią rozpacz.

Dax ma rację. Dax ma rację. Od początku wiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie. Tak będzie lepiej. Tak jest lepiej.

Ale jeśli rzeczywiście jest lepiej, to dlaczego tonie we łzach?

- Jest ósmą pięćdziesiąt sześć i pozwolą państwo, że drugą poranną zmianę zapoczątkuj e Olivia Newton John. Ale jeszcze słówko, Keely. Jak sprawy wyglądają z góry?

Keely zaczęła mówić do małego mikrofonu zamocowanego do słuchawek.

- Dobrze, Ron - powiedziała do disc jockeya obsługującego godzinę szczytu. - Policja w dalszym ciągu rozładowuje korek na autostradzie Pontchartrain przy wyjeździe na Broad Street, powstały na skutek karambolu sześciu samochodów. Wszystkie pasma ruchu, poza jednym, są jeszcze zamknięte. Jadący w tamtą stronę muszą się liczyć z możliwością objazdu. A poza tym, ogólnie rzecz biorąc, ranek był dość spokojny.

- Dzięki, kochanie. A co byś powiedziała na kawę później?

- Niestety, Ron, mam dziś urwanie głowy. Ron jęknął z udaną rozpaczą.

- Ludzie, ten nasz anioł w niebie ma serce z kamienia.

Keely wyłączyła mikrofon, kiedy Ron pożegnał się ze słuchaczami, i nastawiła obiecane nagranie. Codziennie wiedli na antenie żartobliwe

przekomarzania, ale wszystko wskazywało na to, że publiczność świetnie się bawi. Czasem nawet Keely otrzymywała od swoich fanów listy, w których ją proszono, żeby była nieco łaskawsza dla Rona, który najwyraźniej jest w niej zakochany. Mało kto z autorów tych listów wiedział, że Ron jest żonaty, ma trójkę dzieci i wiecie całkiem spokojny rodzinny żywot pod swoim prawdziwym nazwiskiem w Metairie.

Keely westchnęła, kiedy Joe Collins, weteran wśród pilotów, przechylił maszynę i zmienił kierunek. Jak zwykle na widok nachylonej w dole ziemi kurczowo zacisnęła pięści. Jej mąż zaginął po katastrofie helikoptera. Nie mogła o tym zapomnieć.

- Jak się czujesz, aniele, dziś rano? - spytał żartobliwie Joe, chociaż patrząc na swoją pasażerkę, miał wypisaną na twarzy troskę.

- Dobrze. - Keely uśmiechnęła się krzywo. - Może tylko jestem niewyspana. - Była to prawda. Po wyjściu Daksa leżała pogrążona w koszmarnych rozmyślaniach, i tak ją zastał ranek. Trzeba było wziąć prysznic i iść do pracy.

- Jesteś pewna, że to tylko to? - zapytał Joe, sadzając helikopter na parkingu Superdome, skąd zabierał ją dwa razy dziennie.

- Tak. Miałam wyjątkowo przykry atak chandry. Nic poważnego.

- Nie jestem przekonany, ale nie będę cię już męczył. Do popołudnia.

- Do zobaczenia. - Keely wysiadła z helikoptera, wzięła swoje rzeczy i zatrzasnęła drzwi. Przebiegła pod wirującym Śmigłem i kiedy już była poza jego zasięgiem, pomachała podrywającemu właśnie maszynę Joemu.

Podeszła do samochodu. Rano poważnie myślała o tym, żeby się zwolnić z powodu choroby, ale doszła do wniosku, że będzie znacznie

lepiej, jeśli pójdzie do pracy, jakby się wczoraj wieczorem nic nie stało. Przynajmniej zajmie czymś myśli, zamiast tłuc się po pustym domu.

Godzina szczytu jeszcze się nie skończyła, kiedy jechała do dzielnicy francuskiej, gdzie i tak zawsze były korki. O tej porze wąskie uliczki, nieprzystosowane do nowoczesnego ruchu, były zablokowane wozami dostawczymi stojącymi przed licznymi restauracjami i sklepami Vieux Carré. Wreszcie zostawiła samochód na parkingu na dachu jednego ze starych domów i poszła do znajdującej się kilka przecznic dalej siedziby studia KDIX.

Deszcz ustał i zamglone słońce z trudem przebijało się przez chmury, co Keely poczytała sobie za obrazę. Nie chciała, żeby cokolwiek rozświetlało ten dzień. Ogarnęła ją czarna rozpacz i wszyscy mieli o tym wiedzieć.

Przez dłuższy czas stała, wyglądając przez okno i przeżywając od nowa te chwile, kiedy Dax ją przytulał i całował. Wierzyła święcie we wszystko, co kiedykolwiek do niej powiedział. I to właśnie dlatego nie miała wątpliwości, że już więcej nie będzie chciał się z nią zobaczyć. Nie mogli być tak po prostu przyjaciółmi. Zbyt wielkie panowało między nimi napięcie. Za każdym razem, kiedy byli ze sobą, zdradzali Marka, ale również i swoje własne zasady. Jeszcze tylko tego jej brakowało w życiu i tak już trudnym i skomplikowanym. Podobnie jemu. Gdyby się okazało, że go coś łączy z żoną jednego z zaginionych, i to osobą tak znaną jak ona, jego przeciwnicy natychmiast by to wykorzystali.

Zdecydowana już więcej nie zaprzętać sobie myśli Daksem, usiadła przy biurku, automatycznie odpisała na zaległą korespondencję, odpowiedziała na kilka telefonów i wdała się w długą rozmowę z

producentem porannego programu. Ponieważ jej dyżur był podzielony na dwie części, zwykle miała wolne w środku dnia aż do wpół do czwartej, kiedy to znów spotykała się z Joem na Superdome, żeby obsłużyć popołudniowe godziny szczytu.

Właśnie zamierzała wychodzić, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęła Nicole.

- Całe szczęście, że jesteś - powiedziała zdyszana. - Uratowałaś mi życie.

Keely roześmiała się mimo woli, widząc tak wielką ulgę na twarzy przyjaciółki. Nicole w dziękczynnym geście położyła swoją upierścienioną dłoń na falującej piersi.

- Powiedz mi szybko, co ja takiego zrobiłam.

- Będiesz miała wywiad na żywo w południowych wiadomościach.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Keely, nie wygłupiaj się. Ja naprawdę nie żartuję. Facet, który miał być w tym programie, właśnie zadzwonił, że jest chory i nie przyjdzie. Musisz go zastąpić, jeżeli nie chcesz, żeby nasi telewidzowie przez piętnaście minut oglądali moje slajdy wakacyjne. Będę z tobą rozmawiała o zaginionych w Wietnamie i o twojej misji w Waszyngtonie. To sprawa aktualna i ciekawa. Na czym polega problem?

Problem polegał na tym, że nie chciało jej się żyć, a cóż dopiero udzielać wywiadu w telewizji.

- Nicole, każdego innego dnia bardzo proszę, ale nie dzisiaj. Czuję się fatalnie, a wyglądam jeszcze gorzej.

- Bzdura. Wyglądasz wspaniale, jak zawsze.

- Mam podkrążone oczy! - wykrzyknęła Keely.

- Ja też! - wrzasnęła w odpowiedzi Nicole. - Makijażem można dokonać cudów. A zresztą nie pozwolisz, żeby twoje podkrążone oczy zrujnowały moją karierę!

- Nicole, jestem przekonana, że gdybyś tylko spróbowała, z pewnością znalazłabyś kogoś na zastępstwo. A burmistrz? Jest idealny jako zapchajdziura.

- Ale nudny jak wszyscy diabli. A ty masz świetny materiał. Weź się w garść, dziewczyno. Za dziesięć minut wychodzimy - dodała, spoglądając na zegarek.

- Boże, nawet nie zajrzałam w scenariusz. No, chodź.

- Podeszła do Keely, wzięła ją za rękę i poderwała na nogi.

- Mam dreszcze - jęknęła Keely.

- To weź aspirynę.

- Ta sukienka jest...

- Bombowa. Podeszły do drzwi.

- Do diabła, dlaczego niby nie? - mruknęła Keely pod nosem.

- To mi się podoba. No właśnie, dlaczego nie

- mówiła Nicole, ciągnąc ją przez korytarz. Pod drzwiami damskiej toalety zatrzymała się. - Zrób się na bóstwo, i lecimy. Wywiad idzie po prognozie pogody, czyli o dwunastej dwadzieścia, ale musisz być wcześniej, żeby zrobić próbę z mikrofonem. Pamiętaj, jak zacznę zadawać głupie pytania, to mi przerywaj długimi wyjaśnieniami. Ja tego tematu tak dobrze nie czuję.

- Nicole wepchnęła przyjaciółkę do toalety.

Spoglądając w krzywe lustro nad zachlapaną umywalką, Keely usiłowała przybrać wyraz twarzy, który by chociaż w odległy sposób

przypominał radosny nastrój. Poprawiła kolorki na policzkach, podkreśliła usta i uczesała włosy. Niebieskozielona jedwabna szmizjerka z pewnością będzie się dobrze prezentowała przed kamerami. Całe szczęście, że nie zdobiły jej paski ani kratki, które by migwały w oczach.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest dokładnie dwunasta.

Wyszła z toalety i wspięła się po betonowych schodach. Nad grubymi drzwiami studia paliło się czerwone światełko świadczące o tym, że są na wizji, ale Keely otworzyła drzwi tylko na tyle, żeby się wśliznąć do środka.

Poza kręgiem światła na biurku, przy którym Nicole z kolegą czytali wiadomości, w studiu było ciemno.

Keely poczekała chwilę, aż wzrok jej się przyzwyczaił do mroku, po czym przeszła przez ciągnące się po podłodze kable. Kiedy na monitorze pojawiła się reklama, redaktor programu zdjął słuchawki, podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Jak się masz, ślicznotko - powiedział wesoło.

- Pozwól, że cię zaprowadzę do miejsca, gdzie masz mieć wywiad.

Dasz się namówić do grzechu?

- Pod warunkiem, że dostaniesz od żony pozwolenie na piśmie,

Randy. - Roześmiała się. - Jak leci?

- Bałagan jak zawsze. Dzięki, że zgodziłaś się dzisiaj pomóc. Nie każdy chciałby wystąpić z Devereaux.

- Z Dev... - Nie dokończyła.

Weszła za Randym na plan i zobaczyła siedzącego na małej kanapce Daksę z mikrofonem i słuchawkami.

- Państwo się chyba znają - powiedział Randy, popychając delikatnie Keely na miejsce obok Daksa i wręczając jej mikrofon. - Uważaj na swój jedwab - ostrzegł ją.

- Randy, już jest trzydzieści sekund po przerwie - zawołał jeden z kamerzystów.

- Zaraz będziemy gotowi - odparł Randy, po czym z powrotem nałożył słuchawki i wrócił do swojej kamery.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? - zapytała Keely półgłosem.

- Bo nie wiedziałem - mruknął Dax, demonstracyjnie poprawiając krawat.

Keely szybko odwróciła głowę.

- Nie wiedziałeś?

- Do dziś rana nie. Nicole zadzwoniła do mnie bardzo wcześnie, cały czas przepraszając. Powiedziała, że mam być tu w studiu o dwunastej. Więc jestem.

Keely odsunęła się nieco, czując jego ciepłą bliskość na maleńkiej kanapce i obciągając spódnice, mruknęła:

- Zdaje się, że wpuściła nas w maliny. Taki sam numer wycięła mnie. Nie miałam pojęcia, że tu będziesz. Powiedziała, że zgadzając się na wywiad, uratuję sytuację, bo im ktoś nawalił. Bardzo mi przykro.

- A mnie nie.

Spojrzała na niego ponownie, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zapalono światła.

- Halo, koteczku! - zabrzmiał głos reżysera ze szklanej kabiny zawieszanej nad podłogą studia. Keely zorientowała się, że idzie następna reklama. Kamerzyści zręcznie przesuwali właśnie trzy ciężkie kamery w

ich stronę, nastawiając je na Keely i Daksa. - Och, przepraszam, kongresmanie, mówiłem do naszej Keely.

- Cześć, Dave. - Keely osłoniła oczy przed blaskiem reflektorów, machając do mężczyzny siedzącego przy konsolce w szklanej kabinie. Nieoczekiwanie w studiu zabrzmiał jej głos.

- Powiedz coś na próbę, to ustawię poziom nagrania - usłyszeli słowa Dave'a, który następnie zwrócił się do Keely: - Jeszcze raz, to zrobimy próbę mikrofonową.

- Halo, Dave. Tu Keely Preston, próba mikrofonowa. Raz, dwa, trzy.

- Wspaniale, głosik jak u słowika. Kongresmanie Devereaux, można pana prosić?

- Halo, Dave. Jak się miewa twoje najmłodsze?

- Niech mnie! Rzeczywiście! Jak się widzieliśmy ostatnim razem, moja żona była akurat w szpitalu. Dzięki za pamięć. Oboje mają się świetnie.

- To dobrze - powiedział Dax.

W tym momencie odezwał się jakiś anonimowy zdenerwowany głos:

- Nicole, może byś tak wreszcie znalazła chwilkę czasu i przyszła na plan. Kończy nam się ostatnie sześćdziesiąt sekund.

Keely zobaczyła, jak Nicole biegnie do lustra i poprawia swoją nieskazitelną fryzurę, a następnie pada na krzesło naprzeciwko nich, przypinając sobie do kołnierzyka mikrofon.

- O Boże - powiedziała zdyszana. - Co za cholerny dzień. Witam raz jeszcze, kongresmanie Devereaux.

- Starannie ignorowała Keely, która doskonale wiedziała, jak bardzo jej przyjaciółka jest zdenerwowana. Od kiedy to Nicole mówi „O Boże”?

- Mów do mnie Dax, bardzo cię proszę.

- Chętnie, ale nie podczas wywiadu - odparła Nicole.

- Na ciebie najazd kamery drugiej, Nicole - cicho instruował Randy po grzmiących rozkazach Dave'a. - Piętnaście sekund.

- Jesteście gotowi? - spytała Nicole swoich gości i nie czekając na odpowiedź, spojrzała w kamerę, oblizwała wargi i uśmiechnęła się. Kiedy na kamerze zabłyśły czerwone światełka, powiedziała: - Dziś w części naszego programu poświęconej wywiadam gościmy naszą Keely Preston i kongresmana Daksa Devereaux.

Przez następne siedem minut Keely i Dax odpowiadali na pytania Nicole i mówili o sprawach, które pominęła. Wywiad poszedł gładko. Zachowywali się tak, jakby ich łączył jedynie wspólny temat rozmowy.

Tylko jeden raz, kiedy Dax mówił w swój spokojny, wyważony sposób, Keely odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Obserwując jego gestykulację, pomyślała, jak bardzo znajome są te ruchy. Każdą sprawę przedstawiał w sposób zwięzły, jasny i przekonujący. Nigdy nie owijał w bawełnę tam, gdzie w grę wchodziło czyjeś dobro. Keely podziwiała w nim człowieka o zdecydowanych, wyważonych poglądach.

- Dziękuję wam - powiedziała Nicole, kiedy czas upłynął i wiadomości się skończyły. Wstała i odpięła mikrofon. - Wprost nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wam wdzięczna za to, że rzuciliście wszystko, żeby tu przyjść.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc - odparła Keely, która z trudem hamowała wściekłość, cały czas bezskutecznie szarpiąc się z mikrofonem. Doskonale wiedziała, jakie były intencje Nicole, kiedy zapraszała ich oboje do wzięcia udziału w programie. Poprzedniego dnia, przypierana

przez nią do muru w sprawie Daksa, nie przyznała się do jakiegokolwiek zainteresowania jego osobą. Zdawała sobie sprawę, że Nicole nie jest głupia i że jest szczególnie wyczulona na sprawy damsko-męskie. - A teraz przepraszam, ale mam jeszcze robotę. - Z tymi słowami Keely precyzyjnie się koło Daksa i wyszła ze studia. Wchodząc na pierwsze piętro, a potem labiryntem korytarzy idąc do swojego odosobnionego pokoju, dosłownie się trzęsła. Opadła na krzesło i głęboko oddychając, ukryła twarz w dłoniach. Tym razem to los ją zetknął z Daksem. A przecież już się pogodziła z myślą, że w jej życiu nie będzie dla niego miejsca.

Wczoraj wieczorem, sfrustrowany i zły, doszedł do tego samego wniosku i okazując znacznie więcej dyscypliny, niż ją by na to było stać, powiedział, że się już więcej nie zobaczą. Nie minęło kilka godzin, a znów byli razem - siedzieli bardzo blisko siebie na niewielkiej kanapce i oddychali tym samym powietrzem, z najwyższym trudem udając obojętność.

Jednego była pewna: nie będzie sterczała w tym ponurym pokoju i rozdrapywała ran. Im prędzej wyjdzie z tego budynku, tym lepiej.

Właśnie zdejmowała z wieszaka płaszcz, kiedy drzwi otworzyły się i do środka wśliznął się Dax.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ręce Keely zastygły w pół gestu. Dax stał plecami do drzwi, jakby chciał powstrzymać nacierające wrogie siły.

- Dokąd idziesz? - zapytał wreszcie. Założyła płaszcz. Poczowała się słaba, bezbronna.

Serce waliło jej w piersi bezsensownie, irytująco.

- Wychodzę. Mam kilka godzin wolnego.

- Aha - powiedział, ale nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby ją przepuścić. Boże, jaka ona jest piękna, pomyślał. Wczoraj wieczorem mówił poważnie. Kontynuowanie tych potajemnych spotkań byłoby szaleństwem. Pogardzał kłamstwem i kręctwem. Nadawało to ich spotkaniom dwuznaczny charakter i choćby już z tego tylko powodu wolał się ich wyrzec.

Skoro nie jest w stanie pohamować pożądania, musi wyeliminować pokusy. Tylko czyste chirurgiczne cięcie może załatwić sprawę. Zdecydowany, choć nie przekonany, poszedł do studia telewizyjnego. Na widok Keely przysły jednak wszelkie postanowienia.

Ze spokojem, logicznie i konsekwentnie odpowiadał na pytania Nicole, ale w wyobraźni cały czas kochał się z siedzącą obok niego kobietą, całkowicie bezbronny wobec jej bliskości. Jej ciało emanowało ciepłem, którego działaniu nie mógł się oprzeć. Był świadom każdego jej ruchu, choćby najmniejszego. Obserwując równomierne wznoszenie się i opadanie jej piersi, rejestrował każdy oddech Keely.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że nie wiedziałem, że będziesz w tym dzisiejszym programie. Byłem tak samo zdziwiony jak ty.

- Kiedy ja wcale nie uważałam, że masz z tym cokolwiek wspólnego. Z daleka mi to pachniało Nicole. Jej małymi intrygami.

- Ale dlaczego? Co jej mogło na tym zależeć, poza chęcią zrobienia ciekawego wywiadu?

- Sądzę, że nie uważałyby tego wywiadu za nawet w połowie tak ciekawy, gdyby nie widziała nas wczoraj tańczących. - Keely odwróciła głowę. - Ona... ona mnie potem wzięła na spytki. - Wiedząc, że wyjście w

tej chwili z pokoju byłoby jedynie bezskuteczną próbą odsunięcia od siebie problemu, zdjęła płaszcz i z powrotem powiesiła go na wieszaku. Położyła na biurku torebkę i opadła na skrzypiące krzesło.

- Na jakie spytki? - Dax usiadł na rogu biurka.

- O ciebie. Do jakiego stopnia posunęła się nasza znajomość w Waszyngtonie.

- I co jej powiedziałaś?

- Że się ledwie poznaliśmy.

- A ona co na to?

Keely spojrzała na niego i odpowiedziała:

- A ona na to, że po tym, jak nas widziała w tańcu, absolutnie w to nie wierzy.

Dax nachylił się i wziął ją za rękę. Wiódł palcem po wszystkich po kolei wypielegnowanych paznokciach Keely.

- I o co jeszcze pytała? - Podniósł oczy, ale tylko do poziomu jej ust. Czując to napięcie, rozchyliła wargi.

- Chciała wiedzieć, czy też uważam cię za kawał wspaniałego chłopca. - Uśmiechnęła się, choć tylko kącikiem ust.

Z rozbawieniem uniósł czarne brwi.

- Za kawał wspaniałego chłopca? A, to interesujące. Jestem niezmiernie ciekaw, co jej odpowiedziałaś. - Pochylił się nad nią niżej.

Musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Odpowiedziałam jej, że moim zdaniem można by cię tak nazwać.

Przekrzywił głowę i zapytał prowokacyjnie:

- Powiedziałaś o mnie coś takiego?

Jego uśmiech okazał się zaraźliwy i Keely również się uśmiechnęła.

- W chwili słabości.

Roześmiali się oboje. Czubkiem palca dotknął kącika jej ust. Przesunął po dolnej wardze aż do drugiego kącika, który był równie interesujący, po czym objął Keely za szyję i przyciągnął do siebie.

Zgrzyt przekręcanej gałki w drzwiach był jak strzał, na którego dźwięk odskoczyli od siebie gwałtownie. Keely poderwała się z krzesła; Dax stał przed nią, twarzą odwrócony do drzwi, jakby jej bronił. Odetchnęli z ulgą na widok Nicole, która szybko zamknęła za sobą drzwi.

- Na miłość boską, jesteście jak dzieci. Czy nie rozumiecie, że jak idziecie na tego rodzaju lunch, to powinniście byli się zamknąć? - Strofowała ich jak zatroskany rodzic.

Keely odsunęła Daksa i okrążyła biurko.

- Nicole, miałam ochotę udusić cię za numer, który nam dzisiaj wycięłaś. Dlaczego to zrobiłaś?

Zupełnie nie przejmując się złością przyjaciółki, Nicole usiadła na biurku disc jockeya, ponownie przewracając fotografię biednej Cindy.

- Nie udawaj, że jesteś zła z tego powodu, żeście się tam spotkali. Widząc was wczoraj wieczorem w tańcu, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że za sobą szalejecie, i dlatego postanowiłam zabawić się w swatkę. To wszystko - przyznała radośnie. - I chyba mi się powiodło, sądząc z tego, co zobaczyłam po wejściu. Szkoda tylko, że was nie zastałam w bardziej kompromitującej sytuacji.

- Nicole! - wykrzyknęła Keely, czerwieniejąc ze złości. - Dax... to znaczy my...

Dax podszedł do niej z tyłu i objął ją opiekuńczym ramieniem.

- Nicole - powiedział spokojnie. - Najwyraźniej zauważyłaś, że kiedy byliśmy w Waszyngtonie, zawarliśmy bliższą znajomość. To był przypadek. Żadne z nas nie planowało, ale stało się. Oboje widzimy jednak całkowitą bezcelowość zacieśniania tego związku. Ona jest mężatką. - Spojrzał smutno na Keely. - A ja kandyduję do Senatu. Romans z mężatką nie byłby najlepszym posunięciem w mojej sytuacji, nawet gdyby Keely na to przystała, czego z pewnością nie robi. Wczoraj wieczorem po przyjęciu zdecydowaliśmy, że nie będziemy się widywali ani publicznie, ani prywatnie, jeśli tylko uda się tego uniknąć. Dlatego oboje byliśmy dość speszeni tym spotkaniem w studiu.

- Wczoraj wieczorem? Po przyjęciu? - spytała bystro Nicole. -
Gdzie?

Dax spojrzał na Keely, a kiedy skinęła głową, powiedział:

- U niej w domu. Nicole opadła na biurko.

- Rany boskie! Czy ktoś cię tam przypadkiem nie zobaczył?

- A jeśli nawet, to co? - spytała Keely, której nie podobał się sposób, w jaki Nicole zagryzła wargę.

- No cóż... nie ja jedna zauważyłam, jak ze sobą tańczyliście. Dlatego przyszłam. Macie tu pierwsze wydanie wieczornej gazety. Uważam, że powinniście je zobaczyć. - Dopiero teraz zauważyli w ręku Nicole zwiniętą gazetę. Keely z bijącym sercem otworzyła ją na kronice towarzyskiej. A tam, na zdjęciu, które trudno byłoby przeoczyć, tańczyła ona z Daksem, spleceni w czułym uścisku. Dax pochylał się nad nią, a ona unosiła do niego twarz jak kwiat do słońca. Ich uśmiechy mówiły nawet więcej niż uścisk. Pod zdjęciem widniał podpis: „Sensacja wieczoru: Kongresman Devereaux i Keely Preston, żona zaginionego w Wietnamie”.

- Cholera - zaklął pod nosem Dax i rzucił gazetę na podłogę. -

Cholera.

Keely skrzyżowała ręce na piersi, odwróciła się i podeszła do okna.

Nicole odchrząknęła.

- Radzę wam dobrze, uzgodnijcie między sobą wersję wydarzeń. Bo ktoś się z pewnością do tego przyczepi - ostrzegła ich. - Dax, czy ktokolwiek widział cię w domu Keely?

- Nie sędzę. Zaparkowałem przed restauracją na St. Charles i ten kawałek przeszedłem na piechotę.

Keely odwróciła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak zrobiłeś? Nie wiedziałam.

- Nie wiedziałaś? A jak sobie wyobrażałaś, że się tam dostałem?

Wzruszyła ramionami.

- Nie myślałam o tym. Po prostu jakoś się znalazłeś. - Zdjęła mu nitkę z klapy. - Nie powinieneś był tego robić. To bardzo niebezpieczna dzielnica po zmroku. Mógł cię ktoś napaść.

- Ale przecież ja jestem kawał wspaniałego chłopca, zapomniałaś?

- Nie, ale to nie są żarty - powiedziała poważnie.

- Nie zmarzłeś?

Przygładził jej kosmyk włosów.

- Po wyjściu od ciebie? Chyba żartujesz. - Zachichotali.

- No, no, zapomnieliście o mnie? - odezwała się Nicole. Popatrzyli na nią takim wzrokiem, jakby rzeczywiście zupełnie o niej zapomnieli.

- Osobiście uważam, że powinniście powiedzieć ludziom, żeby pilnowali swojego cholernego nosa. Jeśli o mnie chodzi, namawiałabym was jak najusilniej na romans. Ale skoro dla was interes jest ważniejszy od

uczucia, to musicie się liczyć z reperkusjami tego zdjęcia w prasie. Nawiasem mówiąc, jest tam też notatka, której chyba nie zdążyliście przeczytać. Autor sugeruje, że w Waszyngtonie mogło być coś więcej niż tylko przesłuchanie na forum podkomisji. A sądząc z waszych min, jest chyba bliski prawdy.

Nicole podeszła do drzwi.

- Ale pamiętajcie, proszę, że macie we mnie przyjaciela. I przepraszam was bardzo za to, co wam dzisiaj zrobiłam. Gdybym wcześniej miała w ręku tę gazetę, wymyśliłabym dla was jakieś mniej publiczne spotkanie. - Zmrużyła oczy. - Z drugiej strony, może wam to posłużyć jako świetne alibi. Wczoraj zostaliście zaproszeni do wzięcia udziału w dzisiejszym programie, żeby porozmawiać o sprawie zaginionych, i po prostu mówiliście o tym, co wydarzyło się w Waszyngtonie. Może to niewiele, ale wszystko, co macie na swoją obronę.

Z tymi słowami Nicole wyszła. Dax i Keely dłuższą chwilę wpatrywali się w drzwi. Wreszcie odwrócili się do siebie. Dax westchnął i potarł kark.

- Wszystko wskazuje na to, że decyzja została za nas podjęta.

- Rzeczywiście. Przykro mi, Dax. Ale za nic na świecie nie chciałabym cię narażać.

- Wiem. Doskonale wiedziałem, co robię, prosząc cię wtedy do tańca. Oszukiwałem sam siebie, uważając, że nasza znajomość może mieć charakter platoniczny.

- Wskazał gestem leżącą u jego nóg gazetę. - Zdjęcie jest warte tyle co tysiąc słów.

- Musimy mieć pewność, że nie damy im już więcej broni do ręki. Wczoraj wieczorem powiedziałeś, że nie powinniśmy, nie możemy już więcej się widywać, nawet w najbardziej niewinnych okolicznościach. To, co się stało dzisiaj, powinno umocnić tę decyzję. - Spojrzała na niego. - Ja jestem w dalszym ciągu mężatką, Dax. Wszystko inne to tylko dodatkowe elementy, ale ten jeden jest niepodważalny i najważniejszy: jestem mężatką.

- Dasz sobie radę, prawda? - zapytał już od drzwi.

- Gdyby cię na przykład przyparli do muru i poprosili o skomentowanie tego zdjęcia?

- Udam głupią. Powiem, że cię poznałam w Waszyngtonie. Poszliśmy na lunch w towarzystwie kongresmanów, znanego dziennikarza i jeszcze jednej osoby ze Stowarzyszenia. Doceniam twoje stanowisko w naszej sprawie. Popieram w pełni twoją kandydaturę do Senatu.

Ponuro skinął głową. Wyglądał jak idący na szubienicę skazaniec, który stara się odwlec wykonanie wyroku.

- Gdybyś kiedykolwiek uznała, że mogę ci być potrzebny...

Odpowiedziała mu spojrzeniem, bez słów.

A potem Dax wyszedł i pozostał trudny do zniesienia ból.

Półprzytomna wróciła do biurka, usiadła i położyła głowę na rękach. Jej cichy szloch przerwał brutalnie ostry dzwonek telefonu.

- Tak, słucham - wychrypiła w słuchawkę.

- Tu Grady Sears z „Times-Picayune”. Mocniej ujęła słuchawkę, usiłując zachować spokój.

- Keely Preston przy aparacie, słucham pana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Był to pierwszy z całej serii podobnych telefonów. Natrętni reporterzy byli jednak na ogół zawiedzeni spokojnymi odpowiedziami Keely Preston Williams na lawinę pełnych insynuacji pytań. Zagadnięta, czy ma romans z kongresmanem Devereaux, roześmiała się niefrasobliwie.

- Jestem przekonana, że kongresman nie byłby zachwycony, gdyby wiedział, że jego nazwisko wiąże się z nazwiskiem takiej starej mężatki jak ja.

- Pani męża nie ma od dwunastu lat, pani Williams. A panią trudno nazwać starą. Kongresman Devereaux jest znany ze swoich licznych romantycznych przygód.

Czyżby? Ciekawe, ile ich było. Czy jestem jedną z wielu?

- Nie wiem nic na temat spraw sercowych kongresmana Devereaux, dawnych ani obecnych.

- A jak pani wytłumaczy czuły uścisk, w jakim państwo ze sobą tańczyli? - To pytanie zostało zadane z wyraźną ironią. - Zdjęcia nie kłamia, pani Williams.

- Nie, ale mogą być tendencyjnie interpretowane. Kongresman i ja cieszyliśmy się wspólnym zwycięstwem odniesionym w Waszyngtonie. Poparł naszą sprawę. Jeżeli swoją kampanię wyborczą poprowadzi z taką samą finezją, z jaką zachowuje się na parkiecie, to jestem przekonana, że wygra wybory.

Te ostatnie słowa zostały już wypowiedziane przez zaciśnięte gardło i z wymuszonym uśmiechem. Wypadła na głupie, ckliwe kobieciątko, ale

lepsze to niż osoba w pewnym sensie publiczna, obarczona poczuciem winy z powodu uwikłania w jakąś aferę miłosną.

Wszystkie rozmowy przebiegały według tego samego schematu. Ponieważ ani ona, ani Dax nie dawali powodu do rozdmuchiwania sprawy, sensacja umierała powoli własną śmiercią. Kiedy jednak Keely myślała, że najgorsze ma już za sobą, okazało się nagle, że musi stawić czoło najbardziej agresywnemu ze swoich rozmówców.

Stało się to w cztery dni po tym, jak wystąpili z Daksem w wiadomościach. Po ciężkim dniu Joe odstawił ją do samochodu na Superdome. Tego dnia jeszcze trzech reporterzy poprosili ją o dalsze komentarze.

- Zdaje się, że będziesz miała towarzystwo - powiedział Joe, przekrzykując ogłuszający warkot śmigieł, kiedy sadzał helikopter na ziemi.

Keely zdążyła już zauważyć samochód zaparkowany koło jej samochodu i mężczyznę, który właśnie wysuwał się zza kierownicy. Był to Al van Dorf.

- Rzeczywiście na to wygląda - przyznała ponuro. Podziękowała Joemu, że ją szczęśliwie odstawił na miejsce, pomachała mu na znak, że jest wolny, i zamiast jak zwykle puścić się biegiem, żeby jak najprędzej się znaleźć poza zasięgiem wirujących łopatek, podeszła do samochodu spokojnym, odmierzonym krokiem. Van Dorf zajął pozycję pomiędzy nią a jej wozem.

Patrzyła, jak helikopter się podrywa i ostro skręca w kierunku hangaru, w którym Joe go zwykle zostawiał.

- Nigdy nie mogę się dość nadziwić, jak to jest, że takie rzeczy mogą latać - powiedział van Dorf, patrząc za malejącą w dali maszyną.

- Witam pana, panie van Dorf. Cóż pana sprowadza do Nowego Orleanu? Czyżby w Waszyngtonie skończyły się już tematy, o których warto pisać? - Spokój, tylko spokój, nakazywała sobie Keely. Obrażanie van Dorfa nie byłoby w jej interesie. Złagodziła nieco sarkastyczne powitanie uprzejmym uśmiechem i sądząc z pytającego spojrzenia, jakim ją van Dorf obdarzył, uznała, że nie jest pewien, czy jej złośliwość była zamierzona, czy nie.

- Powiedziałbym, że akurat w tej chwili tu są ciekawsze tematy. - Oczy drapieżcy błysnęły zza okularów w staromodnej oprawce. Jego uśmiech był niespieszny, ale bezczelny, kiedy się wreszcie na niego zdobył. - Jak na przykład pani i kongresman Devereaux.

Za spojrzenie, wyrażające bezmiar zdumienia, należał jej się Oscar.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Kongresman Devereaux i ja?

- A może tak byśmy gdzieś sobie przysiedli i porozmawiali o tym przy drinku? - Zrobił taki ruch, jakby chciał wziąć ją pod rękę, ale Keely wykonała zręczny unik, dając mu jasno do zrozumienia, że sobie nie życzy, by jej dotykał.

- Nie, dziękuję bardzo, jadę właśnie do domu.

- Z tego wynika, że musimy porozmawiać tutaj. - Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął złożoną gazetę. Keely zorientowała się natychmiast, o co chodzi. Van Dorf przekrzywił głowę i przez chwilę studiował zdjęcie przedstawiające ich dwoje w tańcu.

- Dobrze pani wychodzi na fotografiach, pani Williams.

Była przygotowana na szermierkę słowną.

- A co pani powie o kongresmanie? To kawał przystojnego mężczyzny.

- Owszem, jest bardzo przystojny. - Jej szybka odpowiedź zaskoczyła van Dorfa. Był niemal zły, że Keely w najmniejszym nawet stopniu nie okazuje zdenerwowania. Korzystając z tego, że teraz ona ma odbić piłeczkę, zapytała: - O czym pan chciał ze mną porozmawiać, panie van Dorf?

Patrzył na nią chytrze. Tu mu nie pójdzie tak gładko. Ale jeśli ona zamierza sobie z nim poigrać, to i on jej nie ułatwi życia.

- Czy Devereaux jest równie dobry w miłości jak przy stole obrad?

Jeśli pytanie było obliczone na wywołanie szoku, to van Dorf odniósł sukces. Przez chwilę Keely była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Kiedy się wreszcie odezwała, z trudem wymawiała słowa drętymi wargami.

- Pan się stanowczo za daleko posuwa w swoich wnioskach, panie van Dorf, ale ja się nie niżę do tego, żeby podjąć rozmowę na tym poziomie.

- Czy mam przez to rozumieć, że pani i Devereaux nie jesteście kochankami?

- Nie.

- To czym wobec tego wyjaśni pani to zdjęcie?

- A czym pan je wyjaśni? - odparowała Keely.

Szok ustąpił złości i Keely z trudem powstrzymała chęć uderzenia w tę beczelną gębę, którą domyślny uśmiezek wykrzywił teraz w nieprzyjemny grymas.

- Ludzie tańczą ze sobą ciągle i wszędzie. Czy sugeruje pan, że prezydent ma romans z każdą kobietą, z którą tańczy na przyjęciu w Białym Domu?

- Tak, ludzie tańczą ze sobą cały czas, ale rzadko z takim uśmiechem ekstazy na twarzy.

- Kongresman Devereaux to czarujący mężczyzna. Uważam go za człowieka inteligentnego, pełnego entuzjazmu i z charyzmą. Podziwiam go za stanowisko, jakie zajął w sprawie zaginionych w Wietnamie. Za odwagę, z jaką stawia czoło swoim przeciwnikom. Podziw i respekt, oto uczucia, jakie dla niego żywię.

- Kłamczucha, oskarżała się w myślach, z tym większą determinacją próbując zbić van Dorfa z pantałyku.

- Jak pan może na podstawie jednego tańca wnioskować o rzeczach tak bardzo osobistych, tego naprawdę nie rozumiem. Czy to pan nazywa dobrą robotą dziennikarską?

- Tu nie chodzi o jeden taniec, pani Williams - odparł spokojnie van Dorf. - A te ukradkowe spojrzenia i uśmiechy w Waszyngtonie? Ten deszczowy dzień, z którego żadne z was nie chciało i nie mogło się wytłumaczyć? To wreszcie mój nos, który mi o tym mówi.

Roześmiała się niewesoło.

- Jeśli pański nos jest pana jedynym źródłem informacji, to radziłabym panu znaleźć sobie źródła bardziej wiarygodne. Nigdy nie byłam kochanką kongresmana Devereaux. - Była to prawda. -I nigdy nie będę. - To miało się dopiero okazać. - Bo nie mam na to najmniejszej ochoty. - Zakończyła oczywistym kłamstwem.

- Poświęciłam już panu cały czas, jaki przeznaczyłam na naszą rozmowę. Mam nadzieję, że dysponuje pan czymś konkretniejszym niż tylko ukradkowe spojrzenia i uśmiechy stanowiące jedynie wytwór pana wybujałej wyobraźni.

To powiedziawszy, Keely podeszła do samochodu, drżącymi rękami otworzyła drzwi i wsiadła. Wyciągała właśnie połą płaszcz przyciętą drzwiami, kiedy van Dorf zapytał:

- A co kongresman myśli o pani?

- Niech pan spyta kongresmana.

Na twarz van Dorfa wypłynął powoli charakterystyczny, pełen zadowolenia z siebie uśmieszek.

- O, mam taki zamiar, może być pani spokojna. Zatrzasnęła drzwi, zapaliła silnik i powstrzymując chęć ucieczki, odjechała z parkingu z szybkością, jak miała nadzieję, rozsądną i bezpieczną.

Wieczorem, kiedy szła spać, jeszcze ciągle trzęsła się ze zdenerwowania. Zastanawiała się, co takiego mogła powiedzieć, a nie powiedziała? Co powiedziała, czego nie powinna była mówić? Czy van Dorf jej uwierzył? Ale przecież nie ma nic więcej, na czym mógłby się oprzeć. Gdyby rzeczywiście opublikował artykuł sugerujący jakiś związek pomiędzy nimi, wyszedłby na idiotę. Nie miał dowodów, żadnych konkretnych faktów. To, co mówi, to same insynuacje i domniemania. W świetle faktów ona i Dax są niewinni.

Oczywiście może się okazać, że w jakiś sposób się dowiedział o tym, że po przyjęciu Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Dax był u niej w domu. W tym wypadku trzeba by wielkiego wysiłku ze strony ich obojga, by go przekonać, że między nimi nic nie zaszło, zwłaszcza że van Dorf woli

wierzyć w swoją wersję wydarzeń. Ale tak naprawdę nic się przecież nie stało. Nie mają najmniejszych powodów do wyrzutów sumienia.

Wszyscy się uparli, że jest kochanką Daksa. Czy to tak trudno uwierzyć, że Dax może mieć z kobietą związek platoniczny?

Przez ostatnie dwa dni seksualne wyczyny Daksa, jak również lista jego „przyjaciółek”, były w centrum ogólnego zainteresowania. Z oburzeniem odrzucała możliwość znalezienia się na tej liście, choć powszechnie ją o to podejrzewano. Ciekawe, czy gdyby uległa naciskom Daksa, stałaby się po prostu jeszcze jedną pozycją w kolekcji jego podbojów? Nie, w żadnym razie. A jednak...

Przeczytała wywiad z Daksem w gazecie z ubiegłego wieczora. Zapytany o niesławne zdjęcie z Keely Preston, odpowiedział bez zająknienia:

- Szkoda, że nie opublikowano mojego zdjęcia z przedstawicielem związku zawodowego robotników portowych. Tam wyszedłem znacznie lepiej, chociaż ten krzepki stoczniowiec nie jest nawet w połowie tak urodziwy jak pani Williams.

Wyśmiał całą sprawę, po prostu ją zbagatelizował. Oczywiście w tej sytuacji nic innego nie mógł zrobić. Ale niewykluczone, że tak właśnie czuł. Może nie cierpiał aż tak bardzo, jak jej powiedział.

Łzy całkowicie przesłoniły Keely widok szafy bibliotecznej w drugim końcu pokoju. Na trzeciej półce w dalszym ciągu stało jej zdjęcie ślubne. Panna młoda miała grzywkę i włosy aż do piersi. Sukienka z czystej wełny sięgała przynajmniej piętnaście centymetrów nad kolana i wyglądała śmiesznie przy długich skórzanych białych butach. Tradycyjna

biała suknia ślubna nie wchodziła w grę. Nie było czasu na kupowanie. Czyżby Keely rzeczywiście tak wyglądała w dniu swego ślubu?

Zwróciła zapłakane oczy na młodego mężczyznę na zdjęciu. Mark. Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje? Czy jeszcze żyjesz? Kochanie moje. Bo byłeś moim kochaniem. Miłym, wspaniałomyślnym, czułym i wesołym chłopakiem. Idealem pierwszej miłości.

Na zdjęciu Mark był ostrzyżony na wczesnego Beatlesa, z długą grzywką sięgającą do brwi. Było to zaledwie na kilka dni przedtem, nim go ostrzyżono w obozie dla rekrutów. Spodnie i rękawy marynarki wydawały się za ciasne i za krótkie jak na jego atletyczną postać, a buty robiły wrażenie dziwnie małych przy modnych wówczas rozszerzanych dołem nogawkach.

Oboje, głupio uśmiechnięci, byli wyraźnie radzi, że stać ich na coś tak dorosłego jak ślub.

Keely usiadła, żeby przyjrzeć się bliżej fotografii. Dziewczyna na zdjęciu wydawała się kimś zupełnie innym. Jakby nie miała żadnego związku z obecną Keely Preston-Williams. Jakby była kimś zupełnie obcym. Ta Keely nie mogła mieć nic wspólnego z tamtym dzieciakiem.

Tak samo Mark, jeśli żył, nie mógł być tamtym młodym człowiekiem. W żadnym razie nie potrafiła połączyć tej twarzy, głosu, tamtego uśmiechu i osobowości z mężczyzną, jakim byłby Mark, gdyby wrócił. Chłopak z fotografii zniknął, przepadł. I ta dziewczyna też już nie istnieje.

Keely położyła się i patrzyła w sufit. Usiłowała sobie przypomnieć, jakie to było uczucie, kiedy Mark ją całował i pieścił, ale cały czas przychodziły jej na myśl jedynie pieszczoty i pocałunki Daksa. Nie

przypominała sobie nawet, żeby w objęciach Marka kiedykolwiek traciła poczucie czasu i przestrzeni.

Prawdopodobnie jej serce biło szybciej, a dłonie wilgotniały z radosnego oczekiwania, ale nie ogarniała jej fala takiego ciepła ani taka słabość, jednocześnie obezwładniająca i życiodajna.

Zamknawszy oczy, przyzywała wyimaginowanego kochanka. Ale kiedy się zjawił, nie był młodziutkim, przystojnym blondynem jak jej mąż, tylko czarnookim brunetem, potomkiem Kreolów.

Jego ruchy, zamiast niezręcznych i nieśmiałych, były wprawne, doświadczone.

Nie czuła na swoim ciele niezdarnych rąk niedoświadczonego młodego chłopca, tylko ręce pewne podniecających efektów swoich działań, ręce, które nie szukały erogennych miejsc, tylko zmierzały do nich ze spokojem i nabożeństwem, bez zachłanności i pośpiechu.

Jego pocałunki łączyły ich wargi w zmysłowym balecie, a zęby i język stanowiły instrumenty erotycznej podniecającej gry.

Usta w twarzy z dołeczkiem, wtulone w jej pierś. Keely radośnie witała wyimaginowanego kochanka. On zaś przyjmował te zaprosiny, szepcząc jej do ucha czułe słowa.

Dając i biorąc po równo, poruszali się we wspólnym rytmie, podczas gdy ich ciała przemawiały do siebie poetyckim językiem miłości...

Nagle Keely otworzyła oczy. Była oszołomiona, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Ogarnął ją wstyd. Bo kiedy przeżywała rozkosz spełnienia, to nie z imieniem męża na ustach, lecz Daksa.

Gorzkie łzy upokorzenia spłynęły jej z oczu i spadły na poduszkę.

- Chcesz, to w porze lunchu weźmiemy kanapki i pójdziemy na Jackson Square?

Nicole jak zwykle rozpoczęła rozmowę telefoniczną bez żadnych wstępów.

- Ale ja nie...

- Masz coś lepszego do roboty? - zapytała szorstko.

- Nie - przyznała Keely.

- Za pół godziny spotkamy się przed frontowymi drzwiami. Będę miała ze sobą kanapki.

Od tamtej pory, kiedy wycięła im numer z zaproszeniem obojga do programu telewizyjnego, Nicole trzymała się od Keely z daleka.

Rozmawiały ze sobą od czasu do czasu przez telefon i spotykały się na korytarzu, ale brakło tym kontaktom zwykłego ciepła, którego Keely tak bardzo teraz potrzebowała.

W wyznaczonym czasie zeszła na dół i spotkała się z Nicole przed drzwiami wejściowymi. Wyszły z budynku od strony Chartres i poszły kilka przecznic w kierunku wschodnim w stronę historycznego placu. Było to jedno z ulubionych miejsc Keely. Po jednej stronie wznosiła się katedra św. Ludwika, Plebania i Cabildo, na przyległym boku zaś Pontalba Building. Keely chwilami żałowała, że nie mogła uczestniczyć w tych wszystkich pamiętnych wydarzeniach, jakie tu się rozegrały.

Poprzestawała więc na spacerach wzdłuż uliczek, przy których artyści sprzedawali swoje wyroby.

Dziś świeciło słońce i kiedy weszły na plac bramą północną, na wprost katedry, na głowie Andrew Jacksona siedział gołąb. Dokoła zaczynały już nieśmiało rozkwitać wczesne wiosenne kwiaty. Dziewczyny

wybrały wolną ławkę i Nicole wyciągnęła z torebki paczuszkę, którą podała Keely.

- Ta niepewność mnie wykańcza - powiedziała, wgrzyzając się w kanapkę z jajkiem i sałatą. - Chciałabym wiedzieć, czy tak, czy nie.

- Ale co czy tak, czy nie?

- Czy mi przebaczyłaś. - Nicole powiedziała to miękko i z taką skruchą, że Keely nie mogła pohamować śmiechu. Położyła kanapkę na kolanach i serdecznie uściskała przyjaciółkę.

- Naturalnie, że ci przebaczyłam. I ja cię przepraszam. Było mi cię bardzo brak.

Nicole odsunęła się od niej i mruganiem powstrzymała łzy.

- Dzięki Bogu, że mamy to już za sobą. Bo myślałam, że do końca życia będę musiała chodzić w worku pokutnym i z głową posypaną popiołem. A mnie jest w szarym koszmarze.

Ta poza jednak nie zwiodła Keely. Widziała, że przyjaciółka jest wzruszona i że tak samo brakowało jej wspólnych rozmów i zwierzeń.

- To, co zrobiłaś, było ciosem poniżej pasa, ale wtedy miałam większe zmartwienia - powiedziała Keely, potrząsając głową. Od dwóch tygodni nie widziała się z Daksem. Ale podobno czas leczy rany. Keely jednak zadawała kłam temu komunałowi. Im dłużej Daksa nie widziała, tym bardziej go pragnęła.

- Chciałabyś może mi coś na ten temat powiedzieć? To znaczy to, czego sama nie jestem w stanie sobie dośpiewać.

Keely spojrzała na przyjaciółkę spod oka.

- A co sobie dośpiewałaś?

Nicole owinęła w celofan resztę kanapki i otworzyła puszkę z sokiem, drugą podając Keely.

- Że poznaliście się gdzieś w Waszyngtonie i natychmiast się pokochaliście, wiedząc od samego początku, że sprawa nie będzie łatwa. I że od tamtej pory walczyacie z wyrzutami sumienia i z własnymi pragnieniami.

Keely patrzyła bezmyślnie na pomnik Andrew Jacksona, na którym co chwila siadały gołębie.

- Nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Keely, dlaczego tak się katujesz? Jeśli masz ochotę na romans, to dlaczego sobie go odmawiasz? Co z tego, że Dax jest kongresmanem! Kongresman to też mężczyzna. A co to właściwie kogo dzisiaj obchodzi, kto z kim śpi? Bądź raz dla odmiany egoistką i pomyśl wreszcie o sobie.

- Muszę myśleć i o nim.

- Dlaczego? To już duży chłopiec. Wie, co robi. Jak cię znam, to go przecież nie prowokowałaś. Założę się, że inicjatywa wyszła z jego strony.

- No właściwie tak, ale... Powiedziałam mu wprawdzie od razu, że jestem mężatką, ale nie unikałam spotkań. To było... On był...

Nicole zaklęła pod nosem.

- Spałaś z nim? - Ale widząc wstrząśniętą Keely, dodała szybko: - Do diabła, nie widzę powodu, żeby cokolwiek owijać w bawełnę. Spałaś z nim czy nie?

- Nie - odparła Keely niemal szeptem.

- To nic dziwnego, że jesteś taka nieszczęśliwa. Czego ty się do licha wstydzisz? Prześpij się z nim i będziesz go miała z głowy. Przecież chyba nie jesteś zakochana... - urwała dla nabrania tchu. Wzięła Keely pod brodeę

i uniosła jej głowę. W zielonych oczach przyjaciółki dostrzegła łyżę rozpacz.

- O mój Boże - wyszeptała. - A jednak jesteś zakochana w Daksie. O rany, Keely. Ty jak już coś robisz, to idziesz na całość. Ja cię namawiam na mały nieobowiązujący romansik, a ty nie tylko wybierasz sobie kongresmana, który kandyduje do Senatu, ale jeszcze na dodatek się w nim zakochujesz.

Keely poczuła się urażona karcącym tonem przyjaciółki.

- Przecież nie myślałabym o romansie, gdybym go nie kochała. Ja jestem zupełnie inna niż ty, Nicole. Nie umiem oddzielić seksu od miłości. Dla mnie to jest jedno. Nie potrafię tak lekko traktować przespania się z kimś jak ty.

Zaraz po wypowiedzeniu tych słów Keely miała ochotę je cofnąć. Położyła dłoń na znieruchomiałej nagle i pozbawionej życia ręce Nicole i ścisnęła ją mocno.

- Przepraszam cię bardzo. Nie powiedziałabym tego, gdybym nie była taka zdenerwowana. Nie próbuję cię oceniać. To, co robisz i czujesz, to wyłącznie twoja sprawa.

Nicole zaśmiała się gorzko.

- Już ja dobrze wiem, jaką mam opinię. - Przez chwilę patrzyła w przestrzeń, po czym odwróciła do Keely głowę ze wspaniałą burzą włosów. - Czy nigdy nie pomyślałaś, że wolałabym być taka jak ty?

- Jak ja? - Keely była szczerze zdumiona.

- Czy to cię dziwi? Nie rozumiem. Może po prostu nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaka jesteś niezwykła. Bo wpojono ci w życiu pewne

wartości, standardy, według których masz żyć, i to nie były słowa, tylko przykład do naśladowania.

- Chciałabym być damą, jak ty - mówiła Nicole dalej. - Mój język jest żaloszny, zdaję sobie z tego sprawę. Mój sposób bycia też jest nie do przyjęcia. Zazdroszczę ci subtelności, eleganckiego sposobu wyrażania się, wytworności. Szacunku, jakim się cieszysz. - Znów roześmiała się z goryczą. - Nikła na to szansa.

Keely zawahała się, po czym spytała cicho:

- Nicole, dlaczego ty chodzisz z tyloma mężczyznami?

- Chciałaś powiedzieć: dlaczego sypiam z tyloma mężczyznami, tak?

- W tym pytaniu zabrzmiała nuta goryczy, której ostrze było wymierzone w nią samą, nie w Keely. - Przypuszczam, że po prostu robię to, czego wszyscy po mnie oczekują. Moja matka porzuciła ojca i mnie, kiedy byłam za mała, żeby to pamiętać. Ale on mi nie pozwolił o tym zapomnieć. Nie było dnia, żeby mi nie przypominał, jak bardzo jestem do niej podobna. Urodzona suka, nic dobrego, skazana na życie w grzechu, bez żadnych zasad moralnych. Całą swoją złość na matkę wyładowywał na mnie.

Wspominając bolesną przeszłość, Nicole gładziła spódniczkę.

- Nieraz zastanawiałam się nad sobą i doszłam do wniosku, że ciągle poszukuję kogoś, kto by mnie kochał, że po każdym mężczyźnie, z którym jestem, oczekuję ojcowskiego uczucia, którego mi zawsze brakowało. Kiedy postanowiłam kupić sobie podwatowany stanik, ojciec zaczął mnie nazywać dziwką. I miał rację. Bo jestem dziwką. Wysokiej klasy, ale dziwką.

- Nie mów takich rzeczy, Nicole. Nie jesteś żadną dziwką. Masz w sobie wielki potencjał miłości, tylko nigdy nie potrafiłaś go właściwie wykorzystać. Mnie się wydaje, że ty się po prostu boisz kochać. Boisz się, że zostaniesz odrzucona tak jak wtedy przez ojca.

- Miałyśmy przecież mówić o tobie, Keely. Już zapomniałaś?

- Ale teraz mówimy o tobie. Że za tą twardą nonszalancką postawą, jaką prezentujesz światu, kryje się samotna, niepewna kobieta, która pragnie być kochana dla siebie samej, wcale nie za tę nonszalancką pozę, którą przybrała. Wrażliwy mężczyzna z pewnością to dostrzeże. -

Spojrzała na odwróconą twarz przyjaciółki i dodała: - Taki jak na przykład Charles Hepburn. Nicole roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

- No właśnie, skoro już mówimy o odrzucaniu! Nie ma chyba takiej sztuczki, jakiej bym nie próbowała, żeby go zaciągnąć do łóżka, ale on mnie w sposób bezwzględny odrzucił. Problem polega nie na tym, że ja go chcę, tylko że on mnie nie chce. Stało się to dla mnie sprawą ambicji, wyzwaniem. - Teatralnym gestem położyła rękę na piersi i powiedziała: - Dla niego najważniejsza jest wierność.

- Bardzo słusznie.

- Ale jeśli mu się wydaje, że zrezygnuję dla niego ze wszystkich mężczyzn, to jest w wielkim błędzie. - Zamilkły. Nicole czubkiem buta przesuwając kamyk po betonie. - Nieważne, co ci kiedykolwiek mówiłam w przeszłości, bardzo szanuję ciebie i twoje zasady.

Keely uśmiechnęła się.

- A ja ci zazdroszczę odwagi. Czasami wydaje mi się, że moralność to nic innego, jak lęk przed karą.

Nicole zwilżyła swoje dziecięce usta i zapytała z wahaniem:

- A co Dax czuje do ciebie, Keely?

- Nie wiem. Mówił rzeczy, które mnie upoważniają do tego, żeby...

Ale potem... - nie dokończyła.

- Czy zgodzisz się ze mną, że trochę lepiej znam mężczyzn niż ty? - zapytała Nicole, a kiedy Keely skinęła głową, dodała: - Wydaje mi się, że jest tak samo zakochany w tobie jak ty w nim. Poczekaj chwilkę i daj mi skończyć - powiedziała, widząc, że przyjaciółka zamierza jej przerwać. - Tylko proszę cię bardzo: nie bądź na mnie wściekła, dobrze? Ja go próbowałam poderwać.

Keely zaniemówiła z wrażenia.

- Mówiłam, żebyś nie była wściekła. Ostatecznie, co szkodziło spróbować. To było wtedy, kiedy jeszcze nie miałam pewności, że coś się między wami święci. Po tym, jak wyszłaś ze studia w charakterze obrażonej niewinności. Przywołałam na pomoc całe swoje prezenterkie talenty, ale facet był jak glaz. Nawet nie udawał, że jest zainteresowany tym, co mówię, tylko najzwyczajniej odwracał głowę i gapił się w drzwi, przez które wyszłaś.

- Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Nie, ale kiedy zobaczyłam was razem i był taki opiekuńczy, taki czuły... Znając opinię o nim w sprawach damsko-męskich, która jest naturalnie grubo przesadzona, nie mam co do tego wątpliwości. Nie przypuszczałam, że potrafi być taki... - Przez chwilę Nicole szukała właściwego słowa, aż wreszcie zakończyła: - Zaangażowany.

Muszę się przyznać - ciągnęła po chwili przerwy - że niewielu w życiu odmówiłam, a i bez fałszywej skromności powiem, że sama też rzadko spotykałam się z odmową. Co mi zresztą nie daje powodów do

dumy. W każdym razie mogę cię zapewnić, że nawet nie zauważył tego. - Ostentacyjnie wysunęła piersi do przodu. - Nie widział ani tych włosów, ani tych oczu, które ponoć doprowadzają facetów do szaleństwa. Widział tylko ciebie, Keely. - Zamilkła, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robią na przyjaciółce jej słowa. - Myśl sobie o tym, co chcesz, ale ja jestem przekonana, że ostatni rozdział historii twojej i kongresmana jeszcze nie został napisany.

Keely potrząsnęła głową.

- Nie, Nicole, doceniam to wszystko, co mi powiedziałaś, ale ta sprawa się skończyła, zanim się jeszcze zaczęła.

- To wobec tego przyznaj się, ale szczerze - rzekła Nicole. - Gdybyś mogła wybierać, z kim wolałabyś spędzić dzisiejszy wieczór: z Daksem czy z Markiem?

Keely wyprostowała się, jakby otrzymała cios.

- To z twojej strony nie fair! Wiesz, że nie mogę ci odpowiedzieć.

Nicole popatrzyła na nią smutno i powiedziała ze współczuciem:

- Już mi odpowiedziałaś.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Otwierając ciężkie drzwi i wychodząc ze studia, Nicole i Keely pokładały się ze śmiechu. Przyjaźnie objęte, jak uczennice, chichotały bez przerwy. Od rozmowy na Jackson Square minęły dwa tygodnie.

Wzajemne zwierzenia nadały ich przyjaźni nowy wymiar. Dziś Nicole namówiła Keely na wspólną kolację pomiędzy wieczornymi programami.

- Czy możesz w to uwierzyć? Ale czy ty naprawdę możesz uwierzyć? - Nicole z trudem łapała oddech, ocierając chusteczką łzy. - Kiedy ja powiedziałam... kiedy powiedziałam... kiedy... - Obie dostały nowego ataku śmiechu, aż zatoczyły się w korytarzu.

- My byśmy się też chętnie pośmiali. - Odwróciły się i zobaczyły nadchodzącego Charlesa Hepburna. Towarzyszył mu Dax Devereaux.

Keely spoważniała, jakby nagle jakiś potężny odkurzacz wyssał z niej cały śmiech. Z jej otwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Nie była w stanie nawet zaczerpnąć tchu. Jakby na widok Daksa ustały w niej wszelkie funkcje życiowe.

- O, Charles. - Nicole podeszła do Charlesa i zarzuciła mu ręce na szyję. W dalszym ciągu zanosila się od śmiechu. - Widziałeś wiadomości?

- Nie, właśnie kończyliśmy z Daksem rozmowę. A co się stało?

- Katastrofa. Prawdopodobnie stracisz wszystkich sponsorów, których z takim trudem pozyskałeś. Ale to było takie zabawne!

Jej śmiech okazał się zaraźliwy. Dax uśmiechnął się. Charles popatrzył na Nicole jak na enfant terrible i powiedział:

- No, mów.

- Dobrze. - Nicole wyprostowała się i odchrząknęła.

- Mówiłam właśnie o sztucznym oddychaniu metodą usta-usta. W tym tygodniu w szkołach prywatnych prowadzą bezpłatną naukę sztucznego oddychania.

- Nicole zaczerpnęła głęboko tchu, żeby powstrzymać chichot. - W każdym razie na koniec powiedziałam coś takiego: „Proszę państwa, proszę uważać, bo to, co państwo teraz zobaczą, może uratować życie wam albo komuś z waszych bliskich”. Przewinęli taśmę, ale zamiast sztucznego oddychania pokazali reklamę środka przeczyszczającego!

Mężczyźni roześmiali się. Nicole zwisała na ramieniu Charlesa jak bezwładna lalka. Charles przytulił ją i razem zanosili się śmiechem.

- Właśnie powiedziałam, że to może uratować im życie, a tu na ekranie pokazuje się pudełeczko pigułek przeczyszczających... Ty skończ, Keely, bo... ja nie mogę...

Keely rzuciła przelotne spojrzenie na Daksa i zwróciła się do wszystkich:

- Wyrzucili tamto i wrócili do Nicole. Ale ona tak się zaśmiewała, że nie mogła mówić, i oddała głos facetowi od pogody.

Śmiali się teraz wszyscy czworo i przez chwilę Keely nie widziała nic innego poza dołeczkiem w twarzy Daksa i błyskiem jego białych zębów.

- Biedak był całkowicie zaskoczony. Nie miał nawet na sobie marynarki. Dzięki Bogu miał mikrofon. W każdym razie, jak przystało na starego wyjadacza, zaczął coś bredzić o wyżach i niżach i o ciśnieniu, zanim się zorientował, że trzyma w ustach papierosa.

- I dopiero wtedy zrobiło się naprawdę śmiesznie - wtrąciła Nicole. - Myślał chyba, że nikt nie zauważy, jak po prostu wypuści tego papierosa i pozwoli mu upaść na podłogę. Ale zapomniał o swoich papierach. No i papieros upadł dokładnie na stertę kartek leżącą koło jego nóg i to wszystko zaczęło się kopcić, więc on zaczął po tym deptać, żeby zgasić ogień, i jednocześnie wymachiwać tą swoją wskazówką, która wyglądała jak różdżka czarodziejska obdarzona własną wolą. - Nicole w zabawny sposób naśladowała deptanie nogami i wymachiwanie wskazówką i znów wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Charles pierwszy zdołał się opanować.

- Pewnie jutro rano wyrzucą was z pracy - powiedział. - Sam bym to zrobił.

- Zwariowałaś? Nie ośmiela się. Był to najbardziej spontaniczny i najciekawszy program, jaki kiedykolwiek mieli. Telewizowie z pewnością przyznali nam punkty.

Podczas kiedy Nicole i Charles przekomarzali się na temat tego wydarzenia, Keely i Dax nie odrywali od siebie wzroku. Keely zauważyła zmarszczki wokół jego oczu świadczące o zmęczeniu. Daksowi jej zielone oczy wydały się szczególnie wielkie w bladej twarzy.

Dla niej srebrne nitki na jego skroniach były teraz bardziej widoczne, dla niego jej włosy wyjątkowo piękne. Dax niemal czuł ich zapach.

Dla niej dołek w jego policzku był bardziej czarujący niż zwykle, dla niego jej rozchylone w szybkim oddechu usta jeszcze bardziej kuszące.

Ona myślała o tym, że Dax ma zawsze nienagannie zawiązany krawat, on - że cienki złoty łańcuszek prezentuje się na jej szyi niezwykle pięknie.

Jej Dax nigdy nie wydawał się tak wysoki i męski, jemu - Keely tak krucha i kobieca.

- Co ty na to, Dax?

Dax i Keely drgnęli, zaskoczeni pytaniem Charlesa.

- Co takiego? Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Pytałem, czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zaprosili na obiad Nicole i Keely.

Dax spojrzał na Keely i oczy mu zabłyśły.

- Nie, oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Bardzo mi się ten pomysł podoba. Nie dlatego, żeby mi twoje towarzystwo nie wystarczało, Charles.

Charles roześmiał się dobrodusznie.

- Nie mam do ciebie żalu. I dla mnie panie będą wspaniałą ozdobą naszego stolika. Postanowiliśmy iść do Arnauda. Odpowiada wam to? - zwrócił się do dziewcząt.

- Oczywiście - wykrzyknęła entuzjastycznie Nicole, posyłając Keely spojrzenie, które mówiło, żeby się nie ważyła protestować. - Ty i Dax pewnie sobie chętnie porozmawiacie o reklamie telewizyjnej. Jestem przekonana, że wiecie na ten temat więcej niż Charles.

- Będzie mi miło, jeśli będę mogła w czymś pomóc - powiedziała potulnie Keely. Dyskusja była retoryczna i żadne z nich nie miało co do tego wątpliwości. Po prostu Nicole podsunęła im alibi na wypadek, gdyby ich razem widziano.

Los tak chciał. Keely rzeczywiście nie miała nic wspólnego z tym przypadkowym spotkaniem. A Dax zgodził się, żeby ona i Nicole towarzyszyły im przy obiedzie. Co zresztą miał robić? Spojrzała na niego

z troską, wzrokiem prosząc o przebaczenie. Ale w jego oczach było tyle ciepła, że zrozumiała, iż Dax naprawdę nie ma nic przeciwko temu.

Bez słowa wyjął jej z rąk płaszcz i podał. Odwróciła się i zachowując odpowiedni dystans, wsunęła ręce w rękawy. Pomyślała, że gdyby jej dotknął, toby się chyba rozpadła na kawałki. Pochylił głowę i szepnął jej do ucha:

- A ty nie masz nic przeciwko temu?

Jego głos, niski, wibrujący niby tony wiolonczeli, odbierała jak pieśczętę. Przechyliła na bok głowę i odwróciła ją nieco tak, żeby móc go widzieć. Jakże był blisko. Odświeżający zapach jego cytrusowej wody kolońskiej uderzał jej do głowy. Czubkiem nosa musnęła jego brodę, o tej porze dnia pokrytą leciutkim zarostem. Krótkie baczki i przycięte nad uszami włosy robiły wrażenie tak miękkich, że Keely z trudem opanowała chęć, żeby ich dotknąć.

- Nie, nic. - Jej cichy głos powiedział mu więcej niż słowa.

- Musimy przejść kawałek do mojego samochodu. Mam nadzieję, Dax, że ci to nie przeszkadza. - Z tymi słowami Charles objął Nicole ramieniem i poprowadził całe towarzystwo do wyjścia.

- Oczywiście, że nie.

Kiedy znaleźli się na wąskim, nierównym chodniku, Dax ujął Keely delikatnie pod łokieć. Każdy mężczyzna na jego miejscu zrobiłby to samo - zwykły grzecznościowy gest. Czy jednak ten grzecznościowy gest w czymkolwiek innym wykonaniu wydałby się Keely grą miłosną?

Dax objął palcami jej rękę, delikatnie muskając kciukiem zagięcie łokcia i przypominając o innych, śmielszych pieśczętach. Siedząc z tyłu w mercedesie Charlesa, dotykali się łydkami i kolanami. Wpatrzeni w

miejsce fizycznego kontaktu, czuli ogarniającą ich falę uniesienia. Za każdym przechyłem samochodu jej pończocha ocierała się o materiał jego spodni.

Nicole i Charles jechali pogrążeni w ożywionej rozmowie. Keely i Dax odzywali się z rzadka, zdawkowo, jakby chcieli powiedzieć: „Dajcie nam spokój, jesteśmy zajęci sobą”.

Charlesowi udało się wreszcie zaparkować przy Dauphine, tak że mieli do przejścia jedynie niewielki kawałek Bienville. Okazało się, że kierownik sali znał wszystkich z nazwiska i z szacunkiem zaprowadził ich do stolika zarezerwowanego przez Charlesa w jednym z najprzystulniejszych zakątków lokalu.

Zwykle Keely czuła się wspaniale w wytwornym europejskim otoczeniu Arnauda. Podobał jej się dość surowy, ale elegancki wystrój wnętrza, ściszone głosy kelnerów. Nawet zastawa i sztucce nie śmiałyby swoim brzękiem zakłócić ciszy i zepsuć atmosfery restauracji.

Dziś nie widziała nic, poza siedzącym obok niej mężczyzną. Zamiast zastanowić się nad menu, wpatrywali się w siebie jak urzeczeni. Kiedy Charles zapytał, co wybrali, byli speszeni i nieprzygotowani. Szybko zamówili pstrąga à la meunière i spełniwszy ten obowiązek, skwapliwie powrócili do przerwanej rozmowy. Charles uzupełnił za nich zamówienie, słusznie zakładając, że jest im raczej wszystko jedno, co będą jedli.

- Prawie całe popołudnie spędziliśmy we dwóch z Daksem - powiedział, kiedy kelner postawił przed nimi drinki.

- Naprawdę? No i co, załatwiłeś coś? - zapytała Nicole.

Dax położył ręce na stole i nachylił się lekko.

- Biednemu Charlesowi trafił się głupi klient. Im bardziej starał się wytłumaczyć mi moje możliwości, tym większy miałem mętlik w głowie. A poza tym to jest niesamowicie droga przyjemność, nie licząc nawet kosztów produkcji. - Dax położył akcent na ostatnich słowach, nadając im charakter pytania.

- Tak - odparł Charles. - Zanim puścimy twój film reklamowy, musisz go przedtem mieć. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Na szczęście mogę ci polecić dobrych producentów.

- Właśnie. Myślałem, żeby całą tę sprawę powierzyć sprawdzonym profesjonalistom. Lepiej potrafią zmontować te wszystkie filmy reklamowe. Co o tym sądzisz? - Dax najwyraźniej liczył się z fachową opinią Charlesa.

- Wydaje mi się, że to by ci zdjęło z głowy wiele kłopotliwych problemów i mógłbyś się zająć ważniejszymi sprawami.

Kelner przyniósł wyłożony płócienną serwetką koszyczek pełen francuskich bułeczek. Z wierzchu przypieczone złościście i chrupkie, w środku były delikatne i miękkie. Dax ułamał kawałek bułki, posmarował go obficie masłem i wręczył Keely. Kiedy czubkami palców dotykał jej ręki, ich oczy spotkały się na chwilę.

Otoczające ich pole magnetyczne zostało na moment zakłócone, kiedy nadskakujący kelner przyniósł supę cebulową w kokilkach.

Tego dnia w restauracji było niewiele osób, ale mimo to czuli na sobie ciekawskie spojrzenia, dokładali więc wszelkich starań, żeby wyglądać jak dwoje zwykłych znajomych przy wspólnym stoliku. Podczas posiłku rozmowa była lekka i zabawna, okraszona prowokacjami Nicole obliczonymi na zburzenie stoickiego spokoju Charlesa.

- Czy mogę zaproponować jakiś deser? - spytał Charles, czując się gospodarzem wieczoru.

- Ja już nie mam miejsca - odparła Nicole.

- Ja bym się napiła kawy - powiedziała Keely, a Dax się do niej przyłączył. Podano kawę i Dax odruchowo dolał jej śmietanki i zamieszał. Naturalna intymność tego gestu nie uszła uwagi Charlesa i Nicole, ale porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili, umknęły tamtym dwojgu.

W szatni, kiedy zakładali płaszczy, Nicole powiedziała:

- Przed deserem lubię się przejść. A wiecie, jaki jest mój ulubiony deser? Beignets w Cafe du Monde.

- Chcesz iść na piechotę do samej Cafe du Monde? - zapytał Charles.

- Jasne. A co, nie zajdziesz o własnych siłach, starowino?

- Zajść to pewnie zajdę, ale nie wiem, czy dam radę wrócić. A poza tym nie masz czasu. Musisz przecież wracać do pracy, nie pamiętasz?

- Możemy wziąć z powrotem taksówkę. A poza tym dziś jest długi film, więc i wiadomości będą późno.

Charles popatrzył na Keely i Daxa, którzy stali blisko jedno przy drugim, nie dbając o dalsze plany, dopóki nie musieli się jeszcze rozstawać.

- Dax, Keely, a wy co na to?

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Dax.

- Ani ja - dodała Keely.

A więc zostało postanowione. Byli zachwyceni. Mogą spędzić wieczór razem i jak długo są pod parasolem ochronnym wspólnych interesów, zawsze są kryci, nawet jeśli ktoś ich zobaczy.

- Chodźcie, pójdziemy Bourbon Street - zaproponowała Nicole.

Charles jęknął.

- No, chodź, chodź, ty jęczycydu - droczyła się z nim Nicole.

- Nicole - powiedział Charles z niezmaconym spokojem. - Bourbon Street jest hałaśliwa, brudna, zatłoczona, niemoralna i dekadenccka.

- Wiem. Ubóstwiam dekadencję - odparła, patrząc na niego roziskrzonymi niebieskimi oczami. Złapała Charlesa pod rękę i dosłownie zaciągnęła do skrzyżowania Bourbon i Bienville. Wmieszali się w tłum, który był niczym w porównaniu z tym, czym miał się stać za parę tygodni, w ostatki. Odgłosy i zapachy Bourbon Street w Nowym Orleanie miały swoją niepowtarzalną atmosferę. Korzenny aromat owoców morza mieszał się z zapachem piwa i stęchlizną, typowymi dla dzielnicy francuskiej. Grany na żywo jazz wylewał się na ulicę z licznych klubów nocnych, tworząc z muzyką w wykonaniu zespołu country-western kakofoniczną wrzawę. Stojący przed klubami naganiacze gościnnie otwierali drzwi, wychwalając fizyczne zalety tancerek. Tu i ówdzie, w migocie kolorowych świateł, widać było fragmenty nagich ciał.

Na drzwiach jednego z takich przybytków rozrywki widniał napis: „Słynne na cały świat akty seksualne”.

- Ciekawe, z czego one tak znów słyną - powiedział pedantyczny jak zwykle Charles.

- Jeśli już musisz pytać, to znaczy, że w ogóle nie masz pojęcia, na czym to polega - odparowała Nicole. Westchnął ze znużeniem i obejmując ją za ramiona, posterował nią dalej jak niesfornym dzieckiem.

Szli dalej legendarną ulicą, aż znaleźli się w okolicy o charakterze mniej komercyjnym, a bardziej nobliwym. Skręcili w St. Peter Street, która miała ich doprowadzić do Jackson Square i kawiarni.

Ulica była pusta i ciemna. Idąc parami, z Charlesem i Nicole na przedzie, mijali zamknięte sklepy, galerie sztuki i kute żelazne bramy broniące dostępu do prywatnych wewnętrznych podwórek.

Dax objął Keely ramieniem i przytulił do siebie.

- Jak się miewasz?

- Dobrze. A ty?

- Też dobrze.

- Wyglądasz na zmęczonego. Dużo pracowałeś?

- Tak. Przez ostatnie trzy tygodnie byłem w Waszyngtonie.

Kalendarz kongresmana jest napięty. Przed zamknięciem sesji próbujemy załatwić wszystkie sprawy.

- Ach tak!

- Jadłem obiad w Białym Domu w towarzystwie prezydenta i jego małżonki.

- Naprawdę?

- Tak. - Uśmiechnął się po chłopięcemu. - Oczywiście służbowo, ale i tak było miło zostać zaproszonym.

Przez chwilę szli w milczeniu. Dax odezwał się pierwszy:

- Czytałem w gazetach twoje wypowiedzi.

- A ja twoje.

- Nie wierz we wszystko, co przeczytasz. - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie?

- Nie - odparł, potrząsając głową.

- Na przykład w co?

- Na przykład w to, że uważam cię za podziwu godną odważną osobę, która walczy o wielką sprawę, że nie mam ku tobie żadnych romantycznych skłonności.

Poczuła przyspieszone tętno w skroniach.

- Mam w to nie wierzyć?

- W pierwszą część tak, w drugą nie. Gdybyś tylko wiedziała, jak wielkie mam ku tobie romantyczne skłonności, bałabyś się ze mną iść tą ciemną ulicą. Wiedziałybyś, dlaczego w ciągu ostatniego miesiąca nie mogłem jeść ani spać. Dlaczego co rano przybywa mi na skroniach kolejne dziesięć siwych włosów. A propos, to chyba prawda, co mówią - że siwe włosy budzą zaufanie.

Doszli do Jackson Square. Bramy parku były pozamykane na noc, przeszli więc koło Pontalba Building, niewidzącymi oczami patrząc na wystawy.

- Czy miałaś wielkie kłopoty z reporterami?

- Nie takie straszne - odparła. - Przez parę dni, owszem, a potem był spokój.

- Tak mi przykro, Keely. Ja jestem do tego przyzwyczajony.

Domyślam się, czym to musiało być dla ciebie. Wolałbym, żeby ci to zostało oszczędzone.

- Jakoś dałam sobie radę. Van Dorf był...

- Van Dorf! Był u ciebie van Dorf?

- Tak. Któregoś dnia, kiedy Joe wysadził mnie na Superdome, zobaczyłam go przy moim samochodzie.

- To łobuz - mruknął Dax. - Pewnego dnia... Mam nadzieję, że nie sprawił ci przykrości?

Roześmiała się cicho i uspokajającym gestem wygładziła mu klapę płaszcza.

- Nie. Insynuował tylko różne nieprzyjemne rzeczy.

- Na przykład?

Odwróciła oczy pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- On... On tylko powiedział... No wiesz... Pytał mnie o różne sprawy związane z tobą.

- O co takiego cię pytał? - nalegał Dax. Rumieniąc się, próbowała odwrócić głowę, ale Dax ujął ją za brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- O co cię pytał?

- Spytał mnie, czy jesteś dobry w łóżku.

- Co takiego? - Dax ujął Keely mocno za ramiona. -Naprawdę zadał ci takie pytanie? Niech się tylko waży opublikować choćby jedno oszczerstwo na twój temat, to przysięgam ci, Keely...

- Ale on tego nie zrobił i nie zrobi. Może być bezwzględny, ale nie jest głupi. Wie, że nie ma się czego ucześcić.

- I co mu powiedziałaś?

- Prawdę. Że nie wiem.

Usiłował powstrzymać uśmiech, który cisnął mu się na usta, ale nie zdołał i poddał się.

- To zgaduj.

Odsunęła się od niego i spojrzała surowo w jego szelmowskie oczy.

- Co mam zgadywać?

- Zgaduj, jaki jestem w łóżku.

- Nie!

- No, zgaduj. Spróbuj! Podpowiem ci.

- Nie chcę, żebyś mi podpowiadał.

Ignorując jej protesty, przytknął wargi do jej ucha i szepnął:

- Nie mam jeszcze w tej dziedzinie światowej sławy, ale wytrwale na nią pracuję.

Powoli uniósł głowę, badając jej reakcję na swoje słowa. Keely przypomniała sobie w tym momencie wcześniejszą rozmowę między Nicole i Charlesem przed klubem i wybuchnęła śmiechem. Dax przytulił jej głowę do swojej piersi i delikatnie gładził ją po włosach. Jej śmiech powoli cichł. Keely uniosła wzrok i wpatrzyła się w jego usta.

- Tak bardzo pragnę cię pocałować, że to aż boli - szepnął. - Ale miejsce jest trochę zbyt publiczne i za bardzo oświetlone, nie uważasz?

Bezwiednie skinęła głową. Puścił ją niechętnie i ruszyli w stronę Nicole i Charlesa, którzy czekali na skrzyżowaniu na zmianę świateł. Przeszli na drugą stronę Decatur i wzdłuż parku doszli do kawiarni. Ponad stuletni lokal był w dalszym ciągu jednym z najpopularniejszych w mieście. Podając jedynie racuchy, obsypane cukrem pudrem pączki i kawę, właściciele mieli ruch dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zajęli stolik na krytym ganku, mimo że wieczór był chłodny i mglisty. Krzesła z chromowanych rurek i zielonego winylu oraz szare plastikowe stoliki nie były może specjalnie zachęcające, ale do Cafe du Monde przychodziło się na gorącą kawę i pączki. Jak również po to, żeby popatrzeć na nieustanny ruch - strumień przechodniów, wozy konne i samochody - wokół Jackson Square.

Zamówili dwie porcje pączków, trzy czarne kawy i jedną kawę z mlekiem dla Keely. Po kilku minutach zjawily się przed nimi pachnące, obsypane cukrem pudrem pączki i parująca, mocna kawa.

Rzucili się na pączki łapczywie. Wkrótce nad stolikiem uniósł się biały obłok pudru, wywołując ogólną wesołość. Ich twarze, ręce i ubranie pokrywała biała, delikatna warstewka pyłu, co jednak im zupełnie nie psuło nastroju.

Keely i Nicole zwilżonymi palcami zbierały resztki cukru. Na koniec Nicole zaczęła wylizywać do czysta swój talerzyk w sposób otwarcie prowokacyjny.

- Chodźmy na przystań - zaproponowała, przymykając oczy i patrząc uwodzicielsko na Charlesa.

- Musisz wracać do pracy.

- Mam jeszcze czas. - I nie czekając na zgodę pozostałych, Nicole wstała i ruszyła w stronę tunelu, który prowadził do mola ciągnącego się nad brzegiem rzeki, zwanego Księżycową Promenadą. Wzdłuż chodnika stały przyćmione latarnie, które dając dość światła, by spacerowicze nie powpadali do Missisipi, nie burzyły jednocześnie romantycznego nastroju.

Reszta towarzystwa poszła w jej ślady i kiedy wyłonili się z tunelu, Nicole zdążyła już zająć ławkę dla siebie i Charlesa. Na mocy niemego porozumienia Keely i Dax poszli dalej. Kiedy usiedli na ławce, wchłonęły ich cienie i delikatna, lekko opadająca mgła. Światła po obu stronach rzeki odbijały się w wodzie, tworząc faliste refleksy. To, co w dzień nie wydawało się szczególnie piękne, teraz nabrało magicznego charakteru.

Dax objął Keely i przytulił. Oparła głowę na jego mocnym ramieniu. Oczy miała zamknięte. Na policzkach czuła jego oddech. Dmuchał leciutko na jej powieki, na usta. Uchyliła je nieznacznie w chwili, gdy dotykał ich wargami.

Teraz, po tygodniach rozłąki, przedłużali rozkoszną mękę, zwiększając napięcie. Całował ją najpierw w zamknięte usta - raz, drugi i jeszcze raz - muskając je delikatnie, a potem Keely dotknęła jego włosów nad uszami, o czym tak bardzo marzyła, aż wreszcie zarzuciła mu rękę na szyję. I wtedy dopiero jego pocałunki nabrały śmiałości. W końcu z westchnieniem oderwali się od siebie.

Przez chwilę siedzieli bez słowa. Ich oczy, pijane szczęściem, błędziły swobodnie, chłonąc to wszystko, co dotychczas było zakazane: włosy, uszy, nosy i wargi. Aż wreszcie, nie mogąc dłużej znieść udręki niezaspokojonych pragnień, przywarli do siebie od nowa.

Ich połączone usta rozwiewały wątpliwości trawiące ich umysły. Czy ona rzeczywiście nie żartowała, mówiąc tak niefrasobliwie o podziw i szacunku? Czy on rzeczywiście ma na sumieniu całą kolekcję złamanych serc? Jak bardzo ona tęskni za swoim mężem? Czy on kocha Madeline? Czy ona za mną tęskni? Czy on tęskni za mną?

Wreszcie, po dłuższej chwili, oderwał się od jej warg, po to jednak, by zatonać ustami w wilgotnych od mgły włosach.

- O Boże, Keely, te ostatnie tygodnie to było piekło. Nie myślałem o niczym innym poza tobą.

- Byłam nieszczęśliwa, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Bałam się, że wierzyłeś w to wszystko, co mówiłeś reporterom.

- Nie. Przecież wiesz, że to nieprawda. Rozepnij płaszcz, chciałbym... o, tak. To były tylko słowa. Po prostu, żeby coś powiedzieć. Ani przez chwilę nie mówiłem tego serio.

- Tak przypuszczałam, ale ciebie nie było... - Pocałowali się.

- Miałem ochotę zadzwonić, ale przychodziły mi do głowy najstraszniejsze myśli o podsłuchach i... Nie przejmuj się guzikami. Chcę po prostu poczuć dotyk twoich rąk... O, tak, o, jak dobrze... - Znów się pocałowali. - Wiesz, podsłuch i te wszystkie okropności. Och, Keely, jak ty cudownie smakujesz.

- Boisz się takich rzeczy? - spytała z cichym westchnieniem, ponieważ właśnie w tej chwili Dax delikatnie chwycił ją zębami za ucho.

- Bardziej ze względu na ciebie niż na mnie... O, jakie to delikatne.

- Dax, cośmy takiego zrobili, żeby wywołać takie poruszenie? Tak, dotykaj mnie...

- Twój dotyk jest taki cudowny... Tyle ludzi widziało, jak tańczyliśmy. Nie byłem świadom takiej widowni. Nie byłem świadom niczego poza tym, że cię trzymam w ramionach, że cię pragnę... O, tak, kochanie, o, tak... - Nakrył jej dłoń swoją i przycisnął do serca. - Chcę cię, Keely. Pragnę się z tobą kochać, być w tobie. Czuję cię każdą najmniejszą cząstką ciała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przeczesywała palcami włosy Daksa, tuląc do piersi jego głowę. Rozpaczliwie poszukiwała słów pociechy, które mogłaby z nim dzielić, czuła się bowiem równie nieszczęśliwa jak on. Czy Dax wie, że ona pragnie go w nie mniejszym stopniu niż on jej?

Charles oszczędził jej mówienia wyświechtanych banałów. Widziała, jak zbliża się do nich powoli, jak przystaje w przyzwoitej odległości i patrzy na rzekę. Szturchnęła lekko Daksa, żeby zwrócić jego uwagę. Wyprostował się, patrząc za jej wzrokiem. Charles odchrząknął głośno.

- Przepraszam, ale Nicole musi wracać do studia. Naturalnie, jeżeli macie ochotę zostać...

- Nie - odparł Dax zachrypniętym głosem. Poczul, że i on musi odchrząknąć. - My też idziemy. - Wstał i podał Keely rękę. Szybko zapięła płaszcz, pozbierała swoje rzeczy i razem ruszyli za Charlesem po drewnianym molu.

Siedząca jeszcze na ławce Nicole robiła wrażenie zadowolonej z siebie. Keely rzuciła w stronę Charlesa pytające spojrzenie, ale jego twarz była nieprzenikniona. Cicha woda brzegi rwie, pomyślała z uśmiechem.

Wrócili tą samą drogą do Jackson Square.

- Proponuję, żebyśmy najpierw odprowadzili Nicole, a stamtąd wzięli taksówkę i podjechali do mojego samochodu. - Charles zaplanował wszystko ze skrupulatnością drużynowego.

- Wspaniale - przyklasnął tej propozycji Dax, śmiało obejmując Keely ramieniem, po czym ruszyli mglistymi ulicami. - Do diabła z moim

wizerunkiem publicznym. Im bardziej staram się go poprawić, tym jest gorszy. - Zwolnił tempo, tak żeby między nimi a Nicole i Charlesem powstała większa odległość, zapewniająca im pewną intymność.

- Co powiedziała Madeline na to, że prasa łączyła twoje nazwisko z moim?

- Nie wiem. Nie pytałem jej.

- Nie zależy ci na jej zdaniu? - spytała niepewnie.

- W każdym razie nie wtedy, kiedy chodzi o ciebie. Ma kupę pieniędzy, jest miła dla oka i czasem można przyjemnie spędzić z nią czas. Ale ma i niesympatyczne cechy charakteru. Jest zaborcza, zachłanna, ambitna i zazdrosna.

- Czy ty z nią...? - Keely nie była w stanie dokończyć pytania.

Spuściła oczy i patrzyła w mokry chodnik pod nogami.

Przeszli niemal do następnej przecznicy, zanim jej odpowiedział.

- Myślę, że odpowiadanie na takie pytania nie byłoby fair ani wobec Madeline, ani wobec żadnej innej kobiety.

- Przepraszam cię, Dax. Nie miałam prawa cię o to pytać. - Zagryzła wargę, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Masz prawo do wszystkiego, więc nie musisz mnie przepraszać. Jestem zadowolony, że mnie o to zapytałaś. Fakt, że takie sprawy są dla ciebie ważne, ma dla mnie ogromne znaczenie. Większość ludzi dziś o to nie dba. - Dotarli na miejsce i przystanęli przy rogu budynku. Dax przygarnął ją do siebie i powiedział cicho: -Możesz mi wierzyć, Keely, że od kiedy cię poznałem, nie byłem z żadną kobietą.

Ogarnęła ją fala radości. Przyłgnęła do niego, zamykając oczy w ekstatycznym poczuciu ulgi. Prześladowała ją myśl, że Dax mógłby mieć

romans z inną kobietą. Na myśl o tym, że ze wzbudzanych przez nią namiętności nie skorzysta inna, jej serce śpiewało triumfalną pieśń. Mając poczucie winy z powodu takiego samolubstwa, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Nie musiałeś mi tego mówić.

- Ale jesteś cholernie zadowolona, że mimo wszystko powiedziałem, prawda?

Czy rzeczywiście czytał w niej jak w książce? Czyżby zdążył ją poznać aż tak dobrze?

- Tak - odparła szczerze.

Wiodąc palcem wzdłuż linii jej włosów, powiedział cicho:

- Nie byłoby uczciwie iść do łóżka z inną kobietą, skoro i tak cały czas bym żałował, że to nie ty.

- Dax...

- Przyszłam zobaczyć, jak sobie radzicie, ale, bez żadnej złośliwości, widzę, że doskonale - przekomarzała się z nimi Nicole. - Charles wspaniałomyślnie obiecał odprowadzić mnie po wiadomościach do domu, więc i wy możecie zaczekać, jeśli macie ochotę.

- Ja już muszę iść. Nie zapominaj, że wstaję o piątej rano - odparła Keely.

- Odprowadzę Keely do samochodu - zaofiarował się Dax i wyciągnął do Charlesa rękę na pożegnanie.

- Dzięki ci za to, żeś mnie oświecił, no i za wspaniałą kolację. Jak tylko znajdę kogoś do poprowadzenia mojej kampanii, to natychmiast się z tobą skontaktuję.

- Będzie mi naprawdę bardzo miło. Wszystkiego dobrego, Dax.

- Dzięki. Dobranoc, Nicole.

- Dobranoc wam obojgu - odkrzyknęła Nicole, znikając w drzwiach dla personelu i ciągnąc za sobą Charlesa.

Dax popatrzył za nimi w zadumie.

- Oni się kochają, prawda?

- Tak. Charles ma tego pełną świadomość, ale nie wiem, czy Nicole w równym stopniu zdaje sobie z tego sprawę.

- Dziwna para! Kto by pomyślał, że ona i on... Keely uśmiechnęła się dość smutno.

- Nie jestem pewna, czy zawsze jest to nasz wybór. Dax aż nazbyt dobrze pochwycił jej intencje.

- Nie, z pewnością nie - odparł ściszym głosem.

- Pewne rzeczy po prostu się zdarzają i już, prawda?

Na pustym o tej porze parkingu panowały nieprzeniknione ciemności. Wolno podeszli do miejsca, gdzie zostawili samochody. Oprócz wozu Keely stał tam jedynie czekoladowobrazowy lincoln.

- Czy to twój? - spytała.

- Tak.

Dax wsunął jej ręce pod płaszcz i objął ją w talii, a następnie, uwięziwszy jej stopy pomiędzy swoimi, nachylił się i oparł Keely o maskę samochodu. Stykali się niemal całymimi ciałami - od kostek do piersi. Dopiero teraz poszukał jej ust.

Pod wpływem tego pocałunku Keely straciła poczucie rzeczywistości. Przytłumione odgłosy ruchu ulicznego w dole, mgła otulająca ich jak zwiewny welon, twarda powierzchnia blachy pod plecami - wszystko to przestało nagle istnieć pod czarodziejskim dotykiem jego

ust. Jego wargi i ich zmysłowa pieszczota stały się dla Keely jedynymi punktami odniesienia.

Kiedy wreszcie oderwał się od jej warg, odsunął usta tylko na tyle, żeby powiedzieć: - Keely, czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby przyjechać do mnie na weekend? - Nie odzywał się przez chwilę, żeby dać jej czas na odpowiedź, ale z wrażenia nie mogła wydobyć głosu.

Postanowił kuć żelazo, póki gorące: - Nie chciałbym, żebyś źle zrozumiała moje zaproszenie. Nie ma w nim żadnych podtekstów. Chodzi mi po prostu o to, żebyś poznała moich rodziców.

Zaproszenie było tak desperacko szczere i wymowne, że Keely mało serce nie pękło na myśl o tym, że musi mu odmówić. Nawet mimo uczciwości jego intencji wiedzieli doskonale, że przebywanie pod jednym dachem przez weekend byłoby dla obojga tyleż trudne, co niebezpieczne.

Nie chcąc mu jednak odmówić wprost, odpowiedziała pytaniem:

- Czy myślisz, że byłoby to rozsądne?

- Myślę, że byłoby to absolutne szaleństwo. - Powiódł palcem po jej brodzie. - Uważałem moje przyjście do ciebie wtedy w Hiltonie za najgłupszą rzecz, jaką w życiu zrobiłem, ale zaproszenie cię na weekend do domu bije wszelkie rekordy. Mimo to bardzo cię proszę.

- Chętnie poznałabym twoich rodziców, ale jak byś mnie im przedstawił? - Nagle zaczęła się zastanawiać, ile kobiet przed nią Dax zaprosił na weekend do domu, i próba ustalenia ich liczby okazała się dla niej bardzo bolesna.

- Powiedziałbym im, że jesteś damą, którą ogromnie szanuję. Mój ojciec roztoczyłby przed tobą cały swój męski czar dżentelmena z

Południa, a matka zasypała cię lawiną sposobów i recept na wszelkie możliwe nieszczęścia.

Keely, bawiąc się mosiężnym guzikiem jego marynarki, wybuchnęła śmiechem.

- Czy ktoś z tobą mieszka, jakaś gospodyni czy ktokolwiek? - zapytała od niechcienia. W jej głosie zabrzmiała wysoka, piskliwa nuta.

Uniósł palcem jej brodę do góry i zajął głęboko w oczy.

- Po obiedzie idzie do domu.

- Och.

Nie puszczając jej w dalszym ciągu, powiedział:

- Keely, nie chciałbym, żebyś zmieniała zdanie w jakiegokolwiek sprawie podczas krótkiej jazdy stąd tam. Nie chciałbym również, żebyś dla mnie rezygnowała ze standardów, jakie sobie ustanowiłaś. Jeśli zechcesz, to ci dam gwoździe i młotek i możesz zabić drzwi swojej sypialni zaraz po zachodzie słońca. - Uśmiechał się, ale Keely wiedziała, że mówi poważnie. - Po prostu chcę, żebyśmy trochę pobyli sami. Żebyśmy mogli porozmawiać i pospacerować. Popracować trochę w ogrodzie, pojeździć konno, pójść na ryby, przytulić się, popływać łódką, przestawić meble albo...

- Chwileczkę, chwileczkę, stop!

- Ale naprawdę biblioteka wymaga przemeblowania. Myślałem...

- Nie, jeszcze przed tym.

- Zaraz, zaraz. - Zmrużył oczy, udając skupienie.

- Aha, chodzi ci pewnie o przytulanie? - Na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiech, który tak bardzo lubiła. - Tak sobie po prostu

powiedziałem, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mnie słuchasz. - Keely roześmiała się i Dax powiedział: - Kiedy to naprawdę wspaniały pomysł.

Przytknął czoło do jej czoła i tuląc ją do siebie, kołysał się wraz z nią w czułym uścisku.

- Przyjedziesz? - zapytał cicho.

Nie uwalniając się z jego ramion, odparła trzeźwo:

- Nie mogę, Dax. Wiesz o tym bardzo dobrze. Chciałabym ogromnie, ale nie mogę.

Przez chwilę milczał, zanim sens jej słów w pełni dotarł do jego świadomości. Walcząc z rozczarowaniem, zapewnił ją z mocą:

- Postaram się być bardzo grzeczny.

- Ale ja mogę nie być. I zamiast odpoczywać oboje będziemy napięci i sztywni, a to żadna przyjemność.

- Nie dopuszczę do tego. Zobaczysz, że będę na luzie.

- Dax, ryzyko, że nas ktoś nakryje, jest zbyt wielkie. Gdyby tak się stało, byłaby to katastrofa dla nas obojga.

- Oczywiście, że zawsze może się coś takiego zdarzyć, ale podejmę wszelkie środki ostrożności, żeby utrzymać twój przyjazd w tajemnicy. - Zagłębił palce w jej włosy, aż do samej skóry. - Przyjedź, Keely, błagam cię. - Kiedy potrząsnęła głową, dodał szybko:

- To przynajmniej obiecaj, że się zastanowisz. Będę do końca tygodnia czekał na twoją odpowiedź. Tylko powiedz, że się zastanowisz.

Keely wiedziała, że nie zmieni zdania, ale przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić.

- Dobrze - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Obiecuję, że się nad tym zastanowię.

Zastanawiała się. Cały dzień i noc. Cały tydzień. W środę była w koszmarnym nastroju. Miała wrażenie, że wszyscy kierowcy uparli się, aby właśnie tego dnia wjeżdżać sobie w zderzaki i robić korki na głównych arteriach, zmuszając ją i Joego do nadludzkich wysiłków, by nadać z informacjami o tych wszystkich niebezpiecznych miejscach.

- Keely, do diabła, co się dzisiaj dzieje? - spytał ją popołudniowy disc jockey po nastawieniu płyty Willie Nelsona.

- Robię, co mogę, Clark - warknęła w mikrofon. - W ciągu ostatnich dwudziestu minut zgłosili nam pięć wypadków.

- Wy chyba latacie w kółko nad tym samym miejscem - mruknął.

- Latamy. Dostaję już morskiej choroby od tych kółek w powietrzu. Chyba nie sądzisz, że reżyseruję te wypadki.

- Dobra, dobra, przepraszam. Po prostu się streszczajcie. Zabieracie mi za dużo czasu antenowego.

Keely wyłączyła mikrofon i ku radości Joego burknęła:

- Zarozumiały osioł.

W czwartek rano, za minutę piąta, u Keely zadzwonił telefon.

- Halo.

- No więc?

- Jeszcze nie wiem. Odłożył słuchawkę.

O wpół do ósmej wieczorem telefon zadzwonił ponownie. Keely właśnie zastanawiała się nad odpowiedzią, jedząc omlet.

- Halo.

- No więc?

- Daj mi jeszcze czas do północy.

Podczas długich godzin wieczornych rozważała problem. Dax obiecał, że jeśli zabierze ją do siebie, to nie zrobi nic, co by było sprzeczne z jej zasadami. Ufała mu. Nigdy by jej nie zmusił ani w żaden inny sposób nie skłonił wbrew jej woli do tego, żeby z nim poszła do łóżka. To raczej sobie nie dowierzała.

Przez cały ubiegły tydzień w poczuciu winy wyciągała zdjęcia Marka, pisała listy do jego matki, przeglądała dzienniki i bruliony ze szkoły, usiłując przekonać samą siebie, że w dalszym ciągu go kocha. Mimo to nie była w stanie przywołać nic więcej, jak tylko dwuwymiarowy wizerunek na papierze. Mark przestał być człowiekiem z krwi i kości, z prawdziwym sercem w piersi, z jego własnym głosem i zapachem.

Jak długo jeszcze będzie się czepiała tych czułych wspomnień? To, że Mark jeszcze żyje, było prawie niemożliwe. Czy zamierza tracić młodość, miłość, życie, wmawiając sobie, że jej upór to sprawa honoru?

Sama przed sobą szczerze przyznawała, że kocha Daksę. I nie była to szczenięca fascynacja, tylko miłość dojrzałej kobiety, odarta z romantycznych iluzji, ból i rozterka, nieodłącznie towarzyszące prawdziwemu uczuciu. Nie są przecież dziećmi nieświadomymi trudności, jakie ich czekają. Keely miała jednak nadzieję, że nie zabraknie im hartu, żeby tym przeciwnościom stawić czoło.

W tym nastroju podjęła decyzję. Spędzi weekend u Daksa. Nie będzie ani agresywna, ani oporna, ale z miłością odpowie na okoliczności, jakie się nadarzą. Oboje będą wiedzieli, kiedy i czy nadeszła właściwa pora.

Z zapalem rzuciła się do szafy, żeby wybrać stosowne ubranie. Przejazdźki konne, wędkowanie, spacer - wszystko, co mieli razem robić,

stańło jej przed oczami, kiedy kładła wybrane rzeczy obok otwartej walizki. Dwa dni? W pół godziny miała gotowy zapas garderoby, który by jej z powodzeniem wystarczył na dwa tygodnie.

Telefon zadzwonił za dziesięć dwunasta. Dax najwyraźniej nie mógł wytrzymać! Serce skoczyło jej w piersi. Nie mógł się doczekać jej odpowiedzi, tak samo jak ona nie mogła się doczekać, żeby mu jej udzielić.

Podniosła słuchawkę i zawołała:

- Tak, tak, tak. Jadę!

Zaległa cisza, po czym odezwał się kobiecy głos:

- Bardzo przepraszam, czy to Keely Williams? -Głos był znajomy.

- Tak - odpowiedziała ostrożnie.

- Keely, tu Betty Allway.

- Betty! - wykrzyknęła speszona, zastanawiając się jednocześnie, jak się z tego wytłumaczy. Ale właściwie dlaczego miałyby się tłumaczyć? Całe to poczucie winy jest zupełnie nieuzasadnione. Postanowiła z tym skończyć.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, w zwykłe przyjacielskim i swobodnym głosie Betty wyczuła napięcie.

- Keely, mam dla ciebie wiadomość.

Keely opadła na łóżko powoli, jak balon, z którego uchodzi gaz. Jej wzrok powędrował prosto do stojącego na półce zdjęcia Marka.

- Tak, słucham?

- Z dżungli w Kambodży wyszło dwudziestu sześciu mężczyzn.

Zgłosili się do obozu uchodźców Czerwonego Krzyża. Czerwony Krzyż zawiadomił nasze władze wojskowe, które uzyskały pozwolenie na

zabranie ich stamtąd. Najpierw mają ich dostarczyć do Niemiec, gdzie ci ludzie przejdą pierwsze badania. Właściwie już tam są. Pojutrze mają ich przewieźć do Paryża. Zostaliśmy zaproszeni, żeby wziąć udział w powitaniu.

Cisza, jaka zapadła, była długa i niemal namacalna. Berty cierpliwie czekała, aż do Keely w pełni dotrze ta informacja i przyjaciółka wyciągnie z niej odpowiednie wnioski.

Kiedy Keely się wreszcie odezwała, jej głos był zachrypnięty.

- Czy Mark...

- Nie ujawniono jeszcze żadnych nazwisk. Nie jestem nawet pewna, czy wszyscy zostali zidentyfikowani. Jak możesz sobie z pewnością wyobrazić, niektórzy z nich są zagłodzeni i chorzy. Wiem jedynie, że jest ich dwudziestu sześciu.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Jakaś godzinę temu. Zadzwoił do mnie generał Vanderslice z Pentagonu. Wysyłają oficjalną delegację ze Stanów Zjednoczonych. Specjalnym samolotem mają lecieć przedstawiciele Departamentu Stanu, Kongresu, wojska, ty, ja i przedstawiciele Stowarzyszenia.

No i oczywiście starannie wybrana grupa dziennikarzy. Na razie, dopóki kondycja, zarówno psychiczna, jak i fizyczna tych mężczyzn się nie poprawi, mają pozostać w odosobnieniu.

- Rozumiem. - Keely spojrzała na swoją rękę i ze zdziwieniem stwierdziła, że drży gwałtownie, jakby na skutek choroby Parkinsona. Pod pachami i kolanami zrobiło jej się wilgotno od potu.

Przestała słyszeć Berty - tak bardzo szumiało jej w uszach.

- Czy nie będziesz miała problemów z wyjazdem, Keely? Myślę, że zajmie nam to przynajmniej trzy, cztery dni. Nie wiem dokładnie ile.

- N-nie. Oczywiście, że nie. - Czuła, że zbiera jej się na płacz i przytknęła pięść do ust. - Czy nie sądzisz, Berty...

- Nie wiem - odpowiedziała Betty, intuicyjnie odgadując dalszy ciąg.

- Bez przerwy zadaję sobie to pytanie, czy jest wśród nich Bill, ale skąd można to wiedzieć. Nie miałam nawet odwagi powiedzieć o tym dzieciom, żeby się nie uczepliły tej myśli. Czternaście lat oczekiwania na tę chwilę to kawał czasu. A teraz, kiedy nadeszła, boję się poznać prawdę. Tłumaczę sobie tylko, że obojętne, kim są ci ludzie, trzeba się cieszyć.

- Tak, naturalnie - powiedziała Keely słabym głosem. Przejechała w roztargnieniu ręką po oczach. Pod wpływem słów Betty poczuła skurcz wszystkich mięśni i teraz z najwyższym trudem próbowała się rozluźnić. - Kiedy wyjeżdżamy? Skąd?

- Samolot odlatuje z Bazy Lotniczej Andrews jutro o szóstej wieczorem.

- Jutro? - Głos Keely zadrżał. Jak szybko. Nawet nie zdąży się przygotować psychicznie.

- Zabiorą nas z lotniska krajowego i zawiozą do Andrews. Musisz się liczyć z tym, że będzie ciężko.

- No to do zobaczenia na miejscu. Nie wiem jeszcze, kiedy przyjadę. Zaraz zadzwonię do linii lotniczych.

- Jest ich tylko dwudziestu sześciu, Keely.

Dwudziestu sześciu na ponad dwa tysiące zaginionych. Obie myślały o tym, jak niewielka jest szansa, że ich mężowie znajdą się w tej grupie.

- Wiem, Berty, postaram się o tym pamiętać. Starsza z kobiet westchnęła.

- No to do jutra. - Z tymi słowami odłożyła słuchawkę.

Dlaczego się nie cieszą? Bo się boją. Jeszcze za wcześnie. Keely patrzyła nieprzytomnie na leżącą na łóżku stertę rzeczy. Kiedy dotarło do niej, skąd się tam wzięły, splotła ręce przed sobą i zaczęła się kiwać w tył i w przód. Jej zawodzący jęk dochodził jakby z głębi piekieł.

Kiedy w kilka minut później, dokładnie o północy, zadzwonił telefon, nie podniosła słuchawki.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miejsce między łopatkami piekło Keely ze zmęczenia. Unosiła ramiona najwyżej jak mogła, trzymała je tak przez chwilę, po czym opuszczała do poprzedniej pozycji. Zamknęła oczy i wykonała głową parę skłonów.

Pomieszczenie było zatłoczone, duszne i przegrzane. Wokół kryształowych kandelabrow snuł się dym papierosowy. Sala recepcyjna ambasady amerykańskiej w Paryżu nie przypominała tego dnia oficjalnego salonu. Nie-ogoleni mężczyźni, bez marynarek, zbierali się pod ścianami w grupki i rozmawiali ściszym głosem. Co chwila grupki te, jakby w odmierzonych odstępach czasu, zmieniały miejsca.

Reporterzy sprawdzali sprzęt po kilka razy. Operatorzy szykowali flesze i filmy. Ekipy wiadomości telewizyjnych sprawdzały baterie, żeby mieć pewność, że w najważniejszym momencie nie zawiedzie zasilanie.

Tylko wojskowi w nieskazitelnych mundurach nie robili wrażenia przygnębionych i napiętych. Przeciwnie, sprężystym krokiem to wchodzili na salę, to z niej wychodzili w sprawach im tylko wiadomych. Keely przypuszczała, że w gruncie rzeczy nie mieli nic szczególnego do załatwienia, poza stwarzaniem wrażenia, że coś się dzieje. Keely i Berty siedziały na małej kanapce. Od wielu już godzin oczekiwały wiadomości o mężczyznach przebywających, jak wieść niosła, w innej części ambasady. Ale nie wszystkie plotki się potwierdzały. Większość okazywała się fałszywa.

Siedziały na tej sali od piętnastu godzin, od chwili kiedy kolumna samochodów, przejechawszy przez ulice Paryża z lotniska Charles'a de Gaulle'a, przywiozła do ambasady oficjalną delegację.

Wszystko, co było do powiedzenia, zarówno prywatnie, jak i publicznie, zostało powiedziane. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać. Czytanie nie wchodziło w grę, jako że słowa straciły dla nich wszelki sens. Widok na Avenue Gabriel też nie miał uroku. Rozmowa wymagała wielkiego wysiłku. Myślenie było niemożliwe. Siedziały więc w milczeniu, patrząc bezmyślnie przed siebie, modląc się i czekając.

Lot przez Atlantyk okazał się męczący. Keely udzielała wywiadów niezliczonym reporterom, rywalizującym o jej czas i zachłannym. Z pomocą przyszedł jej kongresman Parker, który brał udział w delegacji jako prowadzący niedawne przesłuchania w Kongresie, prosząc, żeby dali jej wreszcie spokój. Ojcowskim gestem poklepał ją po ramieniu, namawiając, żeby spróbowała się przespać.

Ale o spaniu nie mogło być mowy, a to z powodu obecności dwóch innych pasażerów, którzy lecieli tym samym samolotem. Jednym z nich był kongresman Devereaux, drugim Al van Dorf.

Właśnie któryś z reporterów telewizyjnych zadawał jej jakieś zawile pytanie, kiedy w przejściu zobaczyła Daksę. Próbowała jeszcze coś odpowiedzieć, ale zaplątał jej się język, a następne pytanie zagłuszył łomot krwi w skroniach i musiała poprosić, żeby je powtórzono.

Ich spojrzenia spotkały się na krótko, ale powiedzieli sobie bardzo wiele, a mianowicie, że oboje są jednakowo zaskoczeni tą sytuacją. Z jego wzroku Keely wyczytała również, że Dax miota się pomiędzy nadzieją, że Mark jest jednym z mężczyzn, którzy uszli z życiem z Kambodży, a

rozpaczą na myśl o tym, co by to oznaczało dla nich obojga. Oczy Daksa życzyły jej szczęścia, a jednocześnie przyznawały się do samolubnego pragnienia, by to szczęście mogła dzielić z nim. Mówiły jej też, że Dax nie chce tu być, ale musi. Że nigdzie indziej nie wytrzymałby czekania na wiadomość, czy nazwisko Marka Williamsa znajduje się na tej liście.

Nie śmiała spojrzeć w jego stronę już do końca lotu ani potem, w sali recepcyjnej, do której ich wpuszczono, mylnie informując, że wkrótce zjawi się rzecznik wojskowy.

Ale gdyby nawet wbrew zdrowemu rozsądkowi zechciała spojrzeć w stronę Daksa Devereaux czy z nim porozmawiać, powstrzymałby ją przed tym sokoli wzrok Ala van Dorfa. Obserwował ją jak uczony badający pod mikroskopem budowę komórki. Zdawała sobie sprawę, że każdy jej ruch, każde słowo są starannie odnotowywane. Z nienawiścią patrzyła na jego zielony notatnik i pracowity ołówek. Mimo nieustannej skrytej obserwacji w bezpośredni sposób zwrócił się do niej tylko raz.

Charakterystycznym dla siebie, swobodnym krokiem podszedł do kanapy, na której siedziały Keely i Betty, a następnie stanął przed Keely i zmusił ją, żeby podniosła na niego wzrok.

- Pani Williams, czy sądzi pani, że wśród tych dwudziestu sześciu mężczyzn jest pani mąż? - wypalił bez żadnych wstępów.

- Staram się nie myśleć zbyt optymistycznie - odparła.

- Ale czy ma pani nadzieję?

Poderwała głowę do góry i spojrzała na reportera gniewnymi zielonymi oczyma.

- Panie van Dorf, albo jest pan niewiarygodnie głupi, albo to pytanie jest poniżej pańskiego poziomu. Tak czy inaczej, odmawiam odpowiedzi. -

Czuła na sobie zdumiony wzrok Betty, ale nie przestawała patrzeć na van Dorfa. Wreszcie to on spuścił oczy, zapisując coś mściwie w swoim nieodłącznym notatniku.

Betty odchrząknęła dyplomatycznie.

- Obawiam się - powiedziała - że zarówno pani Williams, jak i ja jesteśmy w tej chwili zbyt zajęte własnymi myślami, żeby odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Pan wybaczy.

Van Dorf skłonił się przed nią lekko, ale nie dał za wygraną.

- Mam jeszcze ostatnie pytanie do pani Williams. - Zwrócił się do Keely: - Czy pani wiedziała, że kongresman Devereaux też się wybiera do Paryża?

- Nie. Nie wiedziałam, dopóki go nie zobaczyłam na pokładzie samolotu. - Była to odpowiedź uczciwa.

Na twarzy van Dorfa pojawił się charakterystyczny lisi uśmiezek.

- A jak pani sądzi, dlaczego zdecydował się na tę podróż?

Keely zdawała sobie sprawę, że to pytanie było obliczone na wyprowadzenie jej z równowagi. Spojrzała na niego ze spokojem i odparła:

- Niech pan spyta o to kongresmana Parkera, który go zaprosił.

- Dziwne - myślał głośno van Dorf - że spośród wszystkich kongresmanów wybrał akurat Daksa Devereaux.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. - Betty, nie znając ukrytego znaczenia tych pytań, pospieszyła przyjaciółce z pomocą. - Jak pan zapewne wie, kongresman Devereaux był w podkomisji. Poparł naszą sprawę, występując przeciwko uchwale Kongresu. Sam jest weteranem wojny w Wietnamie. Nie mam pojęcia, dlaczego jego obecność tak bardzo

pana dziwi. Przepraszamy, ale ani ja, ani Keely nie jesteśmy w nastroju do rozmowy.

Van Dorf udawał, że nie rozumie, o co chodzi, ale w końcu odszedł, rzuciwszy pod adresem Keely zza swoich niewinnie staroświeckich okularów jadowite spojrzenie.

- Dziękuję ci, Betty - zwróciła się Keely do przyjaciółki, kiedy van Dorf znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Czego on od ciebie chce? Dlaczego bez przerwy cię pyta o Devereaux?

- Nie mam pojęcia.

- Szczerze?

Keely szybko spojrzała na Betty, ale zaraz odwróciła wzrok. Jeden z żołnierzy piechoty morskiej stacjonujących w ambasadzie uwolnił ją od obowiązku odpowiadania, podchodząc właśnie do Berty.

- Pani Allway?

- Tak, słucham?

- Proszę za mną. Jest pani proszona do generała Vanderslice'a.

Berty spojrzała pytająco na Keely, po czym wstała i w eskorcie wojskowego wyszła przez ozdobnie rzeźbione drzwi.

Minęła kolejna spędzona przez Keely samotnie godzina. Przez cały czas, nie patrząc w stronę Daksa, wiedziała dokładnie, co robi.

Zmęczonym ruchem potarł szyję. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Rozpiął kamizelkę. Spojrzał na nią. Zakasłał trzy razy i podszedł do stolika z napojami w puszkach i lodem. Nalał coli do plastikowego kubeczka, wypił łyk i odstawił kubek na stół. Znów na nią spojrzał. Przeciągając się, połączył palce wysoko nad głową. Ścisłym

głosem rozmawiał z Par-kerem. Obaj zerknęli w stronę drzwi, za którymi zniknęła Betty, i znów podjęli rozmowę. Spojrzał na nią.

Przez drzwi na podium weszło dwóch żołnierzy piechoty morskiej, którzy ledwie zdążyli stanąć na baczność, kiedy na salę wtargnął generał Vanderslice. Ani jeden z jego siwych włosów nie odstawał od głowy. Idealnie dopasowana kurtka od munduru była starannie zapięta. Podchodząc do mikrofonu, rzucał dokoła bystre spojrzenie, próbując ocenić sytuację. Wyglądał jak do fotografii.

Zebrani w wielkiej sali zamilkli nagle, jakby ktoś przekreślił wyłącznik. Wszystkie oczy zwróciły się ku pełnej godności sylwetce generała, który położył na pulpicie plik papierów.

- Panie i panowie, chciałem wyrazić wam swoje uznanie dla okazanej przez was cierpliwości. Wiem, jak wielki jest wasz niepokój i jakie znosicie niewygody, czekając na tej sali, zwłaszcza że nie wypoczęliście po tak długim locie. Ubolewam z powodu zwłoki trudnej do uniknięcia w tego rodzaju sytuacjach. – Sposób wyrażania się generała był równie precyzyjny jak jego ruchy.

Odchrząknął i spojrzął na leżące przy mikrofonie papiery. Keely patrzyła na swoje zaciśnięte ręce, czując, jak serce trzepocze jej się w piersi. Miała zupełnie sucho w ustach i kiedy usiłowała przełknąć, język przylepił jej się do podniebienia.

- Chciałbym państwu przedstawić pewnego człowieka. Niejeden raz w mojej karierze wojskowej oddawałem cześć ludziom, których inni uważali za bohaterów. Bez względu na motywację ludzie ci dawali dowody niebywałej odwagi i prawości.

Generał przerwał i zaczerpnął tchu.

- Williams Daniel Allway był majorem, kiedy czternaście lat temu wysłano go do Wietnamu. Dziś rano został awansowany do rangi podpułkownika.

Keely zasłoniła usta, żeby powstrzymać okrzyk radości. Bill Allway! Mąż Betty! Łzy, których nawet nie była świadoma, płynęły jej z oczu niepowstrzymanym strumieniem, kiedy w drzwiach za podium zobaczyła wysokiego, chudego mężczyznę w luźnym mundurze, wspartego na opiekuńczym ramieniu Betty.

Generał Vanderslice, zwracając się do wchodzącej właśnie pary, powiedział łagodnie:

- Pułkowniku Allway, prosimy pana wraz z małżonką tu bliżej.

Nieprawdopodobna wrzawa, jaka w tym momencie wybuchła, była tylko jednym z elementów piekła, jakie się rozpętało na sali. Flesze strzelały jak fajerwerki. Brawa i oklaski dosłownie ogłuszały. Wiele osób w przypływie entuzjazmu powskakiwało na krzesła, krzycząc i wiwatując na cześć Billa Allwaya.

Keely zerwała się na równe nogi i ze łzami w oczach oklaskiwała powrót męża przyjaciółki. Jedno wszakże było dla niej pewne: wśród tych, którzy powrócili, nie znalazł się Mark Williams. W przeciwnym razie zostałyby tak jak Berty poproszona na osobiste powitanie z mężem.

Kiedy wreszcie wrzawa powitań zaczęła przycichać, Bill Allway podszedł do mikrofonu. Był chudy jak szkielet i zupełnie siwy. Miał zapadnięte policzki i oczy, nos wyostrzony. Ale tuląc do siebie żonę, dosłownie promieniał szczęściem.

Generał Vanderslice usiłował przekrzyczeć hałas.

- Jak większość z państwa zapewne wie, pani Allway znosiła długą nieobecność męża z równym bohaterstwem, jakie on zaprezentował w Wietnamie. Wiem o tym, ponieważ stoczyłem z nią niejedną potyczkę. - Sala gruchnęła śmiechem. - Nie wyobrażacie sobie państwo, z jaką radością przyjąłem wiadomość, że w tej grupie jest Bill Allway i że pani Allway z tytułu swego zaangażowania w sprawę Stowarzyszenia mogła się tu znaleźć. Pułkownik Allway, jako najwyższy rangą oficer i przywódca grupy zaginionych, którzy właśnie powrócili, będzie miał przyjemność przedstawić państwu swoich kolegów. Pułkowniku Allway, proszę.

Bill i Betty obejmowali się bez żadnego skrupowania. W pewnej chwili Bill spojrzął na żonę i delikatnie pocałował ją w usta. Tłum odpowiedział entuzjastycznymi okrzykami.

Betty, wpatrzona w męża i promieniejąca szczęściem, wyglądała naprawdę ślicznie. Wreszcie pułkownik Allway zajął na podium miejsce generała Vanderslice'a, popatrzył na zebranych i w ciszy, jaka nagle zapadła, zaczął mówić.

- Nie macie pojęcia, jak... jak to miło znów widzieć amerykańskie twarze. - Głos mu się załamał i speszony spuścił głowę. Nie powinien się jednak wstydzić łez, nie on jeden miał mokre ze wzruszenia oczy. - Wiem, że jesteście ciekawi, jak zdołaliśmy przetrwać, gdzie byliśmy i co się z nami działo. Dowiedcie się wszystkiego, solennie wam to obiecuję. - Uśmiechnął się, a widok jego zapadniętej twarzy poruszył zebranych. - Trzeba wielu dni, a może nawet tygodni, żeby was szczegółowo zapoznać ze wszystkimi naszymi przeżyciami. W moim przypadku było to czternaście lat. Rozumiecie też z pewnością, że wojsko będzie musiało

starannie przeanalizować materiały, jakie ze sobą przywieźliśmy, zanim poda je do publicznej wiadomości.

- Zaraz potem, jak ogłosimy nazwiska tych ludzi, odbędzie się konferencja prasowa - wtrącił generał Vanderslice. Zszedł z podium i Bill Allway ponownie wziął mikrofon do ręki.

- Nazwiska zostaną odczytane w porządku alfabetycznym, wraz z miejscem pochodzenia danego żołnierza i datą zgłoszenia jego zaginięcia.

Kamery telewizyjne z całego świata były skierowane zarówno na Billa Allwaya, jak i na drzwi, przez które mieli wchodzić pozostali żołnierze.

- Porucznik Christopher David Cass, Phoenix, Arizona, 17 czerwca 1969, porucznik George Robert Dickins, Gainesville, Floryda, 23 kwietnia 1970.

Wszyscy po kolei byli witani oklaskami. Keely na równi z innymi wiwatowała na ich cześć. Po latach nędzy, głodu i walki wchodzili nieśmiało, bojąc się świateł, ludzi, kamer i całej tej wrzawy, której byli ośrodkiem. Świeżo ostrzyżeni, w nowych mundurach, które na nich wisiały, mieli na twarzach piętno straszliwych przeżyć.

Bill Allway przeczytał listę nazwisk i na podium znalazło się dwudziestu mężczyzn.

- Niestety, pięciu spośród nas nie mogę państwu przedstawić - wyjaśnił. - Dwaj są w bardzo ciężkim stanie i dlatego jeszcze przez kilka godzin, dopóki nie przejdą dokładnych badań, nie podamy ich nazwisk.

Przytulił mocniej Bertę i podjął:

- Nie jestem kapłanem, proszę państwa, ale jeśli ojciec Weems nie ma nic przeciwko temu, proponuję, żebyśmy odmówili modlitwę.

Nawet najbardziej zatwardziali ateści odpowiedzieli na ten apel. Wszystkie głowy się pochylały, poza fotoreporterami, którzy trzymali kamery w gotowości. Na sali zaległa cisza. Głos Billa, kiedy rozpoczął modlitwę, był chropawy jak papier ścierny, ale nawet gdyby Bill był najwytrawniejszym mówcą, nie przykułby w tym stopniu uwagi obecnych.

- Ojczy, z sercami przepelnionymi wdzięcznością, składamy Ci dzięki za ocalenie nam życia i przywrócenie wolności. Modlimy się jednocześnie za setki tych, którzy dalej walczą o przetrwanie. Za bezimiennych i pozbawionych twarzy, ale znanych Tobie. My, którzyśmy przeszli piekło, czuliśmy Twoją obecność i tam. Którzyśmy przeżyli wbrew wszystkiemu, prosimy Cię, Panie, byś nam pozwolił godnie przeżyć resztę życia ku Twojej chwale. Amen.

Jeśli jeszcze do tej pory czyjeś oczy pozostały suche, to od tej chwili wszelkie tany puściły. Generał Vanderslice z powagą podszedł do mikrofonu, gdy tymczasem Bill Allway ostrożnie sprowadzał żonę z podium.

- Prosimy państwa o cierpliwość. Za dwie godziny ma się odbyć na tej sali konferencja prasowa. Zapewni to państwu tak zasłużony odpoczynek, a tym ludziom pozwoli zebrać myśli. Jestem przekonany, że państwo rozumieją ich zagubienie i wyczerpanie. - Generał spojrział na swój srebrny zegarek i dodał: - Konferencja prasowa rozpocznie się o piętnastej. Dziękuję państwu.

Bohaterowie dnia opuścili salę i drzwi się za nimi zamknęły. Pogaszono światła, kamery wróciły do swoich metalowych futerałów. Zapalono papierosy, odbierano płaszcze. W sunącym do podwójnych

drzwi tłumie przedstawiciele mediów, dygnitarzy i doradców panował nastrój radosnego podniecenia.

Keely, która przestała być ośrodkiem zainteresowania, padła na kanapę, bezmyślnie wpatrzona w dywan. Dopiero kiedy w jej polu widzenia pojawiły się czarne męskie buty, zdała sobie sprawę, gdzie jest. Uniosła oczy, które powoli wędrowały w górę: najpierw długie nogi, potem klamra u paska z godłem Kongresu odcisniętym w złocie, rozluźniony pod szyją krawat i wreszcie twarz, tak bardzo kochana.

Znajome oczy błagały ją o przebaczenie - przebaczenie za uczucie ulgi, że w grupie mężczyzn, którzy weszli do sali, nie było Marka Williamsa. Jej oczy udzieliły mu tego przebaczenia, wyraziły pełne zrozumienie, choć usta nie potrafiły się zdobyć na uśmiech.

- Przykro mi, wierzysz? - powiedział szeptem.

- Tak, wierzę.

Wsadził ręce w kieszenie i ponad jej głową patrzył na obraz przedstawiający przeprawę Waszyngtona przez rzekę Delaware.

- Co teraz masz zamiar robić?

Spuściła głowę i zobaczyła na spódnicy plamę z kawy. Musi żałośnie wyglądać. Kiedy ostatni raz brała prysznic, spała, robiła makijaż, jadła? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Nie wiem - odparła, potrząsając głową. - Na razie nie mogę myśleć o niczym innym, poza kąpielą i spaniem.

- Moje pytanie było nie fair. Ponownie uniosła głowę.

- Nie, nie było.

Już prawie wszyscy opuścili salę, ale oni nawet tego nie zauważyli. Po wyrazie jej twarzy poznawał, że cierpi, i przeklinał siebie za to, że nie potrafi jej pocieszyć. Chcę cię przytulić, Keely.

- Czy przed konferencją prasową idziesz jeszcze do hotelu?

Tak bardzo cię pragnę, Dax,

- Tak, chyba tak.

Odsunął się, żeby mogła swobodnie wstać i pozbierać swoje rzeczy. Robisz wrażenie takiej bezbronnej.

- Czy masz wszystko, co potrzeba?

Czuję się taka bezradna. Potrzebne mi twoje wsparcie.

- Tak. Powiedzieli mi, że nasz bagaż zawiozą bezpośrednio do hotelu.

- Dobrze.

Czy chcesz, żebym cię przytulił? Tak.

- Tak.

- Czy wiesz, w którym hotelu was zakwaterowali? Jeśli się dobrze orientuję, musieli nas podzielić. Jest sezon turystyczny. - Żałuję, że nie możesz być w moim pokoju.

- Powiedziano mi, że w Crillonie. - Chciałabym być tam gdzie ty.

Boję się, jak nie ma cię przy mnie.

Całe szczęście. Będę mógł mieć cię na oku.

- Mnie też.

Dzięki Bogu. Będziesz blisko.

- To dobrze.

Zdążyli tymczasem dojść przed front budynku, gdzie członkowie delegacji wsiadali do czekających limuzyn. Hotele były bardzo blisko i w

gruncie rzeczy przyjemniej byłoby iść na piechotę, ale nikt nie śmiał odmówić wobec takich przejawów gościnności.

- Jest jeszcze jedno wolne miejsce do Crillona! - zawołał jeden z pracowników ambasady. - Pani Williams?

Odwróciła się i spojrzała błagalnie na Daksa. Nie chciała się z nim rozstawać.

- Jedź i wykorzystaj ten czas - powiedział łagodnie, myśląc jednocześnie, że chyba umrze, jeżeli jej zaraz nie dotknie.

- Poczekam. Ja... Jeszcze raz dziękuję bardzo, kongresmanie Devereaux, za pańską troskę. Nigdy nie przestanę mieć nadziei.

Po nagłej zmianie jej tonu i tematu Dax odgadł natychmiast, że gdzieś w pobliżu musi się czaić van Dorf. Szybkie spojrzenie przez ramię potwierdziło to podejrzenie.

- Nie będę dłużej wstrzymywać innych. Do widzenia - powiedziała Keely, oficjalnie podała Dakswi rękę i zeszła po stopniach, żeby wsiąść do czekającego samochodu.

Dax stał osamotniony, patrząc za odjeżdżającą czarną limuzyną.

- Robi wrażenie zdenerwowanej - odezwał się nagle u jego boku van Dorf.

Dax spojrzał na niego surowo.

- A pan by nie był? Przez chwilę miała cień nadziei, że może jej mąż żyje, a tu nie tylko nie ma go w grupie tych, którzy wrócili, ale dalej nie wie, co się z nim dzieje.

- To zdumiewające - powiedział van Dorf bezceremonialnie.

Dax nie zrozumiał jego intencji i zapytał:

- Co jest w tym takiego zdumiewającego?

- Ta jej pozorna troska o męża.

Dax poczuł, jak mu krew uderza do twarzy.

- A co jest w tej trosce takiego zdumiewającego? Van Dorf roześmiał się szyderczo. Zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie.

- Niech pan da spokój, kongresmanie. Pan, człowiek światowy, wie doskonale, że to kawał rozparzonej dziewczuchy. Co pan sobie wyobraża: jak długo taka seksowa może wytrzymać bez chłopa? Miesiąc? Dwa? - Roześmiał się ponownie. - W każdym razie z pewnością nie dwanaście lat.

Francuska krew Daksa zawrzała. Zacisnął pięści i był to jedyny sposób, w jaki mógł trzymać ręce z dala od gardła van Dorfa.

- Na pana przykładzie widać, van Dorf, że nie zawsze ignorancja jest dobrodziejstwem. Nie potrafi pan dostrzec u innych uczciwości i cnoty, bo ich nie ma w panu samym za grosz.

Odszedł, nie mogąc się nadziwić, że mimo wszystko nie zamordował faceta. Van Dorf z satysfakcją patrzył na jego wybuch.

Keely wykapała się, umyła włosy, starła makijaż i dopiero potem położyła. Obudziła się po upływie godziny, kiedy zadzwonił budzik. Usiadła oszołomiona. Po tej krótkiej drzemce czuła się jeszcze gorzej.

Wstała, zastanawiając się, czy nie zrezygnować z konferencji prasowej, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Musi iść. Jej nieobecność spotka się z surową oceną i niewątpliwie zostanie rozdmuchana w mediach. Zwłaszcza przez van Dorfa. A poza tym nie zdążyła porozmawiać z Betty, no i chciała poznać Billa.

Miała na sobie sukienkę-worek, przepasaną cienkim złotym łańcuszkiem. Zielony kolor kojarzył się z wiosną, ale długie rękawy z mankietami zapewniały ciepło. Uczesła włosy, nawet ich nie zakręcając.

Uznała, że naturalnie falujące ułożą się w wilgotnym powietrzu wczesnej paryskiej wiosny.

Znalazszy się z powrotem w ambasadzie, stwierdziła, że sala została wysprzątana i przewietrzona. Zamiast pulpitu ustawiono długi stół z rzędem mikrofonów.

Usiadła w ostatnim rzędzie krzeseł i z wdzięcznością przyjmowała liczne kondolencje, zapewniając życzliwych, że cieszy się ogromnie z powrotu tych, którzy się uratowali. Do mikrofonu powiedziała:

- Mam nadzieję, że nasze władze tym bardziej wzmogą wysiłki w celu uzyskania jakichkolwiek informacji o zaginionych. W dalszym ciągu istnieje realna szansa, że jeszcze wielu z nich żyje gdzieś w Wietnamie i Kambodży. Z pewnością to, co dziś usłyszymy od ludzi, którym udało się wrócić, rzuci nowe światło na ten problem.

Zobaczyła Daksa, jak zajmuje miejsce obok Parkera pod ścianą naprzeciwko okien. Skinął jej niemal niepostrzeżenie, a ona nawet z tak drobnego gestu potrafiła zaczerpnąć otuchy.

Tak jak się tego spodziewano, generał Vanderslice rozpoczął konferencję punktualnie. Dwudziestu jeden wojskowych, z Billem Allwayem pośrodku, usiadło za stołem. Betty siedziała na dodatkowym krześle tuż za nimi.

Zarzucono ich pytaniami w najróżniejszych językach. Okazało się, że dziesięciu mężczyzn uciekło z obozu dla jeńców wojennych i po półtora roku tułaczki połączyło się z pozostałymi szesnastoma. W czasie, który spędzili razem, trzech spośród pierwszych dziesięciu zmarło. Przeczytano i zanotowano ich nazwiska. Historie, które mieli do opowiedzenia pozostali, były niewiarygodne.

Przed końcem konferencji generał Vanderslice oznajmił, że wojskowi zgodzili się nazajutrz rano udzielać wywiadów. Opuszczali salę przy stojącej owacji.

Keely poczekała, aż tłum się przerzedzi, zanim wstała i zaczęła się szykować do wyjścia. Właśnie w chwili, kiedy wkładała płaszcz, podszedł do niej Parker. Towarzyszył mu Dax.

- Pani Williams, czy przyjmie pani zaproszenie moje i kongresmana Devereaux na kolację? - zapytał uprzejmie.

Czy powinna? Starszy kongresman nie zdaje sobie sprawy, że będzie odgrywał rolę przyzwoitki, ale jego obecność ochroni ją i Daksa przed spekulacjami i podejrzeniami.

Już miała przyjąć zaproszenie, kiedy podszedł do niej i elegancko zasalutował żołnierz piechoty morskiej.

- Przepraszam bardzo, pani Williams, ale przysłała mnie tu pani Allway. Chciałaby z panią porozmawiać o tych, którzy przebywają jeszcze w szpitalu.

Serce skoczyło jej do gardła. Czy to możliwe? Czy to kolejny strzał w ciemności? A może Betty wie...?

- Ja... ja... już idę - wyjąkała, po czym zwróciła się do Daksa i Parkera: - Przykro mi, ale...

- Nic nie szkodzi, to zrozumiałe. Może są jakieś wieści o pani mężu - rzekł Parker.

Unikając wzroku Daksa, poszła za żołnierzem, który poprowadził ją ciemnym korytarzem do pustego biura. Wstrząsnęła nią panująca tam cisza. Po całym dniu przebywania w hałasie cisza działała kojąco. Żołnierz zostawił Keely samą.

Nagle drzwi się otworzyły i weszła Berty z mężem. Przez chwilę kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, aż wreszcie padły sobie w ramiona.

- Betty, nie masz pojęcia, jak się cieszę twoim szczęściem.

- Keely, Keely - wyszeptała jej Betty do ucha. - Tak mi przykro.

Wiem, że nie powinnam się tak cieszyć.

- Ależ oczywiście, że powinnaś! - Keely odsunęła się, żeby spojrzeć w zatroskaną twarz przyjaciółki. - Powinnaś być szczęśliwa. Patrzę na ciebie od rana i wiem, że tak jest. - Zwróciła się teraz do wychudzonego mężczyzny stojącego u boku Betty. - Jak się masz, Bill. Wiele o tobie słyszałam. Witamy cię w domu. - Już chciała wyciągnąć do niego rękę na powitanie, ale w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu, rzuciła mu się na szyję. Odpowiedział spontanicznie na ten serdeczny gest i Keely poczuła wokół siebie jego chude ramiona.

- Betty mówiła mi o tobie i o tym, z jaką żarliwością walczyłaś o sprawę zaginionych. Niezmiernie żałuję, że nie ma wśród nas twojego męża.

Keely przypomniała sobie, po co została tu wezwana. Zawisła wzrokiem na ich twarzach, ale zamiast dobrej nowiny znalazła w nich tylko współczucie.

- A ci mężczyźni w szpitalu... - zaczęła. Pozostawiła jednak pytanie niedokończone.

Berty smutno potrząsnęła głową i ujęła przyjaciółkę za rękę.

- Bardzo mi przykro, Keely, ale niestety nie ma wśród nich twojego męża. Dlatego poprosiliśmy cię tutaj z Billem, żeby porozmawiać z tobą

na osobności. Nie wiem, jak wielkie pokładałaś nadzieje w odzyskaniu Marka, ale chciałam cię przestrzec przed nadmiernym optymizmem.

- Keely. - Słyszając swoje imię wypowiedziane szorstkim męskim głosem zwróciła na Billa niewidzące oczy. - Jak tylko Betty powiedziała mi o Marku, natychmiast przepytaliśmy wszystkich mężczyzn, czy nie słyszeli o pilocie helikoptera nazwiskiem Williams. Podaliśmy im datę zestrzelenia maszyny i wszelkie znane nam okoliczności, które mogłyby okazać się pomocne. Ale nikt nie umiał nam nic powiedzieć. Naturalnie nie rozmawialiśmy z tymi, którzy przebywają jeszcze w szpitalu.

Keely odwróciła się i podeszła do okna. Paryskie niebo jarzyło się światłami.

- Dzięki za wasze dobre serce. Wiem, że przecież nie widzieliście się od czternastu lat i aż mi wstyd, że tracicie cenne chwile na moje sprawy. Jestem wam bardzo wdzięczna - powtórzyła.

- Keely...

Nie mogąc dłużej znieść współczucia, odwróciła się na pięcie, zanim Betty zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej.

- Dam sobie świetnie radę, możecie mi wierzyć, a wy macie prawo do tego, żeby wam nikt teraz nie przeszkadzał. Proszę was bardzo. Naprawdę, nic mi nie potrzeba. - Na siłę starała się okazać obojętność. - Kongresman Parker zaprosił mnie na kolację. - Próbowała się uśmiechnąć. W panującym w biurze półmroku Allwayowie dali się zwieść.

- Jeśli tak uważasz... - zaczęła Berty.

- Tak uważam. Idźcie, naprawdę.

- No to do jutra - powiedział Bill.

- Do jutra. Dobranoc. - Wyszli zostawiając ją samą. Bardziej samą, niż kiedykolwiek dotychczas.

Czuła, że siedzi na emocjonalnej huśtawce, która to wynosi ją na szczyty, to znów strąca w przepaść. Miotają ją sprzeczne uczucia, przeżywała rozterkę. Powinna się cieszyć szczęściem Allwayów i cieszyła się, ale jednocześnie zazdrościła Betty, że minął dla niej okres zawieszenia.

Ale czy rzeczywiście minął? Jak będzie teraz wyglądało jej małżeństwo? Czy po czternastu latach separacji Allwayowie będą w stanie podjąć normalne życie? Widząc ich razem, Keely dobrze im wróżyła.

Ale co byłoby z nią i Markiem? Jakby się czuła dzisiaj, gdyby ją wezwano na spotkanie z mężczyzną, z którym łączyła ją ślubna przysięga, ale już nie miłość? Czy na jego widok wróci uczucie, którego nie potrafiła przywołać? Czy rzuciłaby mu się w ramiona? Czy z przerażeniem myślałaby, że ten obcy człowiek to jej mąż - obcy, ponieważ wojna w bezlitosny sposób zatarła w nim wszelkie ślady młodości i świeżości? Betty miała nad nią tę przewagę, że zanim jej mąż pojechał na wojnę, знаła go jako dojrzałego mężczyznę, znała złe i dobre strony jego osobowości. Ona i Mark byli w gorszym położeniu.

Poczuła nagle klaustrofobiczną potrzebę wydostania się na zewnątrz. Unikając tłumu, który właśnie wylewał się drzwiami na końcu korytarza, ruszyła w stronę Champs Elysees. Na ulicy, gdzie panowała wieczna godzina szczytu, ogłuszyły ją klaksony i agresywny ruch. Na chodnikach mrowił się tłum przechodniów. Starając się omijać ludzką rzekę, czuła się urażona, że dla innych ten dzień jest po prostu jeszcze jednym zwykłym dniem pracy. Niektórzy nie mieli poważniejszych problemów niż to, co

będą jedli na kolację albo czy dziś wstąpić do pralni, czy wstrzymać się z tym do jutra.

Plac Zgody pełen był roześmianych turystów i paryżan. Przepychając się przez tłum, Keely zastanawiała się bezsensownie, ile razy były fotografowane konie Coysevoxa przy wejściu do Ogrodów Tuileries. Ale słynny plac, ze swoim obeliskiem pośrodku, dziś jej nie interesował. Myślami była zupełnie gdzie indziej.

Przez Ponte de la Concorde przedostała się na drugi brzeg Sekwany. Kiedy przechodziła przez most, przemknął właśnie pod nim jeden z bateau-mouche z tak zwaną kolacyjną wycieczką. Ale Keely nawet nie zauważyła pięknie oświetlonego statku - po prostu szła przed siebie.

Na bulwarze Saint-Germain zatrzymała się na jednym ze skrzyżowań, czekając na zmianę świateł. Ku jej rozpaczycy stojący obok mężczyzna, niezniechęcony jej nieznaną francuskiego, uznał ją za osobę bardzo atrakcyjną. Przysunął się bliżej, spychając ją z krawężnika. Złapała równowagę i posłała mu urażone spojrzenie, które on potraktował jako zachętę i uśmiechnął się w odpowiedzi.

Z lekkomyślną brawurą wybiegła przed autokar wycieczkowy, żeby przejść przez ulicę. Zatrzymała się po drugiej stronie, szczęśliwa, że uniknęła nagłej śmierci i awansów namiętnego Francuza. Kilka przecnic dalej poczuła ogarniające ją zmęczenie. Usiadła na ławce, bezmyślnie patrząc przed siebie. Chciała, żeby ją pozostawiono w spokoju. Marzyła o tym, żeby być niewidzialną, zapaść się pod ziemię. Miała wszystkiego dość.

Nagle usłyszała głos podrywacza, który właśnie sadził się obok niej na ławce. Zadowolona, że jej znajomość francuskiego jest tak

skromna, energicznie potrząsnęła głową, jego ton jednak był aż nadto sugestywny.

W tym momencie usłyszała drugi głos, surowy i groźny, dochodzący z za jej pleców. Intruz zerwał się z ławki, wykonując uspokajające gesty rękami, po czym rzucił się do ucieczki, jakby go ktoś poszczuł psami.

Odwróciła głowę i zobaczyła za sobą Daksa, który okrążył ławkę i usiadł koło niej. Ciepły uśmiech, czarne, lśniące oczy, które mówiły tak wiele, nagle poczucie bezpieczeństwa - wszystko to rozbroiło Keely całkowicie. Rzuciła mu się w ramiona, tuląc głowę do jego piersi.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trzymał ją w czułym uścisku i pozwalał jej się wypłakać. Czuł, jak drżą jej kruche ramiona wstrząsane szlochem. Pochylony nad nią chłonał zapach miękkich ciemnoblonde włosów. Gdyby mógł, wraz z tym zapachem wchłonałby wszystkie jej troski.

Nie zastanawiał się ani przez chwilę, co sobie ludzie pomyślą. Liczyła się tylko ona, Keely, tak bardzo mu droga. Podziwiał jej siłę charakteru, jej urodę i pozycję zawodową. Teraz ta jej kruchość obudziła w nim zupełnie nowe uczucia. Był wobec niej zaborczy, a jednocześnie opiekuńczy. Zabiłby każdego, kto by ją zechciał skrzywdzić.

Trzymał ją w ramionach długo jeszcze po tym, jak łyzy jej obeschły i wstrząsał nią już tylko suchy, spazmatyczny szloch. Wszystko, cokolwiek miałyby zostać powiedziane, musiało wyjść od niej. Fiolet nieba przeszedł w ciemniejsze indygo, potem stopniowo w czerń, a oni ciągle jeszcze siedzieli spleceni w uścisku.

Wreszcie Keely uniosła głowę, wytarła pobrudzone rozmazaniem tuszem policzki i przygładziła włosy. Nie przeszkadzał jej w tych zabiegach zapewnieniami, że i tak jest piękna. Nie miał co do tego wątpliwości, mimo pewnego nieładu panującego na jej głowie, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie chciałaby teraz o tym słyszeć. Poczulałaby się zmieszana, wstydzilałaby się słabości, jaką wobec niego okazała. Wolał dać jej wolną rękę. Niech ona wyznaczy tempo, ustala reguły gry.

- Przejdiesz się ze mną? - zapytała.

Wstał i podał jej rękę. Ujęła ją, ale po kilku krokach puściła. Dax jednak nie próbował jej niczego narzucać, mimo że pragnął otoczyć ją ramieniem w opiekuńczym geście. Szli powoli, w milczeniu, zatrzymując się przy wystawach, ilekroć coś przyciągnęło ich uwagę. Porozumiewali się jedynie za pomocą uśmiechów, delikatnych westchnień, żarliwych spojrzeń.

Dax nie wiedział, ani jak długo szli, ani jak daleko zaszli. Nie miało to zresztą znaczenia. Był lekko zdziwiony, kiedy nagle Keely zatrzymała się przed nim i zapytała:

- Czy nie jesteś głodny? - Uśmiechnął się.
- Troszkę, a ty?
- Ja też.
- To zapraszam cię na kolację.
- Dokąd?
- Wybieraj.
- Zgoda.

Pierwszą restaurację minęli, ponieważ była zatłoczona i hałaśliwa. W następnej serwowano jedynie kanapki i Keely przyznała, że to dla niej za mało.

Trzecia okazała się idealna. Typowo francuska, ze stolikami nakrytymi serwetami w kratkę, z płonącymi świecami i margerytką na każdym stoliku. Zewnętrzna część lokalu była już zamknięta na noc, ale niskie, nastrojowe wnętrza obiecywało atmosferę miłej intymności.

Gdy tylko *garçon* posadził ich przy stoliku, Keely przeprosiła Daksę na chwilę.

- Wybaczysz, że cię zostawię samego?

- Ależ naturalnie. - Nie usiadł, dopóki nie zobaczył, jak znika w wąskim przejściu wiodącym na tyły restauracji. Kiedy wróciła, zauważył, że ma umytą twarz, uczesane włosy i świeżą szminkę. Odsuwając dla niej krzesło, nawet jej nie dotknął.

Pogryzając chrupkie pieczywo, powiedziała:

- Nie wiedziałam, że znasz francuski. Uśmiechnął się skromnie.

- To tylko jedna z moich licznych zalet.

- Co mu powiedziałaś?

- Kelnerowi?

- Nie, temu mężczyźnie, który mnie zaczepiał. Na widok koniuszka języka, którym Keely oblizwała usta, stracił wątek i zapomniał, o co go pytała.

- Mhm... a, o to ci chodzi. No cóż, tego nie ma w żadnym słowniku. - Uśmiechnął się. - Zdecydowałaś się już na coś? - zapytał, otwierając zniszczoną kartę.

- Lepiej zamów ty. Ja mam ochotę na coq au vin.

- Dobrze się składa, bo akurat mają to danie. - Wskazał na menu. - Coq au vin. Sałata? - Skinęła głową. - Zupa?

- Nie, zupa chyba nie.

Podszedł do nich kelner. Jeśli jego smoking był z lekka wyświecony, a mankiety koszuli przetarte, to i tak tego nie zauważyli. Patrzyli tylko na siebie.

- Czy zamówić ci jakiegoś drinka? - zapytał Dax.

- Nie, dziękuję, poproszę kawę po kolacji.

- Dobrze. - Dax podparł się łokciami.

Keely spoglądała przez okno na ciągnący bulwarem strumień pojazdów.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? Żałował, że na niego nie patrzy. Głos Keely był jakiś odległy, a jej przygnębienie sprawiało mu dojmującą przykrość.

- Spotkałem Betty i Billa Allwayów. Powtórzyli mi, o czym z tobą rozmawiali. I... i pomyślałem sobie, że może przydałby ci się w tej chwili ktoś do towarzystwa. Kiedy poszedłem do tego biura, w którym się rozstaliście, ciebie już tam nie było. Biegłem jak szalony, żeby cię złapać. Ale trudno dogonić kogoś, kto ma takie długie nogi.

Próba wprowadzenia do rozmowy elementu humoru została uwieńczona sukcesem. Keely roześmiała się i wreszcie odwróciła głowę w jego stronę.

- Zresztą - podjął - ja tylko chciałem się przekonać, czy czegoś nie potrzebujesz. Więc jak zobaczyłem tego faceta, to po prostu podszedłem.

- Zjawiłeś się w samą porę.

- Na pewno nie zepsułem ci randki? - Zachęcony pierwszą udaną próbą, Dax postanowił ponownie zaryzykować. Udało się i tym razem, Keely roześmiała się i Dax widział, jak powoli zmienia się jej nastrój, jak się odpręża.

Do czasu, kiedy kelner podał im sałatki, gawędzili już swobodnie, chociaż nie na temat związany z tym, co ich przywiodło do Paryża, a tym bardziej do tej małej restauracyjki.

- Poczuj się obrażony, jeśli nie zamówimy wina do kolacji. Bądź co bądź to jest Paryż. - Dax nachylił się przez stół i mówił konspiracyjnym szeptem.

- Uważaj, maczasz krawat w sałatce. - Szybko spojrzął w dół.

- Och, przepraszam. - Zdjął kroplę winegretu z krawata i oblizał palec. - A co z winem?

Keely spojrzała na kelnera, który stał w pozie wyczekującej, i pomyślała, że z pewnością rozumie, co mówią.

- No cóż, skoro uważasz, że on poczuje się obrażony, jeśli nie...

Dax potraktował to jako zgodę i przyzwał kelnera gestem. Zanim jednak zdążył na dobre podnieść rękę, mężczyzna był już przy nich. Zamówienie zostało złożone i przyjęte po francusku. Keely była oczarowana.

Kelner ruszył w koniec sali, by pojawić się z powrotem w niewiarygodnie krótkim czasie z karafką białego schłodzonego wina na tacy.

- To jest wino miejscowe, podobno wspaniałe. Przynajmniej on tak utrzymuje - powiedział Dax. Odegrał cały rytuał degustacji, płucząc winem usta i przewracając oczami. Kelner udawał przerażenie, ale spektakl był tak zabawny, że uśmiechnął się do Keely, jakby oboje patronowali popisom komika.

Dax przełknął głośno.

- Cudowne! Wspaniałe! - wykrzyknął i dał znak kelnerowi, żeby napenił im kieliszki. Kelner wykonał polecenie i oddalił się, zostawiając karafkę na stole.

- Och, Dax, a co z Parkerem? Co mu powiedziałeś?

- Że byłem wykończony po tym locie. Ciebie też wytłumaczyłem.

- Dzięki.

Jedzenie było wspaniałe. Kurczę uduszone akurat tak jak trzeba, do tego małe białe kartofelki, młoda marchewka i fasolka. Zaraz po sprzątnięciu brudnych talerzy kelner wniósł czarki z musem czekoladowym i bitą śmietaną, posypaną tartą czekoladą. Rzucili się na deser, ale w połowie Keely oznajmiła, że już więcej nie może, i Dax, narzekając, że zjadła całą bitą śmietaną, dokończył za nią.

Karafka była już pusta, a oni jeszcze siedzieli, najedzeni i rozmarzeni, nad kawą. Ze stołu posprzątał, kłaniając się uniżenie, młodszy kelner. Kiedy została już tylko na wpół wypalona świeca i więdnąca margerytka, Keely wiedziała, że nadszedł czas na rozmowę.

- Dax - zaczęła nieśmiało - na pewno sam byś mnie o to nie spytał, ale zdaję sobie sprawę, że chciałbyś wiedzieć, co do ciebie czuję.

- Masz całkowitą rację, zarówno w jednym, jak i w drugim. Sam nigdy bym nie spytał. A to, czy mi powiesz, czy nie, zależy wyłącznie od ciebie. Moją sprawą jest być przy tobie, kiedy tego potrzebujesz.

Podniosła na niego wilgotne oczy i drżącymi wargami powiedziała:

- Zawsze tego potrzebuję.

- To mnie masz. - Chciał sięgnąć przez stolik i ująć jej dłonie, ale zawahał się w pół ruchu, widząc, że Keely opiera ręce o brzeg stolika.

- Nie wiem, czy to, co powiem, będzie miało jakikolwiek sens. Nie miałam nawet czasu uporządkować myśli, więc może będę bredzić.

- Nic nie szkodzi. Westchnęła ciężko.

- Nie jestem przyzwoitą osobą. Dzisiaj przeżyłam wielkie rozczarowanie. Ale to dlatego, że nie myślałam o Marku, tylko o sobie. - Opadła na oparcie czarnego krzesła, bawiąc się brzegiem serwety. - Kiedy się dowiedziałam, że nie ma go wśród tych dwudziestu sześciu żołnierzy,

którzy wrócili, pomyślałam jedynie, że moja męka jeszcze się nie skończyła. Że nie tylko nie ma go wśród żywych, ale w dalszym ciągu nie wiem, czy jest wśród umarłych. Że w moich sprawach nic się nie zmieniło.

Uniosła na moment wzrok, jakby chciała sprawdzić, czy Dax słucha. Zupełnie niepotrzebnie. Chłonał każde jej słowo.

- I kiedy ci biedacy tak dzielnie stawiali czoło wypełnionej ludźmi sali, zrozumiałam własny egoizm. Przez całe popołudnie słuchaliśmy opowieści tych ludzi o ich straszliwych doświadczeniach. Od czasu do czasu podkreślali, że żyli tak, jak musieli, robiąc najróżniejsze rzeczy, żeby przetrwać. Przypuszczam, że dotyczyło to każdej dziedziny ich życia. Jak sądzisz?

Keely nie oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie i dlatego jej nie uzyskała. Zanim podjęła rozmowę, posłała Daksowi przelotne spojrzenie.

- Chcę powiedzieć, że z tego, co mówili ci zaginieni, wynikało, że nie wszyscy mieli ochotę wracać do domu. A jeśli Mark stworzył sobie nowe życie? Może ma tam jakąś ko... kobietę i dzieci? Może są razem od lat? W tej sytuacji to przecież ona, a nie ja, jest jego prawdziwą żoną.

Poza tym - ciągnęła - patrząc na Berty i Billa, zdałam sobie sprawę z pewnej bardzo ważnej rzeczy: że tak naprawdę to wcale mi nie brakuje Marka. Dla mnie on już od dawna nie żyje. Mnie nie on jest potrzebny, tylko status mężatki. Gdyby nie Mark, którego wtedy bardzo kochałam, może wybrałabym samotne życie, a może na wiadomość o jego śmierci powtórnie wyszłabym za mąż. A tak nie mam nawet wyboru.

Z tym, że mogę zostać wdową, już się jakoś pogodziłam, nie mogę się jednak pogodzić z tym, że w dalszym ciągu nic nie wiem. - Błagała go wzrokiem o zrozumienie. - Ja nie chcę zmarnować życia, Dax.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Sposób, w jaki mężczyzna spoglądał na kobietę, a ona patrzyła mu w oczy, ich obojętność na wszystko, co się dokoła nich działo, sprawiły, że kelner trzymał się w dyskretnej odległości.

Wreszcie Dax przerwał ciężkie milczenie.

- Mylisz się, Keely. W tym, co mówisz, jest głęboki sens. Masz prawo do egoistycznego myślenia. Masz poza tym jedną bardzo rzadką zaletę, której sobie nie chcesz przyznać.

Uniosła głowę i ponad stolikiem spojrzała mu w oczy.

- Mianowicie?

- Jesteś absolutnie uczciwa i w stosunku do siebie, i teraz w stosunku do mnie. Mało kto potrafi przyznać się do swoich wad czy choćby je sobie uświadomić. Ty przyznajesz się do egoizmu, podczas gdy naprawdę egoistyczna osoba wcale by się za taką nie uważała.

- Czy to wszystko mówisz tylko po to, żeby mi poprawić samopoczucie? Żeby mnie uwolnić od wyrzutów sumienia?

- Nie.

- Czy jesteś tego pewien?

- Najzupełniej. Ja też próbuję być uczciwy. Keely westchnęła, a Daxowi się wydało, że w jej

westchnieniu wyczuł ulgę. Uśmiechnęła się.

- Widzisz, że jednak bredziłam. - Docenił jej próbę rozładowania atmosfery.

- No, może troszeczkę - powiedział z uśmiechem.

- W dalszym ciągu mam... mam mieszane uczucia.

- Najprawdopodobniej zawsze będziesz je miała, Keely.

- Tak, najprawdopodobniej. - W jej głosie zabrzmiała nuta melancholii i Keely znów przez chwilę wyglądała przez okno, zatopiona w myślach. Wreszcie spojrzała na Daksa. - Dziękuję ci, że jesteś... że jesteś sobą.

- Ale ja nic takiego nie zrobiłem.

- Wysłuchałeś mnie.

- To nie jest tak wiele.

- Bardzo wiele.

Aby pokryć skrepowanie, zapytał:

- Czy już pójdziemy, czy masz jeszcze na coś ochotę?

- Nie, dziękuję.

Wstali i Dax zostawił na środku stołu zwitek banknotów, po czym skinął głową kelnerowi.

- Co teraz? - zapytał, biorąc Keely pod rękę. - Spacer po mieście, nocny klub czy do łóżka?

Chwilę potrwało, nim dotarło do niego, że Keely stawia mu opór. Odwrócił się i zobaczył, że stoi w miejscu, potrącana przez tłum spieszących ulicą paryżan.

Ich oczy się spotkały. Podszedł do niej, szukając wzrokiem w jej twarzy tego, co tak bardzo pragnął znaleźć.

- Keely?

Nie spuściła wzroku. Odwrotnie: jej oczy stały się jakby większe, a ich zielona głębia mało go nie pochłoneła.

- Pragnę cię - wyszeptała. - Potrzebuję ciebie całego. - Nie słyszał słów, ale odczytał je z ust Keely.

Widziała, jak Dax przełyka ślinę, jak porusza się jego jabłko Adama. Zrozumiał jej intencje. Postąpił jeszcze pół kroku, tak że poczuła muśnięcie jego ubrania, i położył jej ręce na ramionach.

- Wiesz przecież... - Nie mógł wydobyć głosu z zaschniętego gardła.

- Wiesz przecież, że pragnę cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ale nigdy bym sobie nie darował, gdybym w jakikolwiek sposób wpłynął na twoją decyzję. W tej chwili ulegasz emocjom. Jesteśmy po intymnej kolacji we dwoje, z winem i ze świecami, a Paryż to najbardziej romantyczne miasto na świecie. Nie chciałbym, żebyś wspominając tę kolację, kiedykolwiek pomyślała, że wykorzystałem ciebie i twój nastrój.

Ścisnął ją mocniej za ramiona, a jego głos był wyraźnie zdyszany.

- Czy jesteś pewna, Keely? Bo jeśli pójdziemy do hotelu, to już mnie tym razem nic nie powstrzyma. Chcę, żebyś to wiedziała. Powiedz mi, czy jesteś pewna.

No cóż, Paryż jest miastem miłości. Keely wspięła się na palce i ujęła twarz Daksa w dłonie. Kiedy go całowała, odczuła jakby cichą aprobatę przechodniów.

Wynajęli pokój w małym hoteliku przy jednej z uliczek odchodzących od bulwaru Saint-Germain. Dom miał zaledwie trzy piętra. Na pierwszym znajdowały się liczne saloniki i kuchnia do użytku gości na zasadach, które zostały bardzo dokładnie wyjaśnione mocno zniecierpliwionym Daksowi i Keely.

Drewnianymi schodami zaprowadzono ich na drugie piętro. Każde piętro, przedzielone korytarzem, mieściło osiem pokoiów. Boazeria była dębowa, tapeta niemodna, chodniki udawały wschodnie dywany, ale wszystko było nieskazitelnie czyste.

Dax wdał się w swobodną rozmowę z gospodynią, małą, rumianą grubaską o gęstych siwych włosach niedbałe upiętych na czubku głowy. Mają szczęście, przetłumaczył Keely, bo akurat zwolnił się narożny pokój o dwóch oknach. Kobieta uśmiechnęła się i ruszyła zaskakująco lekkim krokiem.

Pokój istotnie miał dwa okna, w samym rogu, ustawione prostopadle do siebie. Gospodyni zademonstrowała im najpierw, jak podnosić zewnętrzne żaluzje, następnie z dumą otworzyła łazienkę i pokazała, jak działają krany, jak się spuszcza wodę, jak używać prysznic w wąskiej wannie i jak korzystać z bidetu. Keely, cała w wypiekach, nie śmiała spojrzeć rozbawionemu Daksowi w oczy.

Upewniwszy się, że nie potrzebują dodatkowych ręczników, koca, wina ani kawy, gospodyni zostawiła ich wreszcie samych. Z wdziękiem, acz stanowczo, odmówiła wzięcia napiwku i życząc im dobrej nocy, zamknęła za sobą drzwi.

Nagle poczuli się onieśmieleni i zdenerwowani. Nie wiedzieli, co zrobić z oczami i rękami.

Wreszcie Keely zsunęła z ramion płaszcz i rzuciła go na poręcz staromodnego fotela na biegunach, stojącego w rogu pokoju. Leżały na nim kolorowe poduszki starannie dobrane do przykrywającej łóżko narzuty z długimi frędzlami.

Dax zdjął płaszcz i wzorem Keely rzucił na bujany fotel, obok którego stała komoda z owalnym lustrem. Keely podeszła do lustra i niewidzącym wzrokiem patrzyła na swoje odbicie. Zaczęła poprawiać włosy. Dax tymczasem zajmował się oknem. W pewnej chwili, jak na dane hasło, odwrócili się do siebie w milczeniu i ruszyli ku sobie, by się

spotkać pośrodku pokoju. Dax unosił właśnie rękę, żeby pogłaskać Keely po policzku, kiedy nagle odskoczyli od siebie gwałtownie, słysząc nieśmiało pukanie do drzwi, które w ich uszach zabrzmiało jak grzmot.

Dax otworzył drzwi. Wśród niekończących się przeprosin gospodyni przyniosła bukiet świeżych kwiatów w porcelanowym wazoniku. Przygotowała je już rano, ale zapomniała postawić. Dax wziął od niej wazonik, podziękował i zamknął drzwi.

Przez chwilę stał bezradnie, z kwiatami w ręku, jakby nie wiedział, co z nimi począć. Spojrzał na Keely.

- Śliczne - powiedziała. - Postaw je na komodzie.

- Rzeczywiście, masz rację. - Był jej wyraźnie wdzięczny za ten pomysł. Rzucił się do komody, jakby wazonik parzył go w rękę. - Ładnie tu wyglądają - skonstatował.

- Owszem, nawet bardzo.

- Może... może chciałabyś pierwsza skorzystać z łazienki? - zaproponował.

- Ja... ja właściwie nie potrzebuję. Może ty pierwszy.

Uśmiechnął się nerwowo.

- Dobrze. Zaraz będę gotów.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, usłyszała wodę leącą z podkręcanych kranów. Zaczęła się zastanawiać, po co mu tyle wody.

Rozejrzała się niespokojnie dokoła. Co robić? Rozbierać się? Wejść do łóżka? Czy rozebrać się całkowicie, czy tylko częściowo? Była przerażona własną głupotą. Miała trzydzieści lat i nie wiedziała, co zrobić, żeby się przespać z mężczyzną.

Wybrała rozwiązanie kompromisowe - postanowiła rozebrać się tylko częściowo. To by świadczyło o zainteresowaniu, ale bez zbytnej skwapliwości. Zdjęła buty i rozpięła pasek. Co z tym zrobić? Schować do szafy? Chyba tak.

Podeszła do wąskiej szafy i otworzyła drzwi. Wstawiła buty i powiesiła pasek na haczyku. Co teraz? Uznała, że najmniej podniecającą częścią garderoby są rajstopy, i postanowiła się ich pozbyć zawczasu.

Nagle szum wody w łazience ucichł. Przeraziła się, że Dax ją zastanie szamoczącą się z rajstopami. Zerwała je z siebie i zwinęła w kulkę. Gałka u drzwi do łazienki zazgrzytała i Keely pospiesznie wrzuciła rajstopy do szafy dokładnie w chwili, kiedy Dax wchodził do pokoju.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Łazienka wolna - powiedział.

- Dzięki. - Złapała torebkę i dała susa do łazienki. Nie było nawet śladu wody, która jeszcze przed chwilą leciała tak obficie. Musiał wytrzeć wannę ręcznikiem, który wisiał teraz na pręcie od zasłony prysznic.

Bez potrzeby umyła ręce. Bez potrzeby uczesała włosy. Wyjęła mały flakonik z torebki i poperfumowała skórę za uszami i szyję. Szkoda, że płakała, widać to było po jej oczach jeszcze w tej chwili. Trudno.

Westchnęła i wyszła z łazienki.

Dax zgasił górne światło, zostawiając tylko lampkę przy łóżku. A łóżko! Łóżko było już przygotowane i śnieżnobiała pościel lśniła w delikatnym blasku lampki nocnej.

Dax czekał na nią bez koszuli i na bosaka. Nie widząc jego ubrania, zaczęła się zastanawiać, czy schował je do szafy i czy nie zauważył przy okazji porzuconych przez nią rajstop.

Cisnęła torebkę na przewieszony przez bujany fotel płaszcz. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Daksa tuż przy sobie.

Czy jej się tylko wydawało, czy rzeczywiście jego ręka drżała, kiedy przesunął nią delikatnie od czubka jej głowy, koło ucha aż do ramienia, na którym spoczęła? W dalszym ciągu trzymając się w pewnej odległości od niej, delikatnie pocałował ją w usta. Ten pocałunek, leciutki dotyk jego warg, był jak rozkoszna męka. Rozchyliwszy z wolna usta i zetknąwszy się językami, poczuli dziwne wzruszenie.

- Keely. - Ręce Daksa błędziły po jej plecach. - Tak długo czekałem na tę chwilę, że wprost nie mogę uwierzyć w swoje szczęście...

- Ale to prawda. - Przysunął się bliżej, tak że czuła go teraz całym ciałem. - Dax - powiedziała z niepokojem -jestem zdenerwowana.

Roześmiał się tuż przy jej uchu.

- Ja też.

- Ty?

- Ja. - Zanurzył palce w jej włosy i przechylił jej głowę do tyłu. - Dlatego, że tak bardzo cię pragnę. - Tym razem pocałunek Daksa był mocny, zachłanny, a jego oddech, tak bliski, przyprawił Keely o dreszcz. Instynktownie wtuliła się w niego i cała samotność, jaką odczuwała dzisiaj, jaką odczuwała przez całe życie, spłonęła w żarze jego uścisku. Zamknął ją w ramionach i wszystkie jej lęki straciły znaczenie wobec faktu, że miała przy sobie Daksa. Pragnęła go tak samo jak on jej. To już nie była próba, tylko ich wspólne doświadczenie. Kiedy nadejdzie ta chwila, będzie wiedziała, jak się zachować.

Cały czas patrząc Keely w oczy, odszukał z tyłu suwak jej sukienki. Zręcznymi palcami znalazł końcówkę i pociągnął w dół, celowo

przedłużając tę czynność. Kiedy dojechał do końca, delikatnie zsunął jej z ramion sukienkę, a następnie schylił się, żeby ją podnieść, podczas gdy Keely, wsparta o niego dla utrzymania równowagi, zgrabnie z niej wyszła. Niemal z szacunkiem poskładał sukienkę i położył na podnóżku koło bujanego fotela.

Wykazał niebywałą wprost dyscyplinę, patrząc teraz nie na ciało Keely, tylko w jej oczy. Objąwszy dłońmi jej szyję, wodził opuszkami palców po jej wilgotnych ustach, które rozchyliły się nieznacznie, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Zsuwając dłonie coraz niżej, aż do obojczyka, czuł w jej gardle delikatne wibrowanie.

Potem powiódł rękami jeszcze niżej, tak wolno, że Keely zamknęła oczy, błagając go w duchu, żeby się pospieszył i jednocześnie rozkoszując się tą powolnością.

Wreszcie natrafił palcami na wypukłości jej piersi i było to cudowne uczucie zamknąć je w dłoniach. Dopiero wtedy spuścił wzrok i spojrzał na to, co robią jego ręce.

Rozpiął klips spinający z przodu jej morelowy stanik, który opadł, ukazując nabrzmiałe pożądaniem sutki.

Keely oczekiwała, że Dax ponowi pieszczotę, dlatego poczuła się lekko zawiedziona, kiedy ujął jej ręce w przegubach i zarzucił sobie na szyję, gładząc ją delikatnie po bokach i jednocześnie przyciągając do siebie.

- Jakie to cudowne uczucie, Keely - wyszeptał bez tchu.

Ukryła twarz w zagłębieniu jego ramienia, ocierając się leniwie o jego tors. Sztywne kędzierzawe włosy łaskotały ją, sprawiając rozkosz.

Nagle Dax zaczął ją całować z żarliwością świadcząca o tym samym zmysłowym pragnieniu, jakie ogarnęło całe jej ciało. Jego usta sięgnęły teraz piersi.

- Muszę cię spróbować, Keely.

- Tak, Dax, tak.

Nigdy dotychczas nie zaznała takich erotycznych odczuć. Czyżby ze wszystkich mężczyzn na świecie jeden Dax wiedział, do czego mogą służyć usta i język i jak sprawiać nimi trudną do opisanego rozkosz? Jakby od jej piersi do najszybszych części ciała wiała się jakaś ukryta nić. Jej kobiecość, nagle rozbudzona, domagała się zaspokojenia.

Zanurzyła palce w jego kruczoczarnych włosach i poczuła, że jego głowa zsuwa się coraz niżej. Wreszcie Dax ukląkł i ostrożnie zsunął jej z bioder halkę. Zaraz potem w ślady halki poszły koronkowe majteczki, które leżąc na podłodze, przypominały morelową piankę. To, co ukazało się jego oczom, pożerał wzrokiem, pieścił dłońmi i ustami. Tłumiąc krzyk rozkoszy, Keely poczuła, że słabnie.

Dax tylko na to czekał. Ujął ją pod kolana i plecy i zaniósł do łóżka, kładąc delikatnie jak bezcenny kruchy przedmiot.

Usłyszała cichy zgrzyt zamka błyskawicznego i już po chwili Dax stał przed nią, wspaniały w swej nagości. Gdyby to nie był on, wyraz głodu i pożądania w jego oczach napełniłby Keely lękiem. Ale jego widok wywołał w niej bolesny skurcz pragnienia.

- Keely, piękna Keely - powtarzał, dopóki swoim ciałem nie wypełnił wszystkich zagłębień jej ciała, aż wreszcie, spleceni w miłosnym uścisku, stopili się w jedno.

Jej krzyk, ostry, przejmujący, dosłownie go poraził.

- O Boże, Keely! - Czułym gestem przytulił jej głowę do ramienia. -
Powiedz, kochanie, czy sprawiłem ci ból?

- Nie, nie - wyszlochała. - Jest tak cudownie, proszę cię, Dax -
błagała go przez łzy.

Złączeni w namiętym uścisku, nagle runęli w przepaść. Świat
przestał dla nich istnieć i tylko ich serca były wspólnym rytmem.

Rozdygotani i słabi, leżeli potem głowa przy głowie, napawając się
intymną bliskością swoich wilgotnych ciał. Mimo że Keely czuła jego usta
przy swoim uchu, głos Daksa, kiedy się wreszcie odezwał, doszedł ją
jakby z oddali.

- Po to żyłem, Keely, dla tej jednej chwili. Po to przyszedłem na
świat. Żeby być z tobą tak jak teraz. Rozumiesz to?

Skinęła głową. Rozumiała doskonale, ponieważ czuła to samo, ale
cud, który się między nimi wydarzył, zbyt mocno nią wstrząsnął, żeby
mogła mówić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Jak długo spałem? - zapytał, otwierając oczy. Leżała wpatrzona w niego. Nigdy dotychczas przebudzenie nie wydawało się Keely takie cudowne.

- Pewnie z jakieś pół godziny. Nie wiem dokładnie. To zresztą nie ma znaczenia. - Wodziła palcami wzdłuż jego kości policzkowych i arystokratycznego nosa aż do srebrnych włosów na skroni.

Przewrócił się na bok, tak żeby móc na nią patrzeć, wyciągnął rękę i przygarnął ją do siebie.

- Jak mogłem zasnąć?

- Musiałeś być bardzo wyczerpany - powiedziała z szelmowskim błyskiem w oczach i objęła go ramieniem.

Żartobliwie poklepał ją po tyłeczku.

- A ty nie?

- Naturalnie, że tak. - Roześmiała się. - Ale nie mogłam zasnąć. - Ciekawskim palcem przesunęła po jego wargach, zastanawiając się, jak mogą być takie twarde, a w zetknięciu z jej ciałem tak miękkie.

Złapał ją za rękę i wyszeptał w nią:

- A dlaczego nie mogłaś?

- Bo coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu - powiedziała cicho, obserwując jego reakcję.

- To znaczy nigdy nie było tak, jak z tobą.

W jego oczach zapaliły się ogniki zaprawionej radością dumy, którą usiłował ukryć.

- Naprawdę? Skinęła głową.

- Naprawdę. - Wszelkie próby porównywania go z Markiem byłyby nie fair. Powiedziała Daksowi wszystko, co powinien wiedzieć.

- To się cieszę. Byłbym nieuczciwy, gdybym powiedział, że jest inaczej.

Keely, zbyt podniecona, żeby powiedzieć cokolwiek więcej, poszukała bardziej neutralnego tematu.

- Czy to w tym miejscu byłeś ranny podczas wojny? - zapytała, wiodąc palcem wzdłuż białej nierównej blizny pod łopatką Daksa.

- Tak. Na szczęście był to kawałek szrapnela, który prawie całkowicie wytracił szybkość, zanim mnie trafił.

Pocałowała to miejsce.

- Szrama jest brzydka, bo zanim uzyskałem pomoc lekarską, minęło kilka ładnych dni. I wdała się jakaś paskudna infekcja. Musieli mi wyciąć z pół kilo ciała. Została niezła dziura.

- Nie mów mi tego. - Pocałowała go w podbródek.

- A ta blizna pod okiem?

- Pobiłem się z kuzynem, jak miałem trzynaście lat.

- Roześmiał się na widok jej rozczarowania. - Tak, zupełnie prozaicznie.

- Jak ten łobuz śmiał ci dokuczać. - Jej uwodzicielski ton zwrócił uwagę Daksa. Ze zdumieniem stwierdził, że Keely nad nim klęka. Włosy opadły jej na twarz, a sylwetka, podświetlona łagodnym blaskiem lampki nocnej, rysowała się ostrym konturem na tle białej pościeli. Zawstydzona, nachyliła się i pocałowała go w usta.

Wyciągnął rękę, chwycił ją i pociągnął na siebie. Tym razem oddał jej inicjatywę. Początkowo nieśmiało, a potem coraz bardziej stanowczo wdzierając się językiem w jego usta. Przypominała mu dziecko, delektujące się lodami. Podciągnąwszy się nieco wyżej, najpierw pocałowała jego bliznę pod okiem, a potem dołek w policzku. Następnie jej usta przesunęły się na jego szyję, a stąd jednym płynnym ruchem na piersi. Wczepiony palcami w jej włosy Dax konwulsyjnie zamykał i otwierał dłonie.

- Boże, jak cudownie - wyszeptał ledwie dosłyszalnie, gdy jej pocałunki stały się śmielsze.

Świadomość, że jest zdolna sprawić mu tyle przyjemności, dodała jej odwagi. Kiedy dotknęła ustami lśniących włosów na jego brzuchu, Dax wstrzymał oddech, na chwilę przestał oddychać. Jego palce, wplątane w jej włosy, szarpnęły boleśnie.

- O Boże... och, jak cudownie. - Szybkim ruchem przewrócił ją na plecy i przykrył własnym ciałem.

Głębokim, mocnym pocałunkiem przycisnął ją do materaca, a następnie uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Najpiękniejszy widok, jaki zapamiętałem, to twoja twarz w chwili spełnienia. Chciałbym to zobaczyć jeszcze raz, Keely.

To wyznanie uczynione szeptem wzmogło tylko uczucia Keely, a jego pieszczoty, to jedwabście delikatne, to drapieżnie zachłanne, doprowadzały ich do spełnienia, które przypominało wspólne umieranie.

O świcie opuścili hotel. Właścicielka ubolewała nad ich pospiesznym wyjazdem. Dax zapewniał ją wielokrotnie, że pokój był wspaniały, ale że ważne sprawy nie pozwalają im przedłużyć pobytu. Kiedy wychodzili, żegnała ich w recepcji ze smutną miną.

Paryż dopiero się budził. Ulice były świeżo umyte nocnym deszczem. Kupcy i handlarze rozpinali markizy i szykowali się do kolejnego dnia pracy. W powietrzu unosił się zapach świeżej kawy i rogalików.

Zatrzymali się na chodniku, koło kawiarenki, która się dopiero otwierała, i poprosili właściciela o śniadanie na wynos. Mamrotał coś pod nosem, ale jako paryżanin z krwi i kości, mający słabość do kochanków, uległ i dał im torebkę rogalików i dwa plastikowe kubeczki parującej kawy. Idąc powoli, bez pośpiechu, pogryzali rogaliki.

Nie mówili o tym, dlaczego muszą wracać do hotelu. Wiedzieli, że muszą. Zamiast tego szeptali i śmiali się na przemian, wymieniając różne intymne uwagi, które przyprawiały Keely o rumieńce, a Daksa prowokowały do żartów.

- Cudownie umiesz kochać - powiedział.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Idealnie. Spuściła oczy.

- Nigdy bym sobie nie darowała, gdybyś o mnie pomyślał, że jestem łatwa czy prymitywna.

- Co ty opowiadasz! - Zebrał resztki śniadania i wyrzucił do kosza na śmieci. Wyciągnął rękę i pogłaskał Keely po policzku. - Jesteś bardzo kobieca. Kocham nie tylko twoją fizyczną kobiecość, ale także twoją finezję i delikatność, twoje wytworne zachowanie i nienaganne maniery. Zachwyciło mnie też, że potrafiłaś odłożyć je na bok przed pójściem do łóżka. Ale nigdy, pod żadnym względem, nie nazwałbym cię łatwą. Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?

- Dax - powiedziała cicho, patrząc na niego oczami pełnymi łez.

- Nie wytrzymam tego już ani chwili dłużej - mruknął i zatrzymał taksówkę.

- Ale czego?

- Muszę cię pocałować zaraz, w tej chwili.

- No, proszę, nikt nie patrzy - powiedziała prowokacyjnie.

- Ale zaczną patrzeć, jeśli cię pocałuję tak, jak mam na to ochotę - ostrzegł ją.

Pomógł jej wsiąść na tylne siedzenie i podał kierowcy adres.

- Powiedziałem, żeby jechał jak najdłuższą drogą - wyszeptał jej do ucha, po czym z zachłannością konającego z głodu przywarł ustami do jej ust.

Całował ją długo, żarliwie, jakby chciał ją w ten sposób naznaczyć piętnem swojej własności. Jakby chciał jej pokazać, że nawet wtedy, kiedy nie są razem w małym hotelowym pokoiku, Keely należy do niego.

Kiedy wreszcie zdołała się od niego oderwać, odepchnęła go lekko od siebie.

- Dax, kierowca.

- Niech się zajmuje swoją dziewczyną - mruknął w odpowiedzi.

Zacząła się z nim szamotać, co go jeszcze bardziej podnieciło. Zanim się zorientowała, do czego zmierza, zdążył wsunąć jej ręce pod płaszcz.

- Dax, czy ty sobie zdajesz sprawę, co robisz?

- Mhm. - Poczul pod rękami jej nieskrępowane niczym piersi, zdołał ją bowiem rano namówić, żeby nie wkładała stanika.

Keely ogarnęła fala gorąca, poddała się jego pieszczotom. Straciła poczucie rzeczywistości. Nie wiedziała, jak długo już jeżdżą po Paryżu -

czy są to godziny, czy minuty - kiedy zorientowała się, że taksówkarz coś do nich woła po francusku.

- Dax - powiedziała i odepchnęła go od siebie stanowczo. - On coś do ciebie mówi.

Dax westchnął, wyprostował się i wygładził ubranie.

- Dojeżdżamy do Crillona. - Zapłacił kierowcy i wyciągnął Keely za rękę z taksówki. Wpadła na niego ze śmiechem, a on zamknął ją w błyskawicznym uścisku, po czym ruszyli do hotelu.

Nagle zamarła. Z naprzeciwka szli Allwayowie. Objęci czule, uśmiechali się do siebie, ale na widok Keely i Daksa, połączonych podobnym uściskiem, na ich twarzach odmalowało się niemiłe zaskoczenie.

Przez chwilę dwie osłupiałe pary patrzyły na siebie w milczeniu. Allwayowie najwyraźniej postanowili iść na spokojne śniadanie we dwoje, z dala od tłumu reporterów i ciekawskich oczu. Spotkanie z dziennikarzami miało się rozpocząć o dziesiątej, chcieli więc spędzić przed męczącym dniem dwie godziny w odosobnieniu i ciszy.

Widok Allwayów wstrząsnął Keely, powodując nawrót wyrzutów sumienia.

Zdradziła przyjaciół, którzy pozostali wierni sobie, swoim ślubnym przysięgom i nadziei, że to drugie żyje, że się jeszcze kiedyś zobaczą.

Zdradziła swojego męża, śpiąc z innym mężczyzną. Ale jej niewierność w sferze seksualnej stanowiła tylko część popełnionej przez nią zdrady. Oddała się Daksowi bez reszty, z całą zarliwością i bez żadnego przymusu. Nie zostawiając nic z siebie dla Marka, gdyby

kiedykolwiek wrócił. Wszystko, co miała, oddała Daksowi. Nie było w niej już miejsca dla nikogo innego.

Zdradziła siebie samą, uważając, że może odłożyć na bok wszelkie skrupuły, jakie żywiła, w imię miłości. Jej uczucie do Daksa nie mogło przecież usprawiedliwić tego, że zdradziła Marka. Miłość oparta na zdradzie i nieuczciwości nigdy nie będzie szczęśliwa. Wiedziała o tym i aż do ostatniej nocy przestrzegała tej zasady. Ale teraz, w świetle dnia i w obliczu ludzi, którzy wytrwali we wzajemnym uczuciu, żeby być razem, Keely zrozumiała, że się oszukuje. Nie ma miłości za darmo. Zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę.

- Właśnie szliśmy na śniadanie. - Bill Allway przerwał niezręczne milczenie, którego Keely nawet nie była świadoma.

- Może poszlibyście z nami...? - spytała Betty uprzejmie, ale zawiesiła głos, nie kończąc zaproszenia. W jej spojrzeniu nie było nagany, Keely poczuła się jednak, jakby miała na czole piętno. Trudno było o bardziej obciążające dowody. Ona i Dax wysiedli z taksówki wczesnym rankiem, w pomiętych ubraniach i z wypiekami na twarzy. Jaki można było wyciągnąć z tego wniosek, poza właściwym? Keely pomyślała, że jeśli nie umrze z poczucia winy, to z pewnością umrze ze wstydu.

- Nie, dziękujemy bardzo - odpowiedziała w ich wspólnym imieniu.

Dax stał milczący i wpatrywał się w ziemię.

- No cóż, to wobec tego idziemy - odezwał się Bill. - Betty? - Wziął ją pod ramię i niemal odciągnął, wpatrywała się bowiem w Keely i Daksa, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- Spójrz na mnie - syknął Dax, kiedy Allwayowie odeszli.

- Nie - odparła i odwróciła się tyłem do niego. Mało jej nie wyrwał ramienia, kiedy ją szarpnął i odwrócił do siebie.

Uniosła głowę i spojrzała na niego buntowniczo. Serce ścisnęło mu się z bólu, kiedy zobaczył na jej twarzy wyraz twardego, zaciętego uporu.

- Wiem, co myślisz, Keely. - W jego głosie słychać było hamowane napięcie.

- Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co myślę.

- Owszem, jestem. Masz poczucie winy z powodu tego, co się wydarzyło w nocy. - Położył jej ręce na ramionach. - Widok Betty i Billa od nowa obudził w tobie wyrzuty sumienia. To rzeczywiście miła, szczęśliwa para. Bardzo się cieszę w ich imieniu. Ale to, co się im przytrafiło, nie ma nic wspólnego z tobą i Markiem.

- Owszem, ma - odparła z uporem. - Betty dochowała wierności, ja nie.

- Wierności komu? Mężczyźnie, którego ledwie pamiętasz? O którym najprawdopodobniej już nigdy nie usłyszysz? - Dax wyrzucał sobie okrucieństwo tych słów, ale nie mógł się zdobyć na delikatność.

- Jeszcze do wczoraj Betty nie wiedziała, że jej mąż żyje. A dziś są już razem. Może i Markowi przydarzy się coś takiego i wróci do domu, ufny, że czeka go żona.

Dax ze zniecierpliwieniem rozejrzał się dokoła, jakby nie mógł słuchać tego, co Keely mówi. Był wyraźnie zrozpaczony.

- Nikła szansa, Keely. A to, co istnieje pomiędzy nami, jest pewne. - W głosie Daksa pojawiła się łagodniejsza nuta, współgrająca z ciepłym wyrazem jego oczu. - Kocham cię, Keely. Ja cię naprawdę kocham.

Przytknęła rękę do ust, zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Nie - jęknęła. - Nie mów mi tego. Nie teraz.

- Będę to powtarzał, dopóki się nie upewnię, że mnie słyszysz.

Kocham cię.

Z nową pełną determinacji siłą zrzuciła z ramion jego ręce.

- Nie! To jest nieuczciwe, Dax. Zawsze było nieuczciwe. Ale ty tego nie widzisz. Nie mam prawa cię kochać, nie jestem wolna. Nie mam prawa cię kochać i nigdy nie będę miała, dopóki się nie dowiem, że Mark nie żyje.

Postąpiła krok do tyłu w obawie, że Dax znów ją weźmie w ramiona i znów wszystko będzie stracone.

- Nie, to niemożliwe. Zostaw mnie... zostaw mnie w spokoju, proszę cię.

Odwróciła się i uciekła, omal nie przewracając mężczyzny, który stał w drzwiach hotelu. Dopiero kiedy wpadła do swojego pokoju i cała we łzach rzuciła się na łóżko, dotarło do niej nagle, że tym mężczyzną był Al van Dorf.

Kiedy Dax biegiem pokonywał odcinek dzielący go od hotelu, miał ściśnięte serce. Nie zdawał sobie jednak sprawy ze swego zmęczenia.

Patrząc dziś rano, jak Keely od niego ucieka, znalazł się na dnie rozpacz. Mało nie zmiażdżył van Dorfa, który pozwolił sobie na jakąś złośliwą uwagę pod ich adresem.

Minął go bez słowa i pobiegł do swego pokoju, gotów walczyć z każdym, kto by się ośmielił stanąć mu na drodze. Chyba nigdy w życiu nie czuł się taki bezradny i wściekły.

Przemierzał pokój i z każdą godziną jego rozgoryczenie rosło. Próbując obiektywnie ocenić sytuację, doszedł do wniosku, że w tej

sprawie nie ma stanowiska słusznego czy niesłusznego. Że nie należy oczekiwać łatwego rozwiązania czy prostej odpowiedzi. Że tam, gdzie w grę wchodzi silne uczucie, zawodzi zdrowy rozsądek. Że decyzję musi podjąć Keely w swoim sumieniu. Boże, jak on się bał tej decyzji!

Kiedy zadzwonił Parker, omal nie wyrwał telefonu ze ściany w nadziei, że może to Keely zmieniła zdanie.

- Tak? - warknął w słuchawkę.
- Poddaję się - roześmiał się Parker.

W Dakcie walczyło upokorzenie z rozczarowaniem; zwyciężyło to drugie.

- Przepraszam. W czym ci mogę pomóc?
- Cieszę się, że o to pytasz, bo istotnie pomoc jest mi potrzebna.

Powinienem być obecny podczas tego porannego spotkania na wypadek, gdyby wynikły jakieś kwestie natury prawnej czy dotyczące stanowiska Kongresu. Ale jednocześnie poproszono mnie, żebym jako przedstawiciel administracji odwiedził tych, co są w szpitalu. Przypuszczam, że prezydent nie miałby nic przeciwko temu, gdybym poprosił jednego z jego ulubionych kongresmanów, żeby mnie w tym zastąpił. Co ty na to?

Dax przeczesał włosy palcami. Ostatecznie co mu szkodzi. Lepsze to niż jeszcze jeden dzień spędzony w tłumie dziennikarzy i fotoreporterów. Jeśli zostanie u siebie, będzie bez przerwy myślał o Keely, a z tego też nic dobrego nie wyniknie.

- Chętnie. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby się ubrać. Jakie informacje będą mi potrzebne?

- Straciliśmy jednego z tych chłopców, Dax. W nocy. Nie przetrzymał.

- Cholera!

- Tak. Przyślę ci do pokoju biuletyn z informacjami o wszystkich.

Jak będziesz gotów, poproś w recepcji o samochód. Nie spiesz się. Nie ma potrzeby. Samolot jest dopiero wieczorem.

- Jaki samolot?

- Niektórzy poprosili, żeby ich zaraz odesłać do domu, i prezydent się zgodził. Ci wszyscy, którzy czują się na siłach, wracają dzisiaj, no i ci spośród delegacji, którzy wyrażą na to chęć.

- A o której jest ten samolot?

- Odlatuje o dwudziestej pierwszej z lotniska de Gaulle'a. Zapiszę ci te wszystkie informacje.

- Dziękuję.

Pojechał więc do szpitala w zastępstwie Parkera. Boże, co by było, gdyby wysłano kogoś innego? Albo gdyby porucznik Gene Cox spał? Co by było, gdyby to Cox był tym nieszczęśnikiem, który nie przeżył nocy?

Daksa przeszył dreszcz, mimo że czuł strużki potu na piersiach. Poły płaszcza trzepotały na wietrze i Dax mocniej ujął torbę. Słyszał stłumiony odgłos swoich kroków na wykładzinie dywanowej pokrywającej podłogę hali odlotów.

Widział wyjście, w którym dalej kłębił się tłum. Na szczęście samolot jeszcze nie odleciał. Na szczęście władze i tym razem czegoś nie załatwiły w porę.

Nie zwracał uwagi na skierowane ku sobie ciekawskie spojrzenia. Zignorował znaki, jakie mu dawał Parker. Niecierpliwym spojrzeniem omiatał halę odlotów, aż wreszcie znalazł w jej drugim końcu samotnie siedzącą postać. Kobieta wpatrywała się w ciemność nocy rozświetloną

jedynie niebieskimi światłami pasa startowego. Widział w szybie jej odbicie, wyraz bezbrzeżnego smutku na twarzy.

Rzucił torbę tam, gdzie stał, i zaczął się ku niej przepychać. Zobaczyła go w szybie, za sobą. Serce mało mu nie pękło na widok jej nieskrywanej rozpacz.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział nagłym tonem.

- Nie - odparła, nie odwracając się nawet do niego. - Wszystko już zostało powiedziane.

Ukląkł koło jej krzesła i zaczął mówić cicho, łagodnie.

- Jeśli chcesz, żeby usłyszał to cały świat, żeby cały świat w tym uczestniczył, to dobrze. Ale wydaje mi się, że mam ci do powiedzenia coś, co wolałabyś usłyszeć bez świadków. Więc jak?

Zdecydowała się na niego spojrzeć. Dax spokojnie wytrzymał jej buntowniczy wzrok. Dostrzegł w jej oczach wahanie.

- Dobrze - powiedziała, wstając. Skinieniem głowy pokazał jej, że ma za nim iść.

Ruszyła posłusznie. Większość pasażerów była albo zbyt apatyczna, albo zbyt zmęczona, żeby zauważyć ich zniknięcie. Kiedy znaleźli się w dużej centralnej hali dworca lotniczego, Dax zaczął się rozglądać, aż wreszcie dostrzegł wnękę z automatami telefonicznymi. Ujął Keely pod łokieć i poprowadził w tę stronę.

Znalazłszy się w miejscu, w którym mogła liczyć na jakieś odosobnienie, spytała:

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Wybaczył jej chłodną wyniosłość, z jaką go traktowała. Wybaczył jej, bo wiedział, że za kilka minut wszystko się zmieni. Byle jak najszybciej mieć za sobą to, co najgorsze.

- Keely - zaczął łagodnie - Mark nie żyje. Nie żyje od chwili, kiedy dwanaście lat temu jego helikopter został zestrzelony.

Nie dała po sobie poznać, jak bardzo nią to wstrząsnęło. Nie było łez, szlochów, hysterii, objawów radości czy smutku - nic poza maską stoickiego spokoju i niezgłębionymi zielonymi oczami, które nie zdradzały żadnych uczuć.

- Czy słyszałaś mnie, Keely? - zapytał w końcu. Skinęła głową.

- T...tak. - Przełknęła ślinę i odchrząknęła. - Skąd wiesz?

Zaczął jej opowiadać o tym, jak w zastępstwie Parkera poszedł do szpitala.

- Po zakończeniu moich oficjalnych zajęć wdałem się w rozmowę z tymi czterema żołnierzami, jak to między weteranami tej samej wojny bywa. Ze zwykłej ciekawości pytałem każdego po kolei o okoliczności ich zaginięcia. Jeden z nich, porucznik Gene Cox, wymienił datę katastrofy swojego helikoptera. Możesz mi wierzyć, Keely, że był to ten sam dzień, kiedy rozbił się helikopter Marka.

Zapytałem Coksa, jak to się stało, i powiedział mi, że maszyna została zestrzelona i kiedy spadła na ziemię, już była w płomieniach. On i pilot zdolali się uratować, zanim eksplodowała. Przedostali się do dżungli, w której dosłownie się roilo, jak się wyraził, od partyzantów Wietkongu. Pilot miał złamane obie nogi i wewnętrzne obrażenia. Umarł w ciągu godziny od chwili katastrofy. Cox przykrył ciało grubą warstwą liści w nadziei, że go partyzanci Wietkongu nie znajdą. I nie znaleźli. Za to Coksa

złapali już następnego dnia i wzięli do niewoli. - Ujął jej ręce i mocno ścisnął. - Keely, ten pilot nazywał się Mark Williams. Był wysokim blondynem i mówił z południowym akcentem.

Dax oczekiwał, że usłyszawszy tę wiadomość, Keely albo oprze się o ścianę, albo poszuka oparcia w jego ramionach. Szykował się na to, że ją przytuli nie jako kochanek, tylko jako przyjaciel, dopóki sama nie zacznie mówić o tym, co to wszystko dla nich dwojga oznacza. Spodziewał się łez żalu nad zmarnowanym młodym życiem czy słów goryczy pod adresem wojny, która pochłonęła tyle ofiar. Ale jej reakcja przeszła jego wszelkie oczekiwania.

Wyrwała mu ręce, jakby się odżegnywała od czegoś obrzydliwego. Roześmiała się szorstko, nieprzyjemnie, z pogardą.

- Jak mogłeś, Dax? - powiedziała, cedząc słowa z nienawiścią. - Czyje sumienie chciałeś ocalić: swoje czy moje?

Patrzył na nią w niemym zdumieniu.

- Ale dla...

Znów usłyszał ten koszmarny śmiech.

- Nie wątpię, że porucznik Cox opowiedział ci swoją historię. Ale ten zbieg okoliczności, że pilot nazywał się Mark Williams i że miał południowy akcent? Nie, to wydaje mi się szyte zbyt grubymi nićmi. Czy myślisz, że jestem aż tak naiwna, że uwierzę w tę całą historię?

Wyraz bezgranicznego zdumienia na twarzy Daksa ustąpił surowemu skupieniu. Usiłował pohamować narastającą irytację. Z trudem zdołał opanować gniew.

- Do diabła, przecież ci mówię szczerą prawdę - syknął przez zęby. - Dlaczego miałbym kłamać w sprawie tak ważnej?

- Bo dziś rano powiedziałam ci, że nie mogę do ciebie należeć, że nie możemy marzyć o wspólnym życiu, dopóki się nie dowiem, jakie są losy Marka. Przypuszczam, że po prostu zρέcznie wplotłes nazwisko Marka w historię, którą ci opowiedział tamten człowiek. To by się układało w zgrabną logiczną całość, nie uważasz? - Gniewnym ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu. - Jest pan znany, kongresmanie Devereaux, z tego, że osiąga pan to, co chce, różnymi środkami -uczciwymi czy nieuczciwymi. Widzę, że ta opinia jest w pełni uzasadniona.

Jego dumni przodkowie wybacжали wiele, poza jednym: nikt nie miał prawa rzucać cienia na dobre imię Devereaux. Podobnie było z Daksem: potrafił wybaczyć wszystko, poza zarzutem nieuczciwości.

Wyprostował się na całą swoją wysokość i spojrział na nią z ogniem w czarnych oczach.

- W porządku, Keely. Wierz w to, co chcesz. Możesz nawet poświęcić swoje życie. Oszczędzać miłość jak jakiś cholerny skąpiec. Musisz się świetnie czuć w narzuconej sobie roli męczennicy. Stawia cię to wyżej od nas wszystkich - zwierząt. Ale pamiętaj, święci szybko się nudzą.

Odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku płyty lotniska. Chociaż serce pękało mu z bólu, duma nie pozwoliła za nią zawołać. Jak mogła po tamtej nocy posądzić go o coś tak niskiego. Tamtej nocy... Ukrył twarz w dłoniach, usiłując wyrzucić z pamięci chwile wspólnej radości, miłosnej ekstazy. To niemożliwe, żeby pomyślała...

- O, widzę, że dziewczyna uciekła?

Przeciągły głos Ala van Dorfa natychmiast sprowadził go na ziemię. Opuścił ręce, rozejrzał się i zobaczył znienawidzony uśmieszek. Van Dorf

stał oparty o ścianę we wnęce na automaty. Jego zaprawiona szyderstwem arogancja stała się przysłowiową kroplą, która przepełniła czarę.

Jak na zawołanie wróciła cała sprawność zdobyta podczas służby w piechocie morskiej. Rzucił się na reportera i zanim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje, został z całą siłą przygwożdżony do ściany. Trzymając jego ręce z tyłu w żelaznym uścisku, Dax wpakował mu kolano w krocze. Van Dorf, z przekrzywionymi okularami, wydał wysoki, zawodzący jęk. Poczul na gardle potężne jak żelazna sztaba ramię Daksa.

- O jeden raz za dużo otworzyłeś swoją paskudną gębę, van Dorf.

- Widziałem...

- Nic nie widziałeś. I nic nie słyszałeś. A w każdym razie nic, co mógłbyś udowodnić. Jeśli jeszcze raz pozwolisz sobie na jedną z tych swoich ohydnych insynuacji, wystąpię przeciwko tobie do sądu o naruszenie dóbr osobistych i zażądam takiego odszkodowania, że nawet jak przegram, twoja dziennikarska pozycja zostanie zrujnowana i najgorszy szmatławiec nie skorzysta z twoich usług. A do tego jeszcze urządzę cię tak, że się nie pozbierasz. Czy wyrażam się jasno?

Dla podkreślenia wagi swoich słów Dax głębiej wpakował van Dorfowi kolano w krocze, na co tamten odpowiedział żalonym zawodzeniem, potwierdzając tym samym opinię tchórza, za którego Dax i tak go uważał.

- Zadałem ci pytanie, van Dorf: czy wyrażam się jasno?

Mężczyzna pokiwał głową na tyle, na ile pozwoliło mu ramię Daksa. W dzikim spojrzeniu kongresmana kryła się bowiem groźba, że w każdej chwili może zmienić zdanie i go zabić. Z wielką ulgą poczul, jak chwyt Daksa stopniowo słabnie.

- To, co powiedziałem, odnosi się także do pani Williams. Jeżeli zobaczę, że w choćby jednym napisanym przez ciebie słowie jest zawarta jakaś insynuacja, zabiję cię. Zapamiętaj to sobie.

Z pogardą odwrócił się od oszołomionego van Dorfa, poszedł po torbę, która stała tam, gdzie ją zostawił, i czując na sobie brzemię straszliwej samotności, stanął pod ścianą, czekając na mocno spóźniony samolot do Stanów Zjednoczonych.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Księżyc tkwił na niebie po prawej stronie samolotu. Keely wyglądała przez okno po lewej, gdzie jedynie lekka srebrzysta poświata rozjaśniała ciemną noc. Gwiazdy wydawały się nieprawdopodobnie dalekie. Chmury pod maszyną tworzyły grubą nieprzenikalną warstwę.

- Śpisz? - To pytanie wyrwało ją z zamyślenia. Keely odwróciła głowę i zobaczyła pochylającą się nad nią Berty Allway. Od chwili kiedy siedzący obok reporter uznał jej ponure milczenie za sygnał, że nie ma co liczyć na rozmowę, i przesiadł się w inne miejsce, została sama.

- Nie - odparła.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli na chwilę koło ciebie usiądę?

Keely potrząsnęła głową i wzięła z pustego fotela swój płaszcz, którego zadaniem było zniechęcanie ewentualnych amatorów wolnego miejsca.

- A co robi Bill? Śpi?

- Tak - odparła Berty. - Jest zaniepokojony tym, że się tak szybko męczy. Muszę na niego uważać, żeby przynajmniej na początku nie brał na siebie za dużo. I on, i wojsko pewnie będą chcieli w kilka tygodni nadrobić te czternaście lat. Moja w tym głowa, żeby do tego nie dopuścić.

Keely uśmiechnęła się ciepło.

- Masz prawo do pewnej zachłanności.

Przez chwilę siedziały w niezręcznym milczeniu. Keely nie mogła zapomnieć zdumionego spojrzenia Betty na widok jej i Daksa wysiadających wczesnym rankiem z taksówki. To cud, że w ogóle chciała

się do niej odezwać. Po tym, co razem przeszły, byłoby jej przykro stracić przyjaźń osoby, którą tak bardzo ceniła.

- Keely - zaczęła Betty nieśmiało. - Nie chcę się pchać na siłę, ale robisz wrażenie osoby, której przydałaby się rozmowa z kimś bliskim. Nie mam racji?

Keely opadła na oparcie i zamknęła oczy.

- Zaczynam odczuwać odprężenie. Po tych trzech dniach jestem wykończona. Myślałam, że się nigdy nie skończą. Zawsze źle znosiłam zmęczenie. - Próbowała się uśmiechnąć, ale efekt był żalospny.

- Nie, Keely, to nie tylko to. Mam wrażenie, że sprawa w znacznej mierze dotyczy Daksa Devereaux. - Betty wzięła Keely za rękę. - Zakochałaś się w nim, prawda?

Miała ochotę skłamać, gwałtownie zaprzeczyć. Ale co by jej z tego przyszło? Tyle razy Betty widziała ich razem, że bez trudu domyśli się prawdy. Słyszała prowokacyjne, pełne insynuacji pytania van Dorfa. Nic więcej sobie o niej nie pomyśli ponad to, co wie i tak. Odwróciła się do Betty i patrząc jej prosto w oczy, odpowiedziała:

- Tak, jestem w nim zakochana.

- Ach - odparła w zadumie przyjaciółka. - Tak też myślałam. Czy mogę być niedyskretna i zapytać od kiedy?

- Od tamtego naszego wyjazdu do Waszyngtonu na przesłuchanie w Kongresie. Poznaliśmy się wtedy w samolocie. Ja nie wiedziałam, że on jest członkiem komisji, on nie wiedział, że Keely Preston i pani Williams to jedna i ta sama osoba.

- Rozumiem.

- Nie sądzę, żebyś rzeczywiście rozumiała. Ja... myśmy o to nie zabiegali. Oboje staraliśmy się to zwalczyć. Zwłaszcza ja. Ale...

- Keely, nie musisz uzasadniać miłości. - Berty nie wypuszczała ręki przyjaciółki, gładząc ją delikatnie. - A czy on wie, co ty do niego czujesz?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że... że musi, ale... ale myśmy się pokłócili. Zrobił coś... - Keely potarła czoło wolną ręką. - A zresztą nieważne. Z tak wielu względów cała ta historia jest niemożliwa...

- Ale głównie z jakiego? - próbowała ją naprowadzić Betty.

Keely popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Głównie z tego, że w dalszym ciągu jestem mężatką i nie wiem, czy mój mąż żyje czy nie. Twoja sytuacja się zmieniła, Betty. Moja nie. Nie rozumiesz? Już zapomniałaś? - Keely natychmiast zawstydziała się swojego napastliwego tonu. - Przepraszam, Betty. Sama nie wiem, co mówię.

- Nie przepraszaj, Keely. Myślę, że rozumiem konflikt uczuciowy, jaki przeżywasz. Może już za długo cierpiałaś. Może powinnaś wziąć pod uwagę uznanie Marka za nieżyjącego i wyjść za mąż za swojego kongresmana? - Gdyby Betty powiedziała, że właśnie zamierza wyskoczyć z samolotu, Keely nie byłaby chyba bardziej zdumiona. Po latach prowadzenia kampanii przeciwko uznaniu zaginionych za zmarłych, po wielokrotnych przysięgach, że nigdy nie stracą nadziei na pomyślne rozwiązanie sprawy - po tym wszystkim... Keely nie wierzyła własnym uszom.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedziała.

- Owszem, bardzo poważnie - odparła Betty z napięciem w głosie.

- Ale...

- Keely, chcę ci coś wyznać. Ja cię przez te wszystkie lata wykorzystywałam. Nie, pozwól, że dokończę - dodała, widząc, że Keely chce jej przerwać. - Zrobiłaś w naszej sprawie bardzo dużo dobrego. Byłaś jej idealną rzeczniką. Jesteś inteligentna, ładna i dobrze ustawiona zawodowo. Dzięki tobie zyskałyśmy wiarygodność. Dzięki tobie nie traktowano nas jak gromady rozhisteryzowanych bab.

Muszę się przyznać - ciągnęła Betty - że od czasu naszego wyjazdu do Waszyngtonu mam wyrzuty sumienia, że w jakiś sposób, choć delikatnie i bez złych intencji, zachęcałam cię do tego, żebyś poświęciła swoją młodość, energię i miłość pamięci Marka. Przypominam sobie nawet, jak cię ostrzegałam przed narażaniem dobrej opinii dla takiego mężczyzny jak Dax.

- Nigdy nie zrobiłam nic takiego, czego bym nie chciała zrobić, Betty. Moja motywacja w tej chwili jest tak samo silna, jak była.

- Ale teraz masz inną motywację, równie silną. Jeśli kochasz tego człowieka, Keely, a przypuszczam, że tak jest, bo inaczej nie miałabyś takiego poczucia winy, to powinnaś z nim być. A sądząc z jego zachowania w stosunku do ciebie, to uczucie jest wzajemne. On cię potrzebuje, Keely. To żywy człowiek z krwi i kości. Obecny tu i teraz. A Mark nie. I może go nigdy nie będzie.

Keely obrzuciła przyjaciółkę gniewnym spojrzeniem.

- Jak możesz mówić coś podobnego? Jeszcze niecały tydzień temu nie miałaś pojęcia, że Bill kiedykolwiek wróci do domu. A teraz go masz.

- Ku swej rozpaczycy Keely nie mogła powstrzymać łez. - Czekalaś przez te wszystkie lata. Byłaś... byłaś wierna.

- Tak. Ale ja miałam trójkę dzieci, które musiałam brać pod uwagę. A poza tym przeżyłam z Billem dziesięć wspaniałych lat, które byłoby znacznie trudniej zapomnieć niż te twoje kilka tygodni z Markiem. Myśmy przeżyli razem kawał życia. Ty z Markiem nie. Nie mogę ci mówić, co masz robić. Mogę ci tylko powiedzieć, że jeśli chcesz być z Daksem, to powinnaś z nim być. Nie poświęcaj waszego wspólnego szczęścia dla mrzonki.

Keely potrząsnęła głową, nieświadoma łez, jakie płynęły jej strumieniami po policzkach.

- Za późno, Betty. Nie zgadzam się z tobą. Nie mogłabym zdradzić sprawy, o którą walczyłam tyle lat. Nie mogę opuścić Stowarzyszenia. Są jeszcze ludzie, którzy na mnie liczą. Zwłaszcza teraz, kiedy wrócili ci zaginieni i zaświtała nowa nadzieja, że może otworzą się kanały informacyjne, których istnienia dotychczas nawet nie podejrzewaliśmy. Ale niezależnie od tego wszystkiego i tak nie mieliśmy z Daksem szans. Jeśli nawet była między nami nić uczucia, to już jej nie ma.

Spojrzała na Betty, która pomyślała, że chyba jeszcze nigdy w takiej młodej twarzy nie widziała tyle smutku i rozczarowania.

- Otrząsnę się z tego wszystkiego, jak tylko wrócę do Nowego Orleanu do pracy.

Keely nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nieuzasadnione okaże się to przewidywanie. Była tak wyczerpana tym wszystkim, co wydarzyło się w Paryżu, jak również nieustannymi wywiadami, których udzielała w Waszyngtonie podczas krótkiej przerwy w locie, że znalazłszy się wreszcie w domu, zdjęła słuchawkę z widełek, zabarykadowała się w mieszkaniu i przespała dwadzieścia cztery godziny.

Kiedy się wreszcie obudziła, stwierdziła, że ostatki są w pełni. Znalazienie miejsca do zaparkowania samochodu było prawie niemożliwe. Na stolik w restauracji czekało się godzinami. Żeby przejść chodnikiem, należało ominąć poustawiane ławki i przedrzeć się przez tłumy świętujących. W obecnym stanie ducha sama myśl o zabawie wydawała jej się odpychająca.

Zadzwoiła do swojego pracodawcy i poprosiła o kilka dni wolnego. Po uzyskaniu niechętniej zgody spakowała się i pojechała do Missisipi odwiedzić rodziców.

Zatroskani jej ponurym nastrojem, chodzili koło córki, starając się jej nie denerwować. Keely miała dobry apetyt, spała tyle, na ile pozwalały jej różne, nie zawsze przyjemne sny, i chodziła na długie samotne spacerki. Krótka wizyta w domu opieki, w którym przebywała pani Williams, niemal całkowicie zburzyła równowagę, jaką udało się jej odzyskać. Wróciła do Nowego Orleanu przekonana, że już nigdy nic na świecie nie będzie normalne.

Wydawało jej się, że w pracy wszyscy traktowali ją z demonstracyjną uprzejmością. Czowała się jak świeżo wypuszczony pacjent szpitala psychiatrycznego. Nienawidziła protekcyjnego, jak się wydawało, tonu, jakim się do niej zwracano, pełnych współczucia spojrzeń i fałszywej radości.

Nicole, której obce były wszelkie stany depresyjne, trzymała się od Keely z daleka. Zadzwoiła jedynie kilka razy, składając jej wyrazy współczucia. W każdym razie nie poruszała tematu Daksa Devereaux. Raz wspomniała, że czytała o jego stale wzrastającej popularności związanej z działaniami na rzecz zaginionych. Ponieważ Keely tego nie skomentowała,

Nicole zrozumiała i więcej do tego tematu nie wracała. Ale wystarczyło na nią spojrzeć, żeby się zorientować, że spokój Keely jest tylko pozorny. A Nicole, tak jak i wszyscy inni, nie chciała być odpowiedzialna za jego zburzenie.

Po trzech tygodniach takiej powściągliwości wprosiła się do Keely na kolację.

- Czy możesz w to uwierzyć? Jest sobotni wieczór, a ja nie mam randki. Postanowiłam przyjść do ciebie na kolację i zamawiam sobie spaghetti, a do tego dużo cudownego tuczącego sera.

Keely roześmiała się.

- Najbardziej nie lubię certujących się gości. Na co masz jeszcze ochotę?

- Na czekoladowe ciasto przekładane twarożkiem i orzeszkami.

- Coś jeszcze? - spytała Keely rzeczowo.

- Mnóstwo francuskiego pieczywa.

- Jeszcze coś?

- Nie - odparła Nicole beztrąsko. - Wino przyniosę sama.

Nicole dotrzymała słowa. O siódmej wieczorem Keely, w dzinsach i bluzie, wpuściła przyjaciółkę, ubraną równie niedbale i niosącą pod każdą pachą butelkę czerwonego wina.

- Szykuję się na wielką wyzerkę. Na brak randki w sobotę jest tylko jeden sposób: obezreć się na pocieszenie do nieprzytomności. A poza tym coś mi wczoraj zaszkodziło i przez cały dzień nie mogłam nic jeść. Należy mi się prawdziwa uczta.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego, a już w każdym razie zaraźliwego - powiedziała Keely, prowadząc Nicole do kuchni.

- Z pewnością. Przypuszczam, że to zwykła jednodniowa niedyspozycja.

- W każdym razie na wszelki wypadek nie chuchaj na mój talerz.

- Nie ma oba... - Nicole urwała, słysząc dzwonek u drzwi. - Do diabła! Kto to może być? Wyglądam fatalnie i nie chciałabym, żeby mnie ktoś zobaczył.

- Nie mam pojęcia, kto to może być. Nikogo oprócz ciebie nie zapraszałam.

- Ktokolwiek to jest, pozbędę się go bardzo szybko. Nie mam zamiaru z nikim się dzielić tak smakowicie pachnącym jedzeniem.

Nicole rzuciła się do drzwi, zostawiając gospodynię na straży spaghetti. Keely odwróciła się dopiero, gdy usłyszała jej dziwnie ściszony głos.

- Keely, to ktoś do ciebie, jakiś wojskowy. Chce się z tobą zobaczyć.

- W niebieskich oczach Nicole malowało się zdumienie.

- Wojskowy? - Keely upuściła drewnianą łyżkę. Nicole skinęła głową.

Keely wyminęła ją i wycierając ręce w ściereczkę, poszła do salonu. Wojskowy stał, nerwowo mnąc w ręku czapkę. Był blady i chudy i wyglądał na kogoś, kto świeżo przeszedł ciężką chorobę. Jego dłonie i stopy robiły wrażenie za dużych w stosunku do całej chudej postaci. Przy krótko, po wojskowemu przyciętych włosach jego uszy wydawały się wprost ogromne. Mógł mieć około trzydziestu lat, chociaż głębokie bruzdy wokół ust przydawały mu wieku.

- Jestem Keely Preston-Williams. Pan chciał się ze mną widzieć?

- Tak, pani Williams. Pozwoli pani, jestem porucznik Gene Cox.

Nazwisko gościa podziało na nią jak cios między oczy. Zachwiała się i złapała oparcie krzesła. W uszach dzwoniło jej tak głośno, że prawie nie słyszała krzyku przestraszonej Nicole. Odsunęła jednak jej pomocne ramię, próbując wziąć się w garść.

- Proszę bardzo, niech pan siada - powiedziała zachrypniętym głosem.

Wojskowy był wyraźnie speszony tym, że swoim pojawieniem się wywołał taką reakcję. Z twarzy Keely odpłynęła krew, usta miała sine. Mężczyzna usiadł w obawie, że jeśli nie zastosuje się do jej życzenia, to jego gospodyni natychmiast zemdleje. Keely opadła na krzesło obok i nachyliła się do gościa.

- Czy można wiedzieć, w jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć? - spytała.

Zerknął w stronę Nicole, jakby oczekiwał od niej rady, jak ma rozmawiać z tą roztrzęsioną kobietą, ale na jej delikatne skinienie z powrotem przeniósł spojrzenie swoich szczerych niebieskich oczu na pełną napięcia twarz Keely.

- Dowiedziałem się o pani w Paryżu. Byłem tam w szpitalu, ale informowali nas o wszystkim, co się dzieje. To... to chyba kapelan powiedział nam o Stowarzyszeniu i... w ogóle. - Spojrzał na swoje ręce, w dalszym ciągu miętosząc czapkę. - Wszystko działo się tak szybko, że już naprawdę nie wiem, co mi kto mówił.

- Przykro mi - powiedziała łagodnie Keely. - Nie chciałabym pana naciskać. Niech pan się nie spieszy. Proszę mi powiedzieć, w jakiej sprawie pan przyszedł.

- No więc, jak już mówiłem, dowiedziałem się o pani działalności w Stowarzyszeniu i o pani przyjeździe do Paryża. Przepraszam bardzo, pani Williams, ale czy kongresman Devereaux nie powtórzył pani tego, co mu mówiłem w szpitalu? To znaczy... byłem przekonany, że zaraz potem, jak wspólnie ustaliliśmy, że to najprawdopodobniej razem z pani mężem zostałem zestrzelony... kongresman Devereaux poszedł z tą wiadomością do pani.

Keely zignorowała okrzyk Nicole.

- Tak, owszem, mówił mi o tym, ale...

- Widziałem się z kongresmanem w ubiegłym tygodniu w Waszyngtonie. Bo ja wróciłem do domu o pięć dni później niż wszyscy. Byłem w dość kiepskim stanie - dodał zawstydzony. - Przepraszam, że znów zbaczam z tematu. No więc widziałem się z kongresmanem w Waszyngtonie i spytałem go, jak pani przyjęła tę wiadomość. Powiedział mi, że pani nie jest przekonana, że pilotem tamtego helikoptera był pani mąż. Oczywiście i ja nie mam co do tego stuprocentowej pewności, ale przyniosłem pani dzisiaj coś, co może pomogłoby sprawę wyjaśnić.

Wojskowy włożył rękę do kieszeni na piersi, a Keely zamarło serce. Było to niemożliwe. A jednak! Gene Cox wyjął z kieszeni medalik na srebrnym łańcuszku. Poznała go natychmiast.

- Ten Mark Williams, ten pilot, nosił to razem ze znaczkiem identyfikacyjnym na szyi. Tuż przed... tuż przed śmiercią poprosił mnie, żebym to pani oddał, naturalnie jeśli przeżyję. Kiedy partyzanci Wietkongu wzięli mnie do niewoli, zabrali mi znaczki identyfikacyjne, jego i mój, a to ich nie interesowało, więc mi oddali. Przez cały czas nosiłem to przy sobie. Nie wiedziałem oczywiście, czy kiedykolwiek będę

miał okazję oddać pani tę pamiątkę, ale nigdy się jej nie pozbyłem. Nigdy jej nie wymieniłem na jedzenie ani na nic. Obiecałem mu, że tego nie zrobię. - Onieśmielony podał Keely pociemniały medalik.

Ledwie zdołała go wziąć od Coksa, tak bardzo trzęsły jej się ręce. Patrzyła na medalik ze świętym Krzysztofem, który ofiarowała Markowi w dniu ich ślubu. Odwróciła go i przeczytała napis, który kazała na nim wygrawerować: „Niech cię Bóg ma w swojej opiece”. Była też i data. Z oczami pełnymi łez gładziła palcem poczerniałe srebro.

- Poznajesz to? - usłyszała za sobą cichy głos Nicole. Ze ściśniętym gardłem skinęła głową. Gene Cox poprawił się na kanapie.

- Niestety, nie mogę pani powiedzieć, że nie cierpiał; cierpiał bardzo. Miał połamane nogi i wy... wymiotował krwią. Ale umarł jak bohater. Dokoła latały płonące szczątki maszyny, a on cały czas pytał o innych. Bo oprócz niego i mnie było jeszcze trzech ludzi w helikopterze. Nie pamiętam już tak dokładnie. Pamiętam tylko, że musiałem z nim walczyć, żeby dał się wyciągnąć z tej polany i żebyśmy się mogli schować w dżungli. Ale... ale kiedy przyszedł koniec, był bardzo spokojny. Powiedział nawet coś takiego, że woli umrzeć niż wrócić do pani jako kaleka.

- Nie miał racji - powiedziała Keely ochryłym głosem.

- Tak, być może, ale ja rozumiem, co czuł. – Cox odchrząknął głośno. - Moja... moja żona trzy lata temu wyszła za mąż za innego. Przyjechała w zeszłym tygodniu do Waszyngtonu zobaczyć się ze mną. Ledwie ją poznałem. A ona pewnie mnie wcale. Keely podniosła na niego wzrok.

- Tak mi przykro.

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami, odkaszlnął i wstał.

- Mam nadzieję, że moja wizyta pomogła przynajmniej wyjaśnić pani sprawę.

Keely podeszła do Coksa i wiedziona impulsem serdecznie go uściskała.

- Dziękuję, dziękuję panu bardzo - szepnęła mu do ucha.

- Jestem zadowolony, że mogłem to dla pani zrobić. Szkoda, że nie mam wiadomości dla wszystkich pozostałych. Czasami nam się wydawało, że jesteśmy jedynymi dwudziestoma sześcioma facetami, którzy tam zostali. Strach pomyśleć, że może być jeszcze ze sto razy tyle ludzi, o których nic nie wiadomo. - Zwrócił się ku drzwiom.

- Poruczniku Cox, mam do pana jeszcze jedno pytanie.

- Słucham panią.

- Czy pokazał pan ten medalik kongresmanowi Devereaux?

- Pokazałem.

Keely splotła ręce.

- I co powiedział?

Wzrok Coksa powędrował znów do Nicole, a potem z powrotem do Keely.

- On... on powiedział, że będzie lepiej, jeśli to ja sam przyniosę pani ten medalik.

Przed wyjściem Cox zapisał sobie telefon Keely i obiecał być z nią w kontakcie. Zgłosił też gotowość pomocy, gdyby Stowarzyszenie zechciało z nim współpracować.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Keely oparła czoło o ich twardą gładką powierzchnię i mocno zacisnęła pięść na medaliku.

- Siadaj - powiedziała Nicole, otaczając ją ramionami i odwracając do siebie. Keely dała się zaprowadzić do kanapy i posadzić. Nicole usiadła obok, gładząc ją po włosach i po plecach.

- Teraz już wiesz, Keely. Przykro mi bardzo z powodu Marka, ale już teraz przynajmniej wiesz.

- Tak.

- Na razie jest ci ciężko, ale za kilka dni poczujesz taką ulgę, że będziesz jak nowo narodzona. Zaczнеш normalnie żyć. - Nagle Nicole przerwała i spytała ni z tego, ni z owego: - Keely, czy Dax powiedział ci o Marku w Paryżu? - Keely skinęła głową. - I tyś mu nie uwierzyła? - Z tonu Nicole wynikało, że zdumiewa ją postawa przyjaciółki.

- Nie! - Nicole aż odrzuciło do tyłu, z takim impetem Keely zerwała się na nogi. - Nie, nie uwierzyłam mu! - wykrzyknęła z rozpaczą.

- Dlaczego mu nie uwierzyłaś? Keely, co się z tobą, na miłość boską, dzieje?

- Nie wiem - jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach. - Myślałam, że może to po prostu z jego strony nieczysta gra.

- Gra! Dax Devereaux nie musi uciekać się do żadnych gier.

- Ja wiem, wiem, ale byłam taka oszołomiona. To wszystko wydawało się takie nieprawdopodobne, takie naciągane. I z tym moim poczuciem winy... - Keely ugryzła się w język.

- Z jakim znów poczuciem winy? - Kiedy Keely próbowała unikać wzroku przyjaciółki, Nicole podeszła do niej i ujęła jej twarz w dłonie. - Z jakiego powodu miałabyś mieć poczucie winy?

- Bo ja z nim spałam! - wykrzyknęła i odepchnęła Nicole.

- No to co?

- No to to, że w dalszym ciągu byłam żoną Marka. Bo przecież dowiedziałam się o nim dopiero po spędzeniu nocy z Daksem...

- No nie! - Nicole z oburzeniem odrzuciła głowę do tyłu. - Chyba nie chcesz mi wmawiać, że masz wyrzuty sumienia z tego powodu, że zdradziłaś człowieka, który nie żyje od dwunastu lat!

- Ale ja nie wiedziałam...

- Już to mówiłaś. Nie mogę tego więcej słuchać! - wrzasnęła Nicole.
- Czy spędziwszy dwanaście lat jak westalka, zamierzasz skazać się znów na bezterminowy czyściec? Przecież spałaś z człowiekiem, którego kochasz! A twój mąż nie żyje od dwunastu lat! Wytłumacz mi więc, na czym polega twój grzech.

- Ty nic nie rozumiesz - wybuchnęła Keely.

- Masz całkowitą rację, rzeczywiście nic nie rozumiem. Owszem, mogłabym to zrozumieć u jakiejś niezrównoważonej idiotki - że latami pielęgnuje w sobie żalobę i wyrzuty sumienia jako coś w rodzaju parasola ochronnego. Ale przecież ty jesteś inteligentną, energiczną, piękną dziewczyną i w tym, że tak bezsensownie tracisz życie, jest coś chorego i nienormalnego. Ile aureoli świętości może potrzebować w niebie jedna osoba? Jak myślisz? Muszę powiedzieć, że mam już wyżej uszu twojego cierpienia i twoich poświęceń. Jeżeli chcesz, to podsycaj w sobie dalej ten smutek, rozdrapuj rany, ale beze mnie. Ja mam tego serdecznie dość.

Odwróciła się na pięcie i porwawszy swoje wino, wybiegła.

Keely rzuciła się na łóżko, próbując wymazać z pamięci obrazy, dźwięki, wspomnienia, ale wszystko na nic. Zachowanie Nicole bardzo ją zabolalo. Wieczorem, po wepchnięciu w siebie całego jedzenia przeznaczonego na dwie, zasnęła, tonąc we łzach. Niedzielny ranek

spędziła pracowicie, przesadzając kwiatki na patio. Ale nawet kiedy zrobiła już wszystko, i tak jeszcze zostało jej bardzo dużo czasu na rozmyślania. Nigdy dotychczas nie witała pory spania z taką radością jak teraz.

Ale sen nie przychodził. Kolejny raz odtworzyła w pamięci swoją kłótnię z Nicole, a potem od nowa zaczęła przeżywać scenę porannego przebudzenia w ramionach Daksa.

Postanowili, że zanim rozstaną się z tamtym małym paryskim hotelikiem, zrobią użytek z łazienki, stanowiącej taką dumę właścicielki.

- Niech się tobą nacieszę - szepnął, kiedy stali naprzeciwko siebie w wąskiej wannie.

- Nigdy nie miałam dobrego celu, jeśli chodzi o takie urządzenia - powiedziała, trzymając w ręku końcówkę prysznica.

- A ja mam wspaniały cel.

- Nie wątpię - zaszcebiotała i przylgnęła do niego całym ciałem. Uniósł do góry czarne brwi.

- Czy mi się wydaje, czy słyszę tu jakieś dwuznaczności?

- Nie wiem, co masz na myśli. - Zatrzepotała rzesami, udając niewiniątko.

- Wiesz, wiesz, i to bardzo dobrze - mruknął i żartobliwie złapał ją zębami za ramię, po czym schylił się i odkręcił krany. - Jaki wolisz prysznic: ciepły czy zimny?

- Raczej ciepły.

- Bardzo proszę, oto gorący prysznic. - W tym momencie rozległ się wrzask, ponieważ od stóp do głów zostali oblani lodowatą wodą.

- Zrobiłeś to naumyślnie - powiedziała, kiedy wreszcie temperatura wody się wyrównała i Keely odzyskała oddech.

- Nic podobnego, przysięgam, nie chciałem - roześmiał się Dax.

Kiedy już byli dostatecznie mokrzy, zaczęli się nawzajem mydlić, aż wyglądali jak dwa białe bałwanki.

- Zmyjesz mi całą skórę - protestowała, widząc, że Dax szczególną uwagę poświęcił jej piersiom, masując je delikatnie namydlonymi palcami.

- Z tego wynika, że muszę się przenieść w inne miejsce. - Starannie spłukał prysznicem wszystko, co dotychczas namydlił.

- Muszę się ogolić. - Przejechał palcami po brodzie i spojrzał w lustro. Na koniec wyszli z wanny i zaczęli się nawzajem wycierać puszystymi pachnącymi ręcznikami.

- To prawda, wyglądasz jak pirat.

- Ciekawe, co by powiedzieli ludzie na kongres-mana z brodą.

- Zapuść, to zobaczysz.

- Owszem, mogę, ale czy tobie to nie będzie przeszkadzało? Broda bardzo drapie.

- To chyba jasne, że przez cały czas zapuszczania nie ma mowy o żadnym całowaniu ani o niczym podobnym. Jak długo trzeba czekać na przyzwoitą miękką brodę? Kilka miesięcy?

- Czy ci zaimponuję, jeżeli poradzę sobie z tym w dwa tygodnie? - Uśmiechnął się rad z siebie. Był jak nowoczesny Tomek Sawyer ze swoją Becky Thatcher.

- Nie - odparła Keely bezceremonialnie i wymknęła się z łazienki.

Złapał ją po drugiej stronie drzwi, odwrócił i posterował nią w stronę łóżka, które podcięło jej nogi, i Keely padła bezradnie do tyłu.

- To wobec tego muszę wymyślić co innego, żeby ci zaimponować.

Przywarł ustami do jej brzucha, posuwając się coraz wyżej i wyżej i budząc w niej falę wszechogarniającego gorąca. Wczepiła palce w jego włosy, powtarzając nieprzytomnie jego imię.

Na te wspomnienia wtuliła głowę w poduszkę i wydała krzyk bólu. Czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć? Nie, nie zapomni tej nocy, tego świtu - najcudowniejszych w całym jej życiu. Bo noc spędzona z Daksem w niczym nie przypominała nocy spędzonych z Markiem. Wtedy, dwanaście lat temu, ich pieszczoty były nieśmiałe, kryły się pod osłoną ubrania i ciemności.

Z Daksem baraszkowali nago bez żadnego skrępowania. Poznała jego śniade, muskularne ciało poprzez dotyk, zapach. On poznał jej nagość bez żadnych osłonek, w każdym najdrobniejszym szczególe. Do czasu tej nocy z Daksem nie wiedziała, co znaczy kochać i być kochaną przez prawdziwego mężczyznę.

Świadoma teraz wszystkich rozkoszy, jakie potrafił jej dać, a ona odwzajemnić, pragnęła go jeszcze bardziej. Tęskniła za jego żarliwymi pocałunkami, chciała znów poczuć jego oddech przy swoim uchu, słyszeć słowa miłości: „Kocham cię, Keely!”.

Oczywiście wyobraźni widziała jego twarz, kiedy to mówił. Dlaczego nie rzuciła mu się wtedy w ramiona, błagając, by jej nigdy nie wypuścił?

Ale teraz było już za późno. Wiedziała, że surowy wyraz twarzy i płomienne spojrzenie, którym ją przeszywał na wskroś, kiedy mu zarzuciła kłamstwo, oznaczały, że cała miłość, jaką dla niej żywił, została zniszczona przez jej wątpliwości. Nawet gdyby go zawróciła, błagając o przebaczenie, już nigdy nie mógłby jej kochać. Nigdy nie zapomni tej

chwili, kiedy z niego szydziła, gdy próbował powiedzieć jej to, co mogłoby zmienić całą ich przyszłość. Nicole ma rację, jest skończoną idiotką.

Czy powinna do niego zadzwonić? Zapomnieć o wstydzie i strachu i zadzwonić do niego, prosząc o przebaczenie? Tak, z pewnością powinna!

Już sięgała do telefonu, kiedy uderzyła ją pewna myśl. Przecież Dax wiedział o tym, że Gene Cox przyniósł jej medalik! Zaraz, co powiedział ten żołnierz? „Powiedział, że będzie lepiej, jeśli to ja sam przyniosę pani ten medalik”. A więc Dax wiedział, ale mimo to nie próbował się z nią skontaktować. Wiedział, że jest wolna, ale nie przyszedł do niej szukać pojednania.

Ona jest wolna, ale on nie jest. On kandyduje do Senatu. Widziała w niedzielnej gazecie jego zdjęcie z Madeline Robins. Madeline wydała wczoraj wieczorem wystawne przyjęcie z okazji jego powrotu z Waszyngtonu.

Kiedy Keely słuchała historii Gene'a Coksa, Dax zabawiał się z Madeline. Kiedy jej najlepsza przyjaciółka potępiała ją i opuszczała, Dax tańczył i śmiał się z Madeline.

Powiedział, że ją kocha. Może to i prawda. Ale czy w tym momencie jego życia Keely jest rzeczywiście dla niego najodpowiedniejszą osobą? A jego kariera? Nazwisko Keely Preston jest zbyt świeże w publicznej pamięci. Wkrótce będzie musiała oficjalnie ogłosić śmierć Marka, ale przecież widywano ją w towarzystwie Daksa jeszcze przed powrotem tej grupy zaginionych. Staliby się przedmiotem plotek i spekulacji. Zagrożenie skandalem jeszcze nie minęło.

Jemu jest potrzebna kobieta typu Madeline, która by mu pomogła w kampanii wyborczej, nie Keely Preston--Williams.

Keely zdawała sobie sprawę, że może umrzeć bez niego, ale jednocześnie wiedziała, że on nie może z nią żyć.

Kiedy budzik zadzwonił o piątej, zwlokła się z łóżka w poczuciu obowiązku i z przyzwyczajenia. Ubrała się i umalowała machinalnie. Wypiła filiżankę kawy i pojechała na Superdome.

Ranek był ciepły i wilgotny, typowy dla przedwiośnia. Na horyzoncie, tam gdzie wkrótce miało wzejść słońce, zbierały się chmury, ale poza tym niebo było pogodne. Miała zaledwie kilka minut na podziwianie lawendowoszarego nieba, zanim usłyszała nad sobą warkot helikoptera i po chwili zobaczyła jego przypominającą gigantycznego komara sylwetkę nad domami śródmieścia.

Joe fachowo posadził maszynę. Keely zamknęła samochód i pobiegła w jej stronę. Silne podmuchy szarpały ją za ubranie i włosy, ale Keely wiedziała, że nie zrobi jej krzywdy.

- Dzień dobry. - Wsiadając, starała się przekrzyczeć hałas.

- Sie masz, ślicznotko - powitał ją Joe. - Przyniosłem paczki.

Poczęstuj się.

- Dzięki. - Zapięła pas i maszyna wystartowała. Poranny dyżur przebiegał rutynowo. O szóstej pięćdziesiąt pięć nadała pierwszy komunikat. Ruch był jeszcze niewielki i na drogach dojazdowych do autostrad nie zauważyła żadnych korków. Zapowiadał się piękny ranek i pogoda nie stanowiła problemu.

Właśnie żartowała z disc jockeyem podczas swego drugiego komunikatu, kiedy nagle usłyszała huk przypominający detonację. Zaraz potem zaległa martwa cisza i silnik helikoptera zamilkł.

- Do jasnej cholery! - zaklął Joe.

Keely odwróciła głowę i zobaczyła, że pilot manipuluje sterami. Mówiła coś o mającym się wkrótce odbyć koncercie rockowym, ale urwała w pół zdania. Ogarnęła ją panika.

- Joe! - wykrzyknęła. Marzyła o tym, żeby usiadł wygodnie w fotelu, uśmiechnął się, przestał nerwowo szarpać stery i powiedział, że wszystko jest w porządku, że panuje nad sytuacją.

- Hej, Keely, co tam się u was dzieje? Balon wam pękł czy co? - usłyszała w słuchawkach żartobliwy głos disc jockeya, który jednak wydał jej się zupełnie nierealny.

- Joe! - zawołała, kiedy helikopter wpadł w szalony korkociąg.

- Siedź spokojnie, Keely - odparł Joe ze zdumiewającą rezygnacją w głosie. - Lecimy w dół, kochanie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Keely wyjrzała i zobaczyła, że ziemia i horyzont nie są poziome, że zaczynają się przechylać pod jakimś zwariowanym kątem. Śmigło helikoptera obracało się w dalszym ciągu, ale nie było słyhać żadnych odgłosów silnika. Niewielka maszyna wirowała dokoła swojej osi, a ziemia zbliżała się do niej z zawrotną szybkością.

- Nie! - krzyknęła Keely. - Nie, proszę, nie! - Kiedy helikopter zwałił się na ziemię, poczuła, jak pas bezpieczeństwa wrzyna jej się w podbrzusze, a potem puszcza. Walnęła głową w przednią szybę z koszmarnym łomotem i zaraz potem poczuła ogarniające ją mdłości i potworny ból.

- Ratunku! - zawołała, ale nie wiedziała, czy ktokolwiek ją usłyszy. Nie była nawet pewna, czy wymówiła to słowo głośno. - Och nie, proszę, nie! - Usiłowała otworzyć oczy, ale nie pozwoliło jej na to oślepiające światło, z którego wyłonił się obraz.

Mark! Widziała, jak uśmiecha się z dumą, uspokajająco. Ten sam wesoły, szczery, kochający życie Mark, którego znała. Na jej widok w jego oczach zapłonęło radosne zdumienie. Mark! - krzyczała w duchu - ty żyjesz! I nic go nie bolało.

Nie był żadnym bezimiennym szkieletem gdzieś w dżungli na końcu świata. Tylko żywym człowiekiem, tutaj, gdzie i ją rzuciły losy.

Zaraz, czy rzeczywiście? Światło przygasało coraz bardziej. Obraz Marka stawał się niewyraźny. Keely chciała coś do niego powiedzieć, ale machnął ręką zamazyście i odwrócił się tyłem. Powoli, w miarę jak

odchodził tam, skąd przyszedł, jego sylwetka rozpływała się. Nagle zapadła między nimi gigantyczna kurtyna; Keely ogarnęła ciemność. Szkoda, że nie może być w tym ciepłym, jasnym miejscu razem z Markiem.

Ale ciemność nie ustępowała. Zanim ją pochłonęła całkowicie, Keely z przerażającą jasnością stwierdziła, że na jej serce spłynął spokój, jakiego nie zaznawała od lat. W tym krótkim przeblysku, zawieszona pomiędzy dwoma światami, dzieliła z Markiem jego śmierć, jakby w niej uczestniczyła. Teraz już mogła zostawić go w spokoju. Widząc, że żyje w innym, świetlistym, wspaniałym świecie, mogła się pogodzić z jego śmiercią w tym świecie i pozwolić mu odejść.

Z westchnieniem ulgi pogрузzyła się w ciemność.

- Spokojnie, proszę leżeć spokojnie. Nie, panno Preston, proszę się położyć. Wszystko jest w porządku. Jest pani w szpitalu. - Łagodne, ale silne ręce przyciskały ją do łóżka, mimo że próbowała się podnieść. - Popraw ten bandaż, Patsy. Rozluźniła go bardzo. - Podczas gdy jedna para rąk przyciskała ją do łóżka, druga robiła coś przy jej czole. - Ona chce się obudzić. Proszę się obudzić, panno Preston. No, proszę. Proszę otworzyć oczy i powiedzieć nam dzień dobry.

Usiłowała zastosować się do tego polecenia, ale powieki miała ciężkie jak ołów i nie mogła ich unieść. Głosy, które do niej docierały z otaczającej ją gęstej mgły, były jednak tak naglące, że nie potrafiła im się oprzeć, i w wyniku kolejnej próby zobaczyła jak gdyby nikły promyk światła.

- Dzień dobry. Nie sądziłyśmy, że okaże się pani takim miłym gościem. Grace czuje się bardzo urażona, jak jej pacjentki nie chcą z nią rozmawiać.

- To prawda. Zwłaszcza jak pacjentką jest taka ważna osobistość. Jak się pani czuje?

Biel strojów pielęgniarek raziała ją w oczy. Wsadzono jej termometr pod język. Zmierzono ciśnienie.

Kiedy... gdzie... jak? Te pytania kłębiły się w jej mózgu, przebijając się przez ból. Nagle przypomniała sobie wirujący helikopter i znów zaczęła się wyrywać.

- Joe - wychrypiała, nie poznając własnego głosu. - Joe.

- Z nim jest wszystko w porządku - zapewniono ją. - Posadził helikopter na parkingu Superdome, jak zwykle.

- Posadził? - Obracała w ustach słowa, nie mogąc ich wyartykułować.

- Ale...

- Proszę się tym nie przejmować. Na szczegóły będzie czas później. Pani jest jedyną ofiarą wypadku. A teraz spróbujmy, może uda się pani wypić kilka łyków 7-up, tak żeby nie zwymiotować zaraz na tę elegancką koszulkę.

Potrząsnęła głową w geście odmowy, ale mimo to przyniesiono jej kubek z wygiętą rurką i Keely zmusiła się do kilku obowiązkowych łyków, zanim zasnęła ponownie.

Droga do całkowitej przytomności była długa i mglista. Od czasu do czasu budziła się ze stanu zamroczenia, zapadając po chwili w sen tak

mocny, że tylko ciągnięcie plastra, którym przyklepiono jej tkwiącą w żyle igłę, odczuwała jako coś rzeczywistego.

Wizja rodziców, którzy nieustannie pojawiali się w jej snach, była coraz wyrazistsza, aż wreszcie Keely zorientowała się, że są przy niej rzeczywiście. Matka popłakiwała cicho. Ojciec, przygnębiony i zdezorientowany, całował ją delikatnie w czoło, ilekroć w rzadkich jeszcze chwilach świadomości zdołała się do niego uśmiechnąć.

Za którymś razem, obudziwszy się, zobaczyła nad sobą pochyloną twarz jakiegoś mężczyzny. Była dość komiczna, otoczona jasnymi lokami, które sprawiały wrażenie wieńca.

- Hej - powiedział mężczyzna wesoło. - Sprawdzam wyniki mojej pracy.

Keely spojrzała na niego w oszołomieniu i mężczyzna musiał wyczytać w jej oczach pytanie, bo powiedział:

- Jestem doktor Walters, chirurg plastyczny. Mów mi Dawid. Zadzwoiła do mnie twoja przyjaciółka, jak się dowiedziała, że masz mieć szyte czoło. Będiesz miała cieniutką bliznę pod samą linią włosów, ale nic się nie martw. Jestem w tym cholernie dobry. Gołym okiem trudno ją będzie dostrzec.

Uśmiechnęła się.

- A poza tym jak się czujesz? Dobrze? Nic ci nie potrzeba?

Potrząsnęła głową, zamknęła oczy i znów zapadła w sen.

A potem nagle, jakby za sprawą czarów, zasłona pajęczyn ustąpiła i wszystko stało się jasne. Jeszcze ją bardzo bolała głowa, ale było to zupełnie zrozumiałe. Ogarnięta obezwładniającą słabością czuła, jak drżą jej ręce i nogi, ale pielęgniarki zmusiły ją do tego, żeby wstała i

przespacerowała się po pokoju, zanim pozwoliły jej położyć się do łóżka i znów zasnąć. Udało jej się też wypić całą puszkę soku jabłkowego i nie wymiotować, dzięki czemu wyjęły jej z żyły znieawidzoną igłę, po której został fioletowy siniak.

Resztę dnia spędziła to zapadając w drzemkę, to się budząc, ale nie był to ciężki narkotyczny sen jak poprzednio. Wieczorem mogła już czytać sprawozdania z wypadku w gazetach, które jej odkładano. Pokój tonął w kwiatach, a każdy kolejny bukiet witany był ochami i achami sióstr, które uczestniczyły w głośnym odczytywaniu bilecików.

Jedna z kart nie była podpisana i pielęgniarki ubolewały nad tym faktem, jako że towarzyszył jej najpiękniejszy ze wszystkich bukiet herbacianych róż. Keely nie sądziła, by ten brak podpisu był przypadkowy. Ułamała jeden z najładniejszych kwiatów i położyła go sobie na poduszce, obficie podlewając łzami.

Następnego ranka wstała, wzięła prysznic, włożyła własny szlafrok i umalowała się. Niewielka torba z jej rzeczami pojawiła się w iście magiczny sposób, matka bowiem twierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego.

Obaj lekarze - i ten, który ją przyjmował do szpitala, i jej osobisty - po zbadaniu pacjentki byli zgodni co do tego, że może przyjmować gości. Szef stacji radiowej, w której Keely pracowała, wzruszył ją swoją pamięcią i radością, z jaką powitał ją wśród żywych. Przyniósł jej też życzenia od kolegów, na ogół żartobliwe, a niektóre nawet rubaszne. Keely śmiała się serdecznie.

Nieco później odwiedził ją Joe Collins. Ze łzami w oczach pochylił się nad nią i serdecznie uściskał.

- Dzięki ci, Joe - powiedziała. Kiedy go uspokoiła co do swojego stanu zdrowia, wyjaśnił jej przyczyny wypadku.

- Najprawdopodobniej jakiś paproch zatkał dopływ paliwa i silnik się zadławił. Na szczęście udało mi się wyrównać maszynę i wylądować na zasadzie autorotacji. Rozumiesz, śmigło jeszcze przez jakiś czas się obraca, a kiedy się to stało, byliśmy niemal dokładnie nad Superdome, więc... - skromnie wzruszył ramionami. - Cały czas musiałem uważać, żeby nie stracić panowania nad maszyną, no i bałem się o ciebie. Miałaś całą twarz we krwi...

- Ocaliłeś mi życie, Joe.

Był wyraźnie skrepowany, więc Keely zmieniła temat. Po jego wyjściu musiała odpocząć i pielęgniarki namówiły ją, żeby następnych gości przyjęła później.

Po kolacji, kiedy siedziała podparta poduszkami, oglądając telewizję, rozległo się nieśmiałe stukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała. Weszli Nicole i Charles. Nicole robiła wrażenie niepewnej i zatroskanej. Kiedy Keely otworzyła ramiona na powitanie, rzuciła się w nie żywiłowo.

- Keely, tak mi strasznie przykro. Czy zrobiłaś to naumyślnie, żeby mnie ukarać za te koszarne rzeczy, których ci nagadałam? O Boże, jak usłyszałam twój krzyk tam w górze, myślałam, że umrę.

- A słyszałaś?

- Tak, wszyscy słyszeliśmy - odparł Charles. - Pamiętaj o tym, że to się stało w trakcie twojej rozmowy z disc jockeyem. Niestety, nie zareagował tak szybko, jak powinien, i nie wyłączył na czas twojego mikrofonu. Wszyscy twoi słuchacze cię słyszeli.

Keely zakryła usta dłonią i zamknęła oczy.

- To musiało być straszne. Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Stałaś się bohaterką - powiedziała Nicole pogodnie, spokojna, że już uzyskała przebaczenie.

- Czy przysłanie tego chirurga plastycznego i torby z moimi osobistymi rzeczami to twoja zasługa?

- Moja i Charlesa.

- Dziękuję bardzo. - Uścisnęły sobie ręce, patrząc na siebie ze zrozumieniem.

- A co do tamtego wieczoru, Keely...

- Zapomnijmy o tym. W wielu sprawach miałaś rację.

- A do wielu nie powinnam się była w ogóle wtrącać.

- Owszem, powinnaś. Jesteś moją przyjaciółką.

- Jasne, że jestem. - Obydwie były niebezpiecznie bliskie łez.

Uratował je Charles.

- Kochanie, nie powiedziałaś Keely o najważniejszym - wtrącił się w samą porę do rozmowy.

Keely tak była wstrząśnięta tym, że Charles zwraca się do Nicole per „kochanie”, że przez chwilę wpatrywała się na niego w milczeniu.

- To znaczy o czym? - spytała wreszcie. Siedząca na brzegu łóżka Nicole odwróciła się i spojrzała na Charlesa spode łba.

- A ty byś się tylko tym przechwalał.

- Naturalnie - odparł Charles, bujając się na czubkach palców i uśmiechając.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego.

- Czy wreszcie powiecie mi, co to za tajemnica? - przerwała im Keely. - O co chodzi?

- Jestem w ciąży - wymamrotała Nicole.

Keely patrzyła na pochyloną jasną głowę przyjaciółki, pracowicie skubiącej koc. Potem ponad nią przeniosła wzrok na Charlesa, onieśmielonego, a jednocześnie dumnego. W końcu znów spojrzała na Nicole. Gdyby przyjaciółka powiedziała jej, że wstępuje do klasztoru, nie byłaby bardziej zdziwiona.

- W czym jesteś?

Nicole zerwała się z łóżka, lekko uderzając Keely w obolałą głowę.

- Chyba słyszałaś: jestem w ciąży. Jestem załatwiona. Obojętne, jak to nazwiesz, ty czy on! - Wymierzyła oskarżycielski palec w Charlesa. Keely zaczęła chichotać cicho, a potem coraz głośniejsze, aż poczuła bolesne pulsowanie w skroniach, ale już dawno nie śmiała się tak serdecznie, a to też było coś warte. Kąciki ust Nicole zaczęły drgać i wkrótce ona też wybuchnęła śmiechem.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Keely, wycierając łzy. - A kiedy...

- Tej nocy, kiedy poszliśmy z tobą i z Daksem do Cafe du Monde. Charles odwiózł mnie wtedy do domu, pamiętasz? Użyłam wszelkich znanych mi kobiecych sztuczek, żeby go zwabić do łóżka, i wreszcie mi się to udało, ale tak się na mnie zemścił.

Charles mrugnął do Keely.

- Ale chyba nie jesteś taka bardzo zła, co, Nicole? - spytała.

Nicole nachyliła się nad nią i powiedziała scenicznym szeptem:

- Pięciu groszy nikt by za niego nie dał, a w łóżku to istny szatan.

Keely znowu zaniósła się śmiechem, a po chwili osłabiona padła na poduszki. Wszystko wskazywało na to, że Nicole znalazła wreszcie odpowiedniego partnera i że wszyscy są z tego zadowoleni. Charles przygarnął ją czule do siebie i zapytał:

- Chyba nie pozwolisz, żeby nasze dziecko urodziło się jako nieślubne?

- Och, Keely - jęknęła Nicole i ukryła twarz na ramieniu Charlesa.

- Już ja jej sam powiem, kochanie, bo to ja nalegałem. - Charles pocałował Nicole w czubek nosa.

- Wczoraj wzięliśmy ślub, Keely. Naturalnie byłoby cudownie, gdybyś mogła być z nami, ale uważałem, że nie należy dłużej czekać.

Keely uśmiechnęła się do nich i łzy wzruszenia zabłysły jej w oczach.

- Taka jestem szczęśliwa... Zawsze uważałam, że jesteście dla siebie stworzeni.

- Ja tak samo - odparł Charles. - To ją trzeba było o tym przekonywać.

- Na szczęście dysponujesz wspaniałymi argumentami - mruknęła pieszczotliwie Nicole, ponownie tuląc się do niego.

- Czy mogę przynajmniej ucałować pana młodego?

- spytała Keely zniecierpliwiona ich przedłużającym się uściskiem.

Charles wysunął się z zachłannych ramion Nicole, nachylił nad Keely i z właściwą sobie rezerwą pocałował ją w policzek. - Zaczekam na korytarzu, nie spiesz się, kochanie - zwrócił się następnie do Nicole, taktownie zostawiając przyjaciółki same.

- Nicole. - Keely złapała ją za rękę. - Kochasz go, prawda? I maleństwo? Przyznaj się, jesteś szczęśliwa!

- Jestem tak szczęśliwa, że mało nie pęknę. Nie będzie czulszej i bardziej kochającej matki, zapewniam cię. Nie będzie takiego dnia, żeby to maleństwo nie wiedziało, że jest kochane. I Charles też, i Charles też

- dodała rozmarzona. - Bałam się go kochać, bałam się, że mnie odrzuci. Ale o dziwo, Keely, on mnie kocha. Naprawdę mnie kocha. Dla mnie samej, nie dla... ty zresztą wiesz. Pomimo tych wszystkich mężczyzn i opinii, jaką się cieszę, Charles mnie kocha.

- Wiem o tym nie od dziś. Na szczęście zdołał cię przekonać.

- Tak, zdołał. - Na twarzy Nicole pojawił się uśmiech, który co wieczór rozbierał tysiące widzów. Ale ów sławetny uśmiech zgasł na widok wymizerowanej twarzy Keely i tęsknego wyrazu jej oczu. - A ty, Keely? - spytała. - Jak zamierzasz rozwiązać swoje sprawy?

- Moje sprawy same się rozwiązały. - Smętnie popatrzyła na herbaciane róże, a potem z powrotem na Nicole, która nie spuszczała jej z oka. - Kiedy lecieliśmy z Joem w dół, dotarło do mnie, że Mark nie żyje. Że należy do przeszłości. Dax to teraźniejszość, a może i przyszłość, bo... bo ja go kocham, Nicole. Kocham go ponad życie. Ale on mi nigdy nie wybaczy, że mu nie zaufałam.

- Skąd wiesz? Pytałaś go?

- Nie, naturalnie, że nie.

- Dlaczego? Przecież on tu jest.

Wzrok Keely, otepiały z wyczerpania i rozpacz, pobiegł ku Nicole w obawie, że w tym, co mówi, jest jakaś pułapka.

- On jest... Dax jest...

- Tu, na korytarzu. Był w szpitalu jeszcze przed karetką pogotowia, Keely. Słyszał cię przez radio. Od kiedy tu jesteś, nie ruszył się stąd ani na krok. Już widziałam zdeklarowanych szaleńców w lepszej kondycji niż on. Burczy na każdego, kto tylko... Keely, co ty sobie wyobrażasz, w tej chwili wracaj do łóżka!

- Nie! - Keely odrzuciła kołdrę i postawiła nogi na podłodze. - Idę do niego.

- Na miłość boską, Keely! Pozwól...

- Nie! - Ostatkiem sił Keely odepchnęła ręce Nicole. Musiała iść do niego sama.

W połowie drogi do drzwi wyciągnęła ramiona, ponieważ pokój zaczął się niepokojąco kołysać, ale nie zamierzała dać za wygraną. Musi się zobaczyć z Daksem, powiedzieć mu...

Drzwi okazały się dla niej za ciężkie, więc pozwoliła je otworzyć Nicole. Na zimnej posadzce korytarza nie było słyhać jej bosych stóp. Rozejrzała się w obie strony.

Siedział na krześle, z szeroko rozstawionymi kolanami, ze zwieszoną głową. W tej samej pozie siedział wtedy, kiedy jej powiedział, że jest członkiem komisji. O jego rozpaczy mówiły opuszczone ramiona, potargane włosy, zarośnięta twarz i wymięte ubranie. Nigdy nie wydawał jej się tak wspaniały jak teraz. Mówił coś cicho do jej rodziców, którzy siedzieli na wąskiej kanapce naprzeciwko.

- Dax.

Na dźwięk jej głosu poderwał głowę i spojrzał w stronę, gdzie stała, słaba i krucha, a jednocześnie taka dzielna. Podniósł się i ruszył niepewnie przed siebie. Po drodze wpadł na stolik z pismami, a potem nagle rzucił się

ku niej, kilkoma wielkimi susami pokonując dzielącą ich przestrzeń. Jego oczy, zwykle płonące, lśniły teraz od łez. Chwyił ją zachłannie w ramiona i trzymał mocno, jakby miał jej już nigdy nie puścić.

Siła jego uścisku, której Keely poddała się chętnie, pozbawiła ją tchu.

- Keely, Keely - szeptał jej we włosy.

Trwali tak przytuleni, całkowicie nieświadomi sensacji, jaką budzą, i dopiero czujna Nicole popchnęła ich lekko do pokoju i zamknęła za nimi drzwi. Nawet tego nie zauważyli.

Wczepił palce w jej włosy, wpatrzony w nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Już myślałem, że mi umrzesz. Słuchałem cię przez radio, spragniony twojego głosu, spragniony ciebie. I potem nagle silnik zamilkł. Zbyt często latałem helikopterem, żeby nie wiedzieć, co to znaczy. Serce we mnie zamarło. Kochanie, krzyczałem razem z tobą. Byłem pewien, że już z tego nie wyjdiesz. O Boże, Keely...

- Ciii... - uspokajała go, głaszcząc po włosach, a on wtulał twarz w jej szyję. - Nie umarłam. Żyję. Jestem z tobą. Ciii.

Przesunęła czubkami palców po jego rzesach, wilgotnych od łez.

- Dlaczego nie przyszedłeś do mnie, kiedy się dowiedziałeś o medaliku ze świętym Krzysztofem?

- A czy ty tego w ogóle chciałaś?

Przytknęła policzek do jego piersi i powiedziała cicho:

- Tak, Dax. Pragnęłam cię, płakałam z tęsknoty za tobą, ale bałam się. Po tym, co ci wtedy powiedziałam, bałam się, że już nigdy nie

zechcesz mnie widzieć. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz, że ci nie zaufałam? Przepraszam cię bardzo, tak mi przykro.

Teraz z kolei on ją zaczął pocieszać:

- Byłem głupi, Keely. Niepotrzebne przyleciałem do ciebie tak zaraz z tą wiadomością o śmierci Marka. Za bardzo się z tym pospieszyłem. - Ujął jej głowę w dłonie i przechylił tak, żeby spojrzeć jej w oczy. - A ty, jak się przekonałaś, że mówiłem prawdę, dlaczego natychmiast do mnie nie zadzwoniłaś? - Na jego twarzy malował się wyraz bólu. - No, dlaczego?

- Bo nie sądziłam, że mi kiedykolwiek przebaczysz. Bo ty masz przecież na głowie swoją karierę i kampanię wyborczą i żadne dodatkowe problemy nie są ci w tej chwili potrzebne. Bo widziałam twoje zdjęcie z Madeline.

Uśmiechnął się lekko.

- I to wszystko?

Keely też usiłowała się uśmiechnąć, ale drżały jej wargi.

- Bo cię kocham i nie chciałam robić nic, co mogłoby ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

- Keely. - Przytulił ją do siebie z całej siły. - Nie przychodziłem do ciebie, bo wiedziałem, co czujesz i myślisz. Wiedziałem, że jeszcze opłakujesz Marka. Już raz wyrwałem się za szybko i za ostro. Nie chciałem powtórzyć tego błędu.

Wygładziła palcami wymięty kołnierzyk jego koszuli.

- Z ulgą przyjąłem wiadomość, że Mark nie męczył się latami w niewoli. Kiedy mój helikopter zaczął spadać...

- Tak? - Widząc, że się zawahała, próbował ją zachęcić do dalszych wyznań.

- Pożegnałam się z nim, Dax. Zawsze będę go czule wspominać, ale Mark nie żyje od lat. Los dał mi drugą szansę. Nie mogę jej zmarnować. Nie mogę już stracić ani dnia więcej ze swojego życia.

Pocałował ją wtedy, a był to pocałunek długi, mocny i uroczysty. Kiedy się wreszcie rozłączyli, powiedział bardzo stanowczo:

- Keely, przecież powinnaś być w łóżku. - Zaprowadził ją do wysokiego łóża i ostrożnie położył. Kiedy już siedziała podparta poduszkami i Dax był spokojny, że jej wyjście na korytarz nie miało żadnych złych skutków, ujął ją za rękę, ścisnął mocno i zapytał: - Wyjdiesz za mnie za męża?

- A chciałbyś?

- Bardzo.

- Jestem od niedawna wdową.

- Jak to, przecież to już dwanaście lat. Kiedy śmierć Marka zostanie oficjalnie ogłoszona, każdy chyba zrozumie, że masz prawo do ponownego zamążpójścia.

- Ależ, kochanie - przeciągnęła ręką po jego zarosniętym policzku. - Ja się nie boję, co ludzie o mnie pomyślą. Mnie chodzi o twoją kampanię wyborczą.

Pocałował ją w rękę.

- To zmartwienie pozostaw już mnie. Jutro, za twoją zgodą naturalnie, zwołam konferencję prasową i podam nasze zaręczyny do publicznej wiadomości. Van Dorf będzie pierwszy, do którego zadzwonię.

- Van Dorf! Dax, ale on...

- Van Dorf pierwszy zjawi się z kwiatami i zrobi nam wspaniałą prasę. Zobaczysz. - Zachichotał.

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Coś przede mną ukrywasz?

- Połóż się. Pamiętaj, że jesteś chora. Na razie powiem ci tylko, że dogadaliśmy się z Alem. -Uciszył ją pocałunkiem. - Dość o van Dorfie. Wychodzisz za mnie?

Zmarszczyła czoło.

- Dax, opinia publiczna w dalszym ciągu może być nam niechętna. Pamiętaj, że przez parę tygodni szargano nasze nazwiska.

- Keely. -Nachylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w podbródek. - Jestem przekonany, że twoje nazwisko będzie naszym atutem. Publiczność cię pokocha. Już cię uwielbia. A jeśli nie będą na mnie głosować ze względu na kobietę, z którą się żenię, czy z jakiegokolwiek innego powodu, równie dobrze mogę służyć mojemu krajowi jako farmer i biznesmen. Nigdy nie mówiłem tak serio jak teraz. Życie z tobą przekładam nad wszelkie stanowiska. Jesteś mi droższa niż cokolwiek na świecie.

- Dax. - Jego imię na jej ustach było jak tchnienie. Podniosła się z poduszek i pocałowała go delikatnie.

- Czy myślisz, że sprostasz trudom kampanii wyborczej? Chodzi mi o twoją pracę i w ogóle? - Urwał, słysząc jej cichutki śmiech.

- Ty zawsze jesteś dyplomatą i politykiem, prawda? - Uśmiechnął się zawstydzony. Zanurzyła palce we włosy Daksa i potrząsnęła jego głową. - Już widzę, że kochać ciebie to praca na całym etacie.

Jego czarne oczy wezbrały czułością.

- To mi się podoba - rzekł bezceremonialnie.

- Dax?

- Aha?

- A Madeline?

- Co Madeline?

- No właśnie, co z Madeline? Uniósł głowę.

- Absolutnie nic, Keely. I nigdy nic nie było, nawet zanim poznałem ciebie. A już teraz to w żadnym wypadku. To prawda, że ona tego chciała. I prasa tego chciała. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie. Owszem, przyznaję, że korzystałem z jej popularności. I może to nawet było nieładne z mojej strony. Ale koniec z tym. Jeśli zechce się w jakikolwiek sposób przyczynić do mojej kampanii, będzie to musiała robić właściwymi kanałami.

- Zostań ze mną na noc. - To, że tak łatwo przyjęła jego wyjaśnienia, było dowodem jej zaufania, miłości. Sięgnęła w górę i zgasiła lampkę nad łóżkiem. Kiedy spojrzał pytająco w stronę drzwi, roześmiała się beztrósco.

- Każdy, kto chciałby tu wejść, musiałby sforsować Nicole, a nie sądzę, żeby to było możliwe.

Mimo półmroku widziała jego uśmiech. Zrzucił buty i położył się koło niej, przygarniając ją do siebie. Bez słowa jego usta znalazły jej wargi i spoczęły na nich w namiętym pocałunku, który obojgu przypomniał niedawne chwile szczęścia.

Nieśmiało wsunął rękę pod jej koszulę.

- Dax - wyszeptała, tuląc się do niego.

- O Boże, Keely - westchnął i odsunął się od niej gwałtownie. - Nie, tak nie można. Muszę iść.

- Nie! - wykrzyknęła, przytrzymując go za koszulę.

- Nie możemy się tutaj kochać, Keely. Musisz odpoczywać, musisz spać.

- Będę spała, obiecuję, tylko proszę cię, nie odchodź ode mnie.

Nagle znów znalazła się w jego objęciach.

- Nigdy, przenigdy - zapewnił ją. - Kocham cię, Keely, i nigdy cię nie opuszczę.

Przytulił jej głowę do serca, a Keely słysząc jego równe bicie, poczuła, jak wszystkie obawy i lęki odchodzą w cień. To był początek. Wczorajsze smutki stały się wspomnieniem. Nastął wspaniały nowy dzień, a wraz z nim obietnica jutra.

